

Sophie McKenzie

ZAGINIONA

W poszukiwaniu przeszłości

CZĘŚĆ PIERWSZA:  
Odkrycie MARTY

1. Kim jestem?

„Kim jestem?”

Wpatrywałam się w temat wypracowania, siedząc przy komputerze w gabinecie Mamy. To takie zadanie domowe, które nowi nauczyciele zawsze dają na początku roku szkolnego.

„Kim jestem?”

Dużo prościej było na to odpowiedzieć jeszcze kilka lat temu. Mogłam tak po prostu napisać: „Nazywam się Lauren Matthews. Jestem szatynką i mam niebieskie oczy”.

Ale teraz oczekuje się od nas, aby napisać o tym, co nas interesuje. O tym, co się nam podoba i nie podoba. Kim jesteśmy „od środka”.

Potrzebowałam przerwy.

Postanowiłam wysłać SMS - a do Jama. Jak ci idzie z tym durnym wypracowaniem?

Po minucie odpisał: Przykro nam poinformować, że James „Jam” Caldwell zmarł wskutek znużenia spowodowanego pisaniem swojego wypracowania.

Roześmiałam się na cały głos. Jam zawsze potrafił mnie rozweselić. Niektóre dziewczęta z mojej klasy dokuczały mi z jego powodu. Utrzymywały, że jest moim chłopakiem. Co tak naprawdę jest najgłupszą rzeczą na świecie. Jam i ja jesteśmy przyjaciółmi od podstawówki.

„Kim jestem?”

Podparłam głowę rękami.

Jak ktokolwiek może określić, kim jest? No chyba że wie, skąd pochodzi.

A ja nie mam pojęcia, skąd pochodzę. Zostałam adoptowana, gdy miałam trzy lata.

Minutę później Mama zawołała z dołu:

- Lauren! Herbata gotowa!

Pognałam na dół, szczęśliwa, że mogę na chwilę zapomnieć o wypracowaniu.

Szczęście jednak nie trwało długo.

- Jak tam wypracowanie? - zapytała Mama, przewracając coś na patelni.

- Mmm - wymamrotałam.

- Na miłość boską, Lauren - Mama westchnęła - dlaczego nie mówisz wyraźnie?

Spojrzałam na nią. Ta sama Mama, jak zawsze. Niska. Koścista. O wąskich ustach. W ogóle jej nie przypomiinałam. Zapytałam bardzo wyraźnie i powoli:

- Kim jest moja prawdziwa mama?

Mama zamarła. Przez sekundę wyglądała na przerażoną. Potem jej twarz przeistoczyła się w maskę. Zero emocji.

- Ja nią jestem - powiedziała. - Co masz na myśli?

- Nic - spojrzałam w innym kierunku, żałując, że w ogóle coś powiedziałam.

Mama usiadła, wciąż trzymając patelnię.

- Myślałam, że nie przeszkadza ci, że nie wiesz - powiedziała.

Przewróciłam oczami.

- Nie przeszkadza.

Mama nałożyła jajecznicę na mój talerz.

- Tak czy owak, nie mogę ci powiedzieć. To była pełna adopcja. To znaczy, że żadna ze stron nie wie nic na temat tej drugiej.

Wstała, odstawiła patelnię na kuchenkę i odwróciła się w moją stronę. Teraz wyglądała na zaniepokojoną.

- Czy ktoś powiedział coś w szkole?

- Nie - nachyliłam się nad jajecznicą. Znając Mamę, pewnie myśli, że tylko ktoś inny mógł mi podsunąć taki pomysł. Dla niej to nie do pomyślenia, żebym sama mogła zacząć o tym myśleć.

- Co jest na podwieczorek? - Rory wpadł z ogrodu. Jego pyzate policzki były całe czerwone od zimnego powietrza. Rory jest ośmiolatkiem i jest podobny do taty jak dwie krople wody. Mama nazywa go „swoim małym cudem z probówki”.

Wszystko, co mogę o nim powiedzieć, to to, że wiele nieprzyjemnych rzeczy rośnie w probówkach.

Rory wpadł w poślizg i zatrzymując się na stole, zrobił minę:

- Jajecznicca cuchnie.

- Nie aż tak bardzo jak ty - powiedziałam.

Rory chwycił swój widelec i zaczął mnie nim dźgać.

- Au! Mamo, on mnie bije! Mama spojrzała na nas.

- Siadaj, Rory.

Czasami zastanawiam się, czy ona myśli, że on jest psem. Raz słyszałam, jak mówiła do przyjaciółki:

- Chłopcy są jak szczeniaki. Wszystko, czego potrzebują, to uczucie i świeże powietrze. Nad dziewczynkami trzeba więcej popracować.

To dlaczego wybrała właśnie mnie - dziewczynkę? Mama opowiadała mi, jak zostałam adoptowana - szczególne wrażenie wywarł na mnie sposób, w jaki wybrali mnie z katalogu. Kiedyś myślałam, że czyniło mnie to wyjątkową. Czułam się chciana.

Teraz czuję, jakbym była sukienką z katalogu firmy wysyłkowej. Sukienką, która nie pasuje, ale odesłanie jej sprawiłoby za dużo kłopotu.

- Czy Jam może do nas później wpaść? - zapytałam.

- Gdy napiszesz swoje wypracowanie i jeżeli nie będzie zbyt późno - padła przewidywalna odpowiedź Mamy.

- Ta jajecznicca wygląda jak twoje rzygowiny - powiedział Rory.

Czasami naprawdę szczerze go nienawidzę.

Wysłałam mejla do Jama, jak tylko wróciłam na górę.

Zobaczymy się później?

Jego odpowiedź przyszła dosłownie po kilku sekundach: Wpadnę o siódmej.

Sprawdziłam czas w rogu ekranu: 6.15. Nie było szans, żebym skończyła swoje wypracowanie w czterdzieści pięć minut.

„Kim jestem?”

Adoptowana. Zaginiona. Wklepałam słowa w wyszukiwarce.

Ostatnio dużo o tym myślę. W ubiegłym tygodniu sprawdziłam nawet niektóre strony internetowe poświęcone adopcji. Śmiałybyś się, gdybyś mnie zobaczył: dudnienie serca, pocenie rąk, skręcanie w żołądku.

To znaczy, to nie było tak, że znalazłam stronę, na której przeczytałam: „Lauren Matthews - kliknij tutaj, aby zapoznać się ze szczegółami twojej adopcji”.

I wiecie, co znalazłam?

Że gdybym chciała dowiedzieć się czegokolwiek o moim życiu, zanim skończyłam trzy lata, potrzebowałabym zgody Mamy i Taty.

Po prostu nie do wiary!

Moje życie. Moja tożsamość. Moja przeszłość. Ale ich decyzja.

Nawet gdybym zapytała, nie byłoby szans, żeby Mama się zgodziła.

No więc teraz widzisz, jakie ona ma nastawienie do tego tematu. Nie dowiesz się niczego.

Poznam jednak prawdę, a ona dostanie to, na co zasłużyła.

Kliknęłam ikonkę „Szukaj”.

Adoptowana. Zaginiona. Prawie milion trafień.

Serce waliło mi jak młotem. Czułam, jak mój żołądek znowu się zaciskał.

Usiadłam wygodnie w fotelu. Wystarczy.

Traciłam tylko czas. Odkładałam wypracowanie. Wyciągnęłam rękę, aby zamknąć opcję wyszukiwania. I właśnie wtedy to zauważyłam: Zaginione - Dzieci.com. Międzynarodowa strona internetowa dla zaginionych dzieci. Zmarszczyłam brwi. Jak to jest możliwe, że można stracić dziecko i potem go nie odnaleźć? Potrafię sobie wyobrazić, że można stracić je na pięć minut lub nawet na godzinę. I wiem, że dzieci czasami giną, bo jacyś psychole je mordują. Ale Mama zawsze mówi, że takie sytuacje zdarzają się tylko raz lub dwa razy na rok. Kliknęłam, aby przejść na stronę główną. Zobaczyłam migoczącą masę ludzkich twarzy. Każda z nich wielkości znaczka pocztowego. Każdy znaczek zamieniał się po kilku sekundach w nową twarz.

Szczęka mi opadła. Czy wszystkie te twarze należały do zaginionych dzieci? Dostrzegłam opcję przeszukiwania. Zawahałam się. Wklepałam swoje imię „Lauren”. Właściwie to nie myślałam nad tym, co robiłam. Tylko się wygłupiałam. Chciałam tylko zobaczyć, jak wiele było tam zaginionych dziewczynek o moim imieniu. Okazało się, że sto siedemdziesiąt dwie. Jezu! Komputer błyskał na mnie, aby kliknąć ponownie opcję „Szukaj”. Część mnie chciała się zatrzymać. Ale powiedziałam sobie, że bym nie była głupia. Migoczące twarze na monitorze nie były dziećmi adoptowanymi tak jak ja, bez przeszłości. To były dzieci zaginione. Dzieci tylko z przeszłością.

Chciałam jedynie sprawdzić, kto tam był.

Dodałam miesiąc mojego urodzenia do kryterium przeszukiwania, a potem obserwowałam, jak trzy dziewczynki pojawiły się na monitorze komputera. Jedna była Murzynką, zaginęła, gdy miała dwa tygodnie.

Druga była biała z blond włosami, na zdjęciu miała jakieś dziewięć, dziesięć lat. Taaak - minęło pięć lat, od kiedy zaginęła.

Spojrzałam na trzecie dziecko.

Marta Lauren Purditt

Rodzaj sprawy: zaginiona, skrzywdzona

Data urodzenia: 12 marca

Wiek obecny: 14

Miejsce urodzenia: Evanport, Connecticut, USA

Włosy: brązowe

Oczy: niebieskie

Spojrzałam na zdjęcie. Puciołowata, uśmiechnięta twarz małej dziewczynki. Zaginęła ósmego września.

Mniej niż dwa miesiące przed moją adopcją.

Wydawało się, że moje serce przestało bić.

Data urodzenia różniła się nieznacznie. No i ja byłam Angielką, nie Amerykanką.

No więc to nie było możliwe.

Czyż nie?

Pytanie to przeszywało moją głowę niczym narkotyk, przewracając wszystko do góry nogami i wypełniając po same brzegi.

Czy ja mogłam być nią?

## 2. Rozmowa z Jamem

Przypatrywałam się małej dziewczynce z monitora, szukając w jej twarzy czegokolwiek, co mogłoby mnie przypominać.

- Lauren, Jam jest tutaj! - okrzyk Mamy aż mnie poderwał.

Serce zaczęło mi szybciej bić na odgłos kroków Jama na schodach.

Zminimalizowałam ekran. Podbiegłam do drzwi dokładnie w chwili, kiedy Jam już był po drugiej stronie. - Cześć, Lorenzo - Jam uśmiechnął się. Jego ciemne, nażelowane włosy opadały na twarz. Pachniał mydłem. - Skończyłaś swoje wypracowanie?

- Taak. Eee... właściwie to nie - prawie nie słuchałam. - Potrzebuję czegoś z dołu.

Jam zmarszczył brwi, ale podążył za mną do salonu. Mama siedziała na kanapie i oglądała wiadomości w telewizji.

- Mamo, gdzie są nasze albumy ze zdjęciami?

- Na końcu szafy - spojrzała na mnie i wskazała parę drewnianych drzwi w rogu pokoju. - Skąd to nagle zainteresowanie?

Podbiegłam i zaczęłam wyjmować albumy, kartkować strony.

- Gdzie są moje najstarsze zdjęcia? - zapytałam. Cisza.

Zerknęłam na nich. Mama i Jam patrzyli na mnie, jakbym oszalała.

- O co chodzi, kochanie? - głos Mamy był napięty. Położyłam album, który trzymałam.

- To ma związek z moim wypracowaniem - powiedziałam powoli. - Już je skończyłam, ale pomyślałam, że fajnie byłoby dołączyć do niego moje zdjęcie z dzieciństwa oraz aktualne. Spieszę się, ponieważ Jam jest tutaj.

Twarz Mamy odprężyła się.

- To dobry pomysł - powiedziała. - Dlatego też mówiłam ci, żeby wszystko zrobić, zanim Jam przyjdzie do nas. Sprawdź w tym zielonym albumie na samym końcu.

Wyciągnęłam go i otworzyłam na pierwszej stronie. I to byłam ja. Poważna mała twarzyczka. Rzadkie i rozwichrzone, równo obcięte brązowe włosy. Pokazałam Mamie.

- Kiedy to zdjęcie zostało zrobione? - zapytałam, starając się, żeby brzmiało naturalnie.

- Tuż po tym, jak ciebie dostaliśmy - powiedziała.

- Święta Bożego Narodzenia.

To była najlepsza rzecz, jaką mogłam dostać.

- Czy mogę je wziąć?

- Oczywiście - powiedziała Mama. - Ale pamiętaj, żeby je przynieść z powrotem - uśmiechnęła się.

- Te zdjęcia są drogocenne.

- Za chwileczkę wrócę - spojrzałam na Mamę, a potem na Jama. On zmierzył mnie wzrokiem podejrzliwie. - Chcę je tylko zeskanować.

Wbiegłam z powrotem na górę do gabinetu Mamy i zmaksymalizowałam stronę internetową Zaginione - Dzieci.com. Przyłożyłam swoje zdjęcie do fotografii Marty Lauren Purditt, która wyświetliła się na ekranie komputera.

Myślę, że oczekiwałam zdecydowanej odpowiedzi: ja albo nie ja.

Ale to nie było takie proste.

Marta Lauren była puciołowatą, roześmianą dziewczynką z dołeczkami w policzkach.

Na zdjęciu z albumu Mamy moja twarz była chudsza i nieuśmiechnięta.

Ale były też i podobieństwa: kształt oczu, załamanie pod ustami. To mogłam być ja. To wszystko prawie pasowało.

Czułam się jak na jednej z tych szalonych przejażdżek w wesołym miasteczku, kiedy to wiruje się w wielu różnych

kierunkach w tym samym czasie i w końcu już nie wiadomo, czy jest się na górze, czy na dole.

A jeżeli to ja, to znaczy, że nie byłam tą osobą, którą myślałam, że jestem. Miałam inne nazwisko. Miałam inne obywatelstwo. Nawet inny dzień urodzin. Wszystkie fakty z mojego życia stanęły pod znakiem zapytania.

- Co robisz? - Jam bacznie przyglądał mi się, stojąc w drzwiach. Na jego twarzy rysowało się zaintrygowanie.

- Nic - szybko zminimalizowałam ekran. Byłam śmieszna.

Jam śmiałby się ze mnie, gdybym mu powiedziała, zasugerowałby pewnie, żeby mnie wysłano z powrotem na Marsa albo coś w tym stylu. Ale mimo to naprawdę chciałam mu to pokazać. Chciałam wiedzieć, co on myśli na ten temat.

- Nie dawaj mi tego - Jam zmrużył oczy. - Wkurzasz się, odkąd tu przyszedłem. Co to za bzdety z tymi albumami? Po prostu chciałaś, żebym wyszedł z pokoju.

- Nie, to nieprawda, Jam. - Próbowałam się uśmiechnąć. - To wszystko przez tę dziwną rzecz... - zamilkłam.

Jam podszedł do komputera.

- Jaka dziwna rzecz? - uśmiechnął się, ale uśmiech nie zdołał rozpromienić jego oczu. - Jakiś dziwaczny facet zaprosił cię na randkę? No i co mu odpowiedziałaś?

- Co? Nie. Emm... nie ma takiej możliwości.

O co mu chodziło? Wiedział bardzo dobrze, że zupełnie nie jestem zainteresowana ani umawianiem się na randki, ani facetami i tego typu sprawami.

- No więc dlaczego... - wzrok Jama spoczął na zminimalizowanej ikonie w dolnym rogu ekranu monitora. - Dlaczego oglądasz stronę internetową o zaginionych dzieciach?

- Obiecujesz, że nie będziesz się śmiał?

Kiwnął głową.

Kliknęłam pomniejszoną ikonę.

Marta Lauren Purditt pojawiła się na ekranie. Oczy Jama przesunęły się z jej zdjęcia na moją fotografię stojącą na biurku tuż przy komputerze. Zmarszczył brwi.

- Co? - Jego oczy otworzyły się szeroko. - Nie myślisz chyba, że to ty, nie?

Odwróciłam wzrok. Moje policzki były rozpalone.

- Nie wiem - wyszeptałam.

Spojrzałam na Jama. Zamierzał kliknąć opcję „Symulacja obecnego wyglądu dziecka”.

- Zaczekaj! - krzyknęłam.

Ale już było za późno. Nowe zdjęcie pojawiło się na ekranie, ukazując Martę Lauren Purditt taką, jak mogłaby wyglądać teraz.

Nie chciałam na to patrzeć, ale też i nie mogłam się powstrzymać.

To byłam ja. Ale i też to nie byłam ja. Twarz była za długa, a nos zbyt pretensjonalny i zadarty ku górze.

- Mmm - powiedział Jam. - Trudno powiedzieć. To znaczy, ona wygląda troszeczkę jak ty, ale... - moje serce biło bardzo szybko. OK, czyli on wcale nie był przekonany, że to byłam ja. Ale przynajmniej się ze mnie nie śmiał.

Właściwie to sama nie wiedziałam, czy mam czuć ulgę, czy rozczarowanie.

Nawet bez spojrzenia w moją stronę Jam kliknął ikonę wstecz, otwierając pierwsze zdjęcie. Następnie wybrał opcję „Drukuj”.

Gdy drukarka wypluła stronę, Jam rozpostarł ją przede mną.

- Spójrz! Tutaj na dole jest numer telefonu. Może powinnaś zadzwonić i...

- Nie! Nie ma mowy! - podskoczyłam i wyrwałam kartkę z jego ręki. To wszystko działo się za szybko. Jam był osobą

zanadto praktyczną. We wszystkim zbyt logiczną. - Potrzebuję czasu do namysłu - powiedziałam.

- Wyluzuj się, panno Naprawialska - Jam przewrócił oczami - jak zawsze, gdy jego mama i siostry zaczynają krzyczeć na siebie nawzajem. - Naprawdę nie chcesz się dowiedzieć, czy to rzeczywiście ty?

- Może - wzruszyłam ramionami. Prawda była taka, że nie wiedziałam, czego chcę. Już w ogóle nic nie wiedziałam.

- Myślę, że twoja mama i tato mogliby coś powiedzieć. - Jam zaczął studiować zdjęcie.

- Nie pokażę im tego - wydyszałam.

- Tak. Może faktycznie to nie najlepszy pomysł.

- Co masz na myśli? Jam zawahał się.

- No cóż... Jeżeli ty jesteś tą Martą Lauren, to jak to się mogło stać, że we wrześniu byłaś jeszcze w Ameryce, a na Święta Bożego Narodzenia już tutaj, w Londynie?

Pokręciłam głową. Jam znowu zaczął zadawać te wszystkie praktyczne pytania. Nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłabym być zupełnie kimś innym, niż jestem.

- Pomyśl o tym, panno Naprawialska - Jam uśmiechnął się odrobinę. - Dzieci nie znikają tak po prostu, bez żadnego powodu. Musiałaś zostać zabrana celowo.

- A co to ma wspólnego z moimi rodzicami? - zapytałam. Jam wziął głęboki wdech.

- Myślę, że powinnaś rozważyć taką możliwość, że twoi rodzice byli w to wszystko w jakiś sposób zamieszani.

### 3. Sekret

Byłam pewna, że Jam się mylił. Moja Mama i Tato są wścibscy. I irytujący. I w podeszłym wieku. Ale nie ma takiej opcji, żeby zrobili coś tak złego i niezgodnego z prawem jak porwanie małej dziewczynki.

Spokojnie. Kiedy raz zrodzi się pomysł w twojej głowie, nie ma już odwrotu. Nie ma możliwości, żeby o tym nie myśleć.

Czy ja jestem Martą Lauren Purditt?

Myślałam o tym przez cały czas. Zawiadomienie o zaginionej dziewczynce, które Jam wydrukował, trzymałam pod swoim materacem. Wyciągałam je każdej nocy i studiowałam tak długo, aż znałam każdy milimetr twarzy tej małej dziewczynki. Każdą datę i każdy szczegół dotyczący jej życia. Co nie znaczy, że było tego dużo.

Kilka razy podnosiłam słuchawkę, aby wykręcić numer telefonu, który był umieszczony pod zdjęciem dziewczynki. Nigdy nie miałam jednak dość odwagi, żeby zadzwonić. Co bym powiedziała? „Cześć! Myślę, że mogę być tą zaginioną dziewczynką, której fotografia jest umieszczona na waszej stronie internetowej, tyle że nie zgadza się data urodzenia. Aha, i pochodzę z innego kraju”.

Śmialiby się ze mnie. I policja także.

Minął tydzień. Jam poprzysiągł, że nie piśnie ani słowa. To był nasz sekret. Ale ta myśl nie dawała mi spokoju; była niczym jedna z tych podstępnych świeczek na torcie urodzinowym, której nigdy nie można zdmuchnąć.

I wtedy - zupełnie przez przypadek - odkryłam coś, co zmieniło wszystko na zawsze.

Tato wpada w taką małą rutynę, kiedy wraca po pracy do domu. Nie lubi, kiedy ktoś z nim rozmawia, gdy się przebiera i nalewa sobie coś do picia. Potem on i Mama siadają do obiadu, a po nim Tato zasypia przed telewizorem.

Zawsze mnie dręczą, żebym z nimi jadła. Zazwyczaj jest to ostatnia rzecz, jaką chcę robić, ale dzięki temu Mama przestaje marudzić. I niezmiernie drażni to Rory'ego, który musi iść spać, zanim zasiądziemy do posiłku.

Tego wieczoru Rory pojawił się w drzwiach, w momencie gdy Mama stawiała na stole wielki półmisek z duszoną potrawą.

- Mamusiu, ciągle jestem głodny - jęknął.

Tato przewrócił oczami. On czasami naprawdę potrafi się wkurzyć, gdy Rory szuka sposobu, w jaki może zwrócić na siebie uwagę. Już potrafię sobie wyobrazić, jak Tato układa swoją przemowę (jego tok myślenia nie dorównuje raczej prędkości światła).

Mama jest bardzo surowa, jeżeli chodzi o pilnowanie mojego czasu spania, jednak w przypadku Rory'ego - bierze jego stronę.

- Nie mogę pozwolić na to, żeby poszedł spać głodny, Dave.

I nim Tato cokolwiek zdołał powiedzieć, chwyciła miskę z owocami i poszła uciszać Rory'ego za drzwiami.

Tato wpatrywał się w półmisek z duszoną potrawą, jak gdyby liczył na to, że mięso samo w jakiś przedziwny sposób wskoczy na jego talerz.

- Ona rozpuszcza tego chłopca - wymamrotał pod nosem.

Uśmiechnęłam się do siebie. Tato jest niedoścignionym mistrzem w tworzeniu powalająco oczywistych uwag. Z zawodu jest księgowym - dobry przy zadaniach domowych z matematyki, ale troszeczkę nieudolny, jeżeli chodzi o wyrażanie myśli słowami.

I właśnie z tym wiąże się jego kolejne, nieprzeciętnie wyjątkowe, szczękoopadające stwierdzenie.

- Mama powiedziała mi, że pytałaś o twoją... o to, kiedy byłaś malutka - powiedział.

O mało co nie udławiłam się kawałkiem chleba z masłem, który wtykałam właśnie do ust.

- No więc? - Tato przybrał poważną minę. To wcale nie było dla niego takie proste ze względu na jego wygląd: niski wzrost, łysinę i okrągłe, różowe policzki.

Czułam, jak fala gorąca obejmuje powoli moją szyję. Rozejrzałam się i skinęłam głową. Tato odchrząknął.

- Myślę... - powiedział. Potem nastąpiła długa cisza. No dawaj, Tato! Zanim oboje umrzemy ze starości. Proszę!

- Myślę, że jeżeli jesteś wystarczająco dorosła, żeby zapytać...

W tym momencie Mama pojawiła się ponownie. Wystarczyło, żeby tylko raz spojrzała na moją czerwoną twarz i już byłam pewna, że wie, o co tutaj biega.

- Wystarczająco dorosła, żeby zapytać o co? - spytała.

Tato wymamrotał coś zupełnie bez ładu i składu. Mama wsparła ręce o biodra.

- Myślałam, że zgodziliśmy się w tej kwestii, Dave? - rzekła groźnie.

Atmosfera w pokoju stała się napięta niczym skóra twarzy po liftingu.

Odsunęłam krzesło i wstałam.

Jeżeli ona powstrzyma Tatę przed rozmową ze mną, będzie mogła zapomnieć, że zjem jej głupią kolację.

- Usiądź, Lauren - Mama odburknęła.

Złość nagle we mnie wezbrała.

- Nie! - krzyknęłam.

- Dlaczego ty zawsze myślisz, że wiesz, co jest dla innych najlepsze? - twarz Mamy skurczyła się.

- Usiądź i jedz. Teraz!

Łzy wściekłości i rozczarowania podeszły mi do oczu. Jak ona śmie rozkazywać mi w ten sposób - niczym małemu dziecku.

- Nie usiądę! - krzyknęłam. - Nie możesz mi mówić, co mam robić. Nawet nie jesteś moją prawdziwą matką!

Wybiegłam z kuchni, trzaskając drzwiami.

Potok łez spływał po mojej twarzy, kiedy biegłam przez korytarz, kierując się ku schodom i zaciszu własnego pokoju.

Rory siedział na najwyższym stopniu i pogryzał jabłko.

- Dlaczego wszyscy krzyczą? - zapytał. Zatrzymałam się kilka stopni przed nim i wzięłam głęboki wdech. Moje ręce trzęsły się, kiedy wycierałam twarz.

- Zejdź mi z drogi - wymamrotałam.

- Chcesz zobaczyć marsjański wrak pociągu? - Rory otworzył usta i wystawił język pełen jasnozielonej papki.

Zamknęłam oczy. Czym sobie zasłużyłam na taką drętwą rodzinę? Założę się, że rodzina Marty Lauren Purditt nie była taka. Mogłam sobie ich tylko wyobrazić: wyrozumiała, wytworna mama; wrażliwy, lubiący się bawić tato; i żadnego brata ani siostry w zasięgu wzroku.

Rozgniewane głosy Mamy i Taty dobiegały na górę schodów.

Rory poczłapał w moim kierunku.

- Czy Mama i Tato będą się rozwodzić? - zapytał.

- Tak - warknęłam. - Kłóćą się o to, które z nich potem będzie musiało mieszkać z tobą.

Rory znów pokazał mi język, ale już nic nie powiedział. Kilka sekund później odszedł do swojego pokoju.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Wysoki głos Mamy przebijał się przez gromkie narzekania Taty. A potem usłyszałam swoje własne imię. Zawróciłam, starając się zrozumieć, o czym mówili.

- Przestań krzyczeć! - wrzeszczała Mama. - To twoja wina. Obiecałeś mi!

- Na litość boską! - Tato odwrzasnął. - Mówię tylko, że nie możemy zignorować faktu, że ona nas o to pyta.

Nigdy wcześniej nie słyszałam go tak rozzłoszczonego. To znaczy, oni ciągle się kłóca, ale zazwyczaj o błahe rzeczy, na przykład o to, że tato pracuje zbyt ciężko. Ale tym razem było inaczej.

Ciarki mnie przeszły. Podkrałam się bliżej drzwi kuchennych.

Przez kilka sekund panowała cisza. Potem Mama przemówiła ponownie. Jej głos był teraz spokojniejszy, niemalże błagalny.

- Ona jest za młoda. Jej głowę zaprzatają takie rzeczy jak prace domowe i... i... piosenki popowe.

Tak, oczywiście, Mamo - przecież ty tak dobrze mnie znasz.

- To dlaczego ona jest taka rozgniewana? Dlaczego tak się dopytuje? - zapytał Tato.

- Wszystko za sprawą tych głupich zadań domowych, które muszą przygotowywać. Ale ona w końcu przestanie się tym interesować.

Znów nastała cisza.

- To znaczy, masz nadzieję, że przestanie się tym interesować.

Potem słyszałam tylko, jak Mama pociągała nosem. Jej głos był jakby stłumiony.

- Jeżeli coś jej powiemy, ona będzie chciała znać całą resztę.

Tato wymamrotał coś, czego nie załapałam.

- Wiem, ale to jeszcze nie teraz - powiedziała Mama. - Kiedy będzie miała szesnaście lat, pokażę jej moje pamiętniki. Wszystko przedstawimy z odpowiedniej strony.

Gdy usłyszałam odgłos kroków zbliżających się do drzwi, czym prędzej czmychnęłam na górę. Moje serce waliło jak opętane. I po co te wszystkie bzdety na temat pełnej adopcji? Oni coś wiedzieli o moim życiu, zanim mnie dostali.

Ścisnęło mnie w żołądku. Dlaczego sądzili, że jeszcze nie mogłabym sobie z tym poradzić? Jak straszne to coś musiałyby być? Czy mogło to mieć jakiś związek z Martą Lauren Purditt?

Leżałam w łóżku pewna już tylko jednej rzeczy. Nie było takiej opcji, abym miała czekać do szesnastego roku życia, aby móc przeczytać pamiętniki Mamy.

#### 4. Marchfield

W przerwie między zajęciami następnego dnia Jam i ja wyszliśmy ze szkoły, aby kupić coś na lunch. To taka rzecz, na którą szkoła może ci pozwolić, jeśli tylko jesteś uczniem ostatniej klasy. Minęły dopiero trzy tygodnie od rozpoczęcia roku szkolnego, a Mama już narzeka, że jem same odpadki zamiast porządnego jedzenia, i że za dużo na to wydaję.

Powiedziałam Jamowi o pamiętnikach, gdy czekaliśmy, aby zamówić pizzę z restauracji sprzedającej dania na wynos.

- Dlaczego po prostu sama ich nie przeczytasz? - zapytał.

- Ponieważ Mama trzyma wszystkie swoje stare rzeczy w tych zamkniętych kufrach na strychu.

Podmuch wiatru osmagał moje nogi, kiedy grupa dziewcząt z innej szkoły weszła chwiejnym krokiem do pizzerii. Zgromadziły się na drugim końcu bufetu, chichocząc spod kart dań, które trzymały w rękach.

Jam zamówił to co zwykle - pizzę z szynką i ananasem, a ja z podwójnym pepperoni. Potem usiedliśmy na metalowej ławce w samym rogu restauracji.

- No więc zdobądź klucze i wejdź tam na górę - powiedział.

Spojrzałam na niego. Jamowi zawsze wszystko wydawało się proste.

- A co z Mamą? - spytałam. - Będę potrzebowała kogoś, kto przytrzyma ją z daleka przez co najmniej godzinę.

Jam zmarszczył brwi.

- Czy ona kiedykolwiek wychodzi z domu?

- Rzadko.

I to była prawda. Podczas gdy Tato rzadko wraca do domu przed dziewiątą, Mama pracuje w domu i także większość weekendów i wieczorów spędza w swoim biurze.

Po kilku minutach Jam podszedł do bufetu, aby sprawdzić, czy nasze pizze były już gotowe. Gdy czekał, jedna z

dziewcząt z innej szkoły podeszła do niego. Wyglądała dziwnie - miała nastroszone blond włosy, a jej spódniczka podciągnięta była wysoko do góry.

- Moja kumpela uważa, że jesteś całkiem do rzeczy - powiedziała, gwałtownym ruchem wskazując kciukiem w kierunku krótko ściętego rudzielca siedzącego przy brzegu wśród grupy dziewcząt.

Uśmiechnęłam się, widząc, jak Jam się zarumienił. Dziewczyny zawsze tak na niego działały. Myślę, że on jest całkiem przystojny. Wysoki, o regularnych rysach i pięknym złotawym odcieniu skóry.

Blondynka oparła rękę na biodrze.

- To co, chciałbyś się z nią umówić? Jest wolna jutro wieczorem.

Dziewczęta na drugim końcu bufetu wybuchnęły śmiechem.

Jam również się uśmiechnął, ale delikatnie odmówił. Wyglądał na naprawdę speszonego.

Kelner zbliżał się z naszą pizzą.

Wstałam i odebrałam pudełko. Następnie odwróciłam się do dziewczyny.

- Przykro mi - dotknęłam ramienia Jama. - Ale on jest zajęty jutro wieczorem.

Puściłam Jama przodem, wymykając się z pizzerii. Za plecami dobiegło mnie sarkastyczne zbiorowe: „Ooooo!”. Uśmiechnęłam się do siebie ponownie.

To zabawne, że ani Jam, ani ja nie byliśmy zainteresowani umawianiem się na randki, chcieliśmy tylko mieć przyjaciół. My chcieliśmy być przyjaciółmi.

- Co miałaś na myśli, jeżeli chodzi o jutrzejszy wieczór? - zapytał Jam, gdy wyszliśmy na ulicę.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Chciałabym przejrzeć te pamiętniki, miałam nadzieję, że mi pomożesz.

Mój plan był prosty. Mama Jama, Carla, zawsze powtarzała, że ponieważ ja i Jam byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi, ona powinna się w końcu spotkać z moją Mamą. No więc tego wieczoru zapytałam Carlę, czy Mama mogłaby ją odwiedzić następnego dnia.

- Ona naprawdę chciałaby cię poznać - skłamałam. Carla jak zwykle podeszła do sprawy entuzjastycznie, choć może trochę mało precyzyjnie.

- To świetnie, kochanie, ale poproś ją, żeby przyszła przed siódmą, bo wtedy właśnie zaczynam przyjmować klientów.

Oczywiście Mama nie chciała pójść. Po części dlatego, że ona w ogóle nie znosi wychodzić z domu, a po części dlatego, że uważa mamę Jama za totalną wariatkę. Właściwie to ma rację, ale to już zupełnie inna historia.

- Co oznacza, że mam przyjść przed siódmą? - spytała Mama. - Jestem zaproszona na podwieczorek, tak?

Westchnęłam.

- Oni normalnie nie mają podwieczorków. Jedzą wtedy, gdy mają na to ochotę. Daj spokój, Mamo! Proszę! Będzie mi bardzo niezręcznie, jeżeli nie pójdziesz.

W końcu Mama się zgodziła.

Myślę, że Carla zatrzyma ją przez co najmniej godzinę. Wystarczająco długo, abym znalazła te pamiętniki na strychu i dobrze się im przyjrzała.

Następnego dnia Mama wyszła z domu piętnaście po szóstej, cały czas zrzedzając i zakazując Rory'emu jedzenia czekolady przed kolacją. Dziesięć minut później zadzwonił Jam.

- Przesyłka dotarła - powiedział. Zachichotałam.

- Nie zapomnij zadzwonić do mnie, zaraz jak od was wyjdzie - powiedziałam.

Jak tylko Jam odwiesił słuchawkę, zbiegłam na dół do kuchni, porwałam tyle czekoladowych batoników, ile tylko zdołałam unieść. Później z powrotem po schodach na górę i do pokoju Rory'ego. Tłusta mała twarzączka nachylała się nad konsolą do gier komputerowych. Jam - w heroicznym geście przyjaźni - pożyczył mu swoją grę „Legendy zaginionego cesarstwa”.

- Proszę - mocno podsunęłam czekoladowe batoniki w jego stronę. - Teraz siedź cicho.

Pochwyciłam komórkę i wpadłam do gabinetu Mamy.

Wszystkie jej klucze wisiały starannie w rzędzie na haczykach tuż za biurkiem. Wrzuciłam do kieszeni komplet kluczy oznaczony napisem: „Strych”, a następnie pobiegłam do pokoju rodziców, opuściłam schodki na strych i wspięłam się na górę.

Przypuszczam, że na większości strychów jest zazwyczaj mały rozgardiasz. Worki na śmieci, części starego wyposażenia, walizki. Tego rodzaju rzeczy.

Ale nie u nas.

Mama wszystko ma uporządkowane w kufrach. Do wszystkich kufrów przyczepione są etykiety: „Ubrania”, „Szkola”, „Uniwersytet”, „Listy”, „Pamiętniki”. To tutaj. Ręce mi się trzęsły podczas szarpania się z kluczami, kiedy wypróbowywałam każdy z nich w zamku. W końcu jeden zaskoczył i usłyszałam satysfakcjonujące kliknięcie. Otworzyłam kufer, przyglądając się badawczo starannie poukładanym rzędom czarnych notatników. Do każdego dołączona była etykieta określająca kwartał roku: „Styczeń - marzec”, „Kwiecień - czerwiec”, i tak dalej.

Wszystkie obrzydliwie dokładnie posegregowane.

Przegrzebałam i znalazłam rok, w którym zostałam adoptowana.

Wybrałam „Wrzesień - grudzień”. Te trzy miesiące, które wiążą się ze zniknięciem Marty i moją adopcją.

Serce mi waliło, gdy przeglądałam strony w poszukiwaniu mojego imienia.

Były tam odnośniki do mojej osoby z dwudziestego piątego i trzydziestego września. Ale wtedy to ja mogłam być tylko w planach. Pomysł o dziecku, którego jeszcze nie spotkali. I wtedy...

7 października

Spotkaliśmy Lauren w Marchfield. Uśmiechała się do mnie. A przynajmniej tak sobie tłumaczę jej minkę. Dave powiedział, że to było raczej przypadkowe wydęcie wargi. Lauren nie uśmiecha się zbyt często. Właściwie to się nie dziwię. Przez to, że Sonia Holtwood jest związana z tą sprawą, wszystko jest bardzo napięte. Jestem pewna, że ona wykorzystuje to w jakiś sposób.

Odłożyłam pamiętnik. Po raz pierwszy od czasu, gdy znalazłam w sieci informacje o Marcie Lauren Purditt, nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć cokolwiek więcej. Skręcało mnie w żołądku. Kim była Sonia Holtwood? I w co dokładnie oni wszyscy byli zamieszani?

Siedziałam tam przez kilka chwil, trzymając pamiętnik na kolanach.

Ale już było za późno, żeby się wycofać.

14 października

Nie śmiałam mieć nadziei. Nie chcę się znowu rozczarować.

20 października

Postawa Sonii jest wręcz nie do pomyślenia. Ale my w to wchodzimy, tak czy owak. Nic nas nie zatrzyma przed wzięciem Lauren. Nic.

30 października

Lauren. Moja Lauren. Po tych wszystkich latach to się naprawdę dzieje. Za dwa dni przywozimy ją z Marchfield do domu.

I to wszystko. Ani słowa więcej o Sonii, ani o Marchfield. Za to sporo wspomnień o tym, jak to było, kiedy przywieźli mnie do domu.

No więc czym było Marchfield i gdzie to coś się znajduje? Przekartkowałam pamiętnik do końca, do plastikowej okładki zawierającej całą kolekcję wizytówek. Zauważyłam ją natychmiast - żółknącą wizytówkę z grubo wytłoczonymi słowami: „Agencja Adopcyjna w Marchfield”.

Nagle usłyszałam długi, przeciągły dzwonek do drzwi. Skoczyłam na równe nogi i podbiegłam do klapy w podłodze.

- Cześć Jam - usłyszałam głos Rory'ego.

- Lauren! Ona za chwilę tu będzie! - wrzask Jama odbił się echem od korytarza.

Włożyłam do kieszeni wizytówkę agencji w Marchfield, rzuciłam pamiętnik z powrotem do kufra i szybko zbiegłam po schodkach.

Jam wpadł do sypialni rodziców w samą porę, by pomóc mi wepchnąć schodki z powrotem na strych. Wszystko było na swoim miejscu, gdy drzwi frontowe się otworzyły.

- Jestem w domu - krzyknęła Mama.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? - zwróciłam się do Jama, delikatnie zawieszając klucze na haczykach.

- Zadzwoniłem. W twoim telefonie cały czas włączała się poczta głosowa. Dlatego leciałem jak oszalały naokoło.

Sprawdziłam komórkę. Dźwięk był zupełnie ściszony.

- Ja to zrobiłem, kiedy poszłaś po moją czekoladę - powiedział Rory.

- Ty mały... - rzuciłam się na niego, ale udało mu się wymknąć z mojego uścisku.

- Zrób mi cokolwiek, a powiem Mamie, że grzebałaś w jej rzeczach - powiedział.

Spojrzałam na niego.

- Świetnie - dorwę go innym razem.

Rory zszedł na dół. Jam wymknął się z domu, niezauważony przez Mamę. Była w dobrym nastroju, pobrzękiwała czymś w kuchni. Podejrzywałam, że Carla dała jej do picia coś mocniejszego niż herbata.

- Totalny bezład - powiedziała Mama. - Biedny Jam. Oni żyją w niesamowitym bałaganie. To miejsce powinno być poddane bardzo dokładnemu sprzątnięciu. Ale oczywiście Carla jest zbyt zajęta swoim hipnozo - gibkościowo - kolorystycznym - względem - twojej - własnej - aury nonsensem.

Kiwnęłam głową bez specjalnego zagłębiania się w treść monologu Mamy. Moje myśli były związane z wizytówką, którą miałam w kieszeni. Wymknęłam się z kuchni i poszłam na górę do swojego pokoju.

Trzęsącymi się rękoma wyjęłam wizytówkę.

Taylor Tarsen, dyrektor Agencja Adopcyjna w Marchfield  
11303 Main Street Marchfield, Vermont, USA

Ameryka. Czy adoptowano mnie z Ameryki? Przemknęła mi przez myśl informacja ze strony internetowej. Marta Lauren też była Amerykanką. Moja skóra pokryła się gęsią skórką, a ciarki przeszły mi po plecach.

Byłam coraz bliżej prawdy.

Jakaś część mnie chciała zbiec na dół, wpaść do kuchni, spojrzeć Mamie prosto w oczy i uświadomić jej, jakiego odkrycia dokonałam. Tylko co dobrego by to przyniosło?

Mama i tak niczego by mi nie powiedziała.

Co więcej, wkurzyłaby się maksymalnie, gdyby dowiedziała się, że weszłam w jej pamiętnikach.

Niezależnie od tego, czego dowiem się w Agencji Adopcyjnej w Marchfield, wiem, że muszę to coś sama znaleźć.

## 5. Carla

Ostatni tydzień września był gorący i słoneczny. W taką pogodę wolałam przebywać w domu Jama niż w swoim. Trawa w jego ogrodzie za domem była zawsze wysoka i miękka - idealna, żeby się na niej wylegiwać.

Dzień po tym, jak przeczytałam pamiętniki Mamy, po szkole pognaliśmy od razu do Jama. Oceniałam, że możemy spędzić w ogrodzie około godziny, zanim Mama zadzwoni i każe mi wrócić i odrobić pracę domową.

Gdy ja rozsiadałam się na trawie, Jam wyłonił się z kuchni, niosąc pęk bananów, trzy wegetariańskie kiełbaski i kilka paczek herbatników.

- To jak daleko od siebie są Marchfield i Evanport? - zapytał, otwierając jedno z opakowań ciasteczek.

- Niedaleko. Załedwie kilka centymetrów według atlasu Rory'ego - wychyliłam twarz do słońca. - Chociaż to są dwa różne stany.

Jam delikatnie umieścił kiełbaskę pomiędzy dwoma pełnoziarnistymi herbatnikami.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał.

- Nie wiem - westchnęłam.

No bo i jakie opcje mieliśmy? Nie mogłam rozmawiać z rodzicami. I wiedziałam już także, że żadna agencja adopcyjna niczego by mi nie powiedziała bez ich zgody. Na litość boską! Marchfield znajdowało się w Stanach!

Gdziekolwiek bym się nie odwróciła - ślepy zaułek. Oderwałam jednego banana, następnie odłamałam jego końcówkę.

- To jest wszystko, co zamierzasz zjeść? Wzruszyłam ramionami.

- To nie jest tak, że mam jakiegoś fioła na punkcie diety czy coś, ale po prostu nie chcę odstawać od reszty rodziny.

Widzisz, Mama w zasadzie ma filigranową budowę, a ja jestem nawet wyższa od Taty.

Jam wyciągnął się na trawie, wbijając się zębami w swoją herbatnikową kanapkę z kiełbaską.

- Wiesz, Lorenzo, właściwie to wielka szkoda, że nic nie pamiętasz z okresu swojej adopcji. To zaoszczędziłoby masę czasu.

Spojrzałam na niego. Z jakiegoś powodu nigdy nie przyszło mi do głowy, że jedynym miejscem, które zawierałoby wszystkie odpowiedzi na pytania dotyczące mojej przeszłości, mogłaby być moja własna głowa.

Frontowe drzwi trzasnęły. Jam usiadł i jęknął. Szalona wróciła do wariatkowa.

Minutę później Carla wsadziła swoją kędzierzawą głowę przez tylne drzwi.

- Kochani, już wróciłam z płukania okrężnicy! Zaczzerwieniłam się.

- Obrzydliwe, mamó - Jam zrobił minę. - Dostarczasz zbyt wiele szczegółów.

Carla wyszła do ogrodu, czochrając włosy.

- Nie bądź taki spięty. Jestem pewna, że Lauren już o tym wcześniej słyszała. A co wy tak w ogóle porabiacie? - jej oczy błyszczały.

Jam poczerwieniał.

- Maaamooo - wymamrotał.

Carla puściła do mnie oko.

- Chciałam wam tylko zakomunikować - powiedziała - że mam nowego klienta o siódmej trzydziści i z tego powodu potrzebuję Ciszy Absolutnej.

Cichutko weszła do domu.

Jam klapnął z powrotem na trawę.

- Czy ona mogłaby być jeszcze bardziej zenująca? W ubiegłym tygodniu złapałem ją na rozmowie z tą nową

nauczycielką wychowania fizycznego. Opowiadała, w jaki sposób odblokowała energię pewnej kobiety przez jej duży palec u nogi.

Zachichotałam.

- Brzmi drastycznie - powiedziałam. Nagle moje oczy rozszerzyły się. - Może twoja mama mogłaby mi pomóc przypomnieć sobie moje wczesne dzieciństwo? No wiesz, za pomocą tych wszystkich rzeczy, które ona robi: rebirthingu, refleksologii, hipnoterapii - to prowadzi do...

- Nie ma mowy - Jam spojrział na mnie. - Ona ma bzika na tym punkcie.

- Daj spokój, Jam - przekonywałam go. - Warto spróbować. Ona może mi pomóc.

- Chyba pomóc ci oszaleć.

Nie było mowy, żeby go przekonać, więc poszłam do kuchni sama. Carla stała przy szafce, wyciągając blachę do pieczenia.

- Czy mogę się o coś zapytać? - powiedziałam.

- Jasne - zaproponowała, abym usiadła, i umieściła przede mną zatłuszczoną, pełną pomarańczowych odpadków miskę.

Kiedy byłam tutaj ostatnio, Carla przygotowywała orzechowe kotlety wegetariańskie w kształcie części ciała. A my musieliśmy zgadywać, jakie to były części. - Małe zadanie domowe z biologii, kochani.

Zastanawiałam się, co właściwie znajdowało się w tej misce.

- Hummus domowej roboty - oznajmiła Carla, podając mi drewnianą miskę. - No dalej, mieszaj - powiedziała.

Podniosłam łyżkę, spoglądając na nią niepewnie.

- Więc myślisz o swoich rodzicach biologicznych? - zapytała Carla, siadając obok mnie.

Szczęka mi opadła.

- Czy Jam coś powiedział...?

- O! Na miłość boską - Carla potrząsnęła głową tak mocno, że wszystkie jej loki zahuštały się. - On jest mężczyzną. Silny i cichy. Bóg go kocha. Nie. To była pani Zamartwialska.

Przez sekundę nie miałam pojęcia, o kim ona mówiła. W końcu moje oczy rozszerzyły się.

- Moja Mama to powiedziała? - spytałam z niedowierzaniem.

- Nie do końca - Carla potrząsnęła opadającymi bransoletkami.

- Intuicją zarabiam na życie. Widzę wiele znaków. Podniosłam drewnianą łyżkę i zamieszałam mazisty pomarańczowy hummus.

- Jakie znaki?

Carla machnęła lekko ręką.

- O, kochanie. Jak mogłabym ci pomóc? Czułam, że się czerwienię. Bardzo lubiłam w Carli to, że traktowała dzieci jak dorosłych, ale prawda była taka, że odrobinę się jej bałam. Ona była przeciwieństwem mojej Mamy.

Wzięłam głęboki wdech. Potem to wszystko popłynęło już ciurkiem:

- Zastanawiałam się, czy zahipnotyzowałabyś mnie tak, żebym mogła dowiedzieć się czegoś o mojej biologicznej mamie, o mojej prawdziwej rodzinie. O okresie przed moją adopcją.

Carla uniosła brwi.

- A jak myślisz, co pani Zamartwialska powiedziałaby na to?

Zaczerwieniłam się.

Carla spojrzała na mnie. Zdawało się, że jest jakby wewnętrznie rozdarta, niepewna, co powinna zrobić.

- Myślę, że mogłabym cię wprowadzić w stan głębokiej relaksacji - pogrążyła się w zadumie. - To nie będzie bolało.

Spojrzałam na nią ponownie, bijąc się z myślami. Wcześniej wyglądało to na tak oczywistą rzecz, ale teraz, w oślepiającym blasku popołudniowego słońca czułam się nieco głupio. A nawet byłam przerażona.

Otworzyłam usta, aby powiedzieć, że może to wcale nie był taki dobry pomysł, ale pod wpływem impulsu Carla wypaliła.

- Oj, daj spokój. Jeżeli mamy to zrobić, zrobmy to teraz.

Serce podskoczyło mi do gardła.

- Nie - pisnęłam. - Nie teraz. Jeszcze nie.

- Lepiej teraz, niż kiedy będziesz miała szansę wytworzyć wewnętrzne blokady. No, dawaj.

Carla wyszła zamaszystym krokiem z kuchni. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko podążyć za nią.

## 6. Wspomnienia

Zrozumiałam, że znalazłam się w poważnych kłopotach, kiedy Carla zaczęła przedstawiać mi swoje świece.

- To jest Evie, to jest Elsie, a to jest Tom - powiedziała, wskazując na trzy grube, woskowe kule ustawione na spodeczkach na dolnej półce. - Ogień jest siedzibą ich ducha. Zostały wciągnięte do ognia tutaj, w moim Przybytku Całkowitego Spokoju. Pozwól ich duchom cię przeniknąć i przenieść do innej przestrzeni i innego czasu.

Przybytek Całkowitego Spokoju Carli lub Przybytek Totalnej Jajcami, jak to Jam zwykł nazywać, mieścił się na poddaszu domu. Było tam jedno małe okienko i łagodnie nachylone ściany tworzące przytulny nastrój i tajemniczą atmosferę.

Hałas dochodzący z parteru - telewizor i krzyki siostry Jama - ucichły, gdy Carla zatrzasnęła drzwi. Wskazała mi jeden z niskich, miękkich, purpurowych foteli stojących pokoju.

- Nie denerwuj się tak - powiedziała spokojnie. - Nie zrobię ci prania mózgu.

- A co będziesz robić? - zapytałam. Tak bardzo żałowałam, że powiedziałam jej cokolwiek.

O czym ja myślałam? Nie chciałam, żeby ktokolwiek grzebał w moim mózgu, żeby widział wszystkie moje sekretne myśli, a już na pewno nie to dziwadło, jakim jest mama Jama.

- Będzie tak, jak ci powiedziałam. Wprawię cię w stan głębokiego odprężenia, będziesz wtedy mogła przypomnieć sobie rzeczy, które są ukryte głęboko w twojej psychice.

- A będę świadoma tego, co robisz? - zapytałam.

- Oczywiście. Ja tylko pomogę ci się zrelaksować. Będziesz świadoma wszystkiego przez cały czas.

Usiadłam w fotelu. Carla rozpoczęła od polecenia, bym wyobraziła sobie, że leżę na plecach na pustej łące.

- Poczuj trawę pod swoimi dłońmi. Wdychaj słodkie, świeże powietrze...

To brzmi dziwnie, wiem. Ale właściwie to była niezła zabawa.

Po chwili złapałam się na tym, że naprawdę wciągałam się w to coraz bardziej i bardziej.

Carla odchrząknęła. Jej bransoletki, muśnięte podmuchem wiatru, zabrzęczały delikatnie.

- Będę teraz odliczać od dziesięciu wstecz - powiedziała niskim, uspokajającym głosem. - Z każdą liczbą będziesz odpływać, czuć, jak twoje ciało coraz głębiej zapada w sen, ale twoja wyższa świadomość nie będzie spać - będzie czuwać. Dziesięć. Dziewięć. Osiem...

Zapadałam się w fotel coraz głębiej. Czułam się cudownie wiotka i zrelaksowana.

- ...Trzy. Dwa. Jeden.

Moje ciało zatoneło w fotelu. To było najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznałam. Spałam, ale jednocześnie, jak by to powiedzieć, byłam całkowicie przytomna.

- Dobrze, dobrze - głos Carli był teraz niczym delikatny brzęk. - Teraz masz trzy lata. Co widzisz?

Na początku nie widziałam nic. Starłam się wyobrazić sobie siebie w wieku trzech lat. Pluszowe misie. Piaskownica. Zabawa lalkami. Nic.

Rety! To była totalna strata czasu.

Przestałam się wysilać, pozwalając ciału znów wrócić do swojej wagi.

Chwilę później, tak po prostu, bez ostrzeżenia, cała sytuacja niejako wskoczyła do mojej głowy.

Byłam mała. Bardzo mała. Trzymałam plastikowe wiaderko w ręce. Ziemia była żółta. Ruszała się pod moimi stopami.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytała Carla.

W moich wspomnieniach przebierałam paluszkami u nóg. Byłam na plaży. Świeciło słońce. Morze szumiało za moimi plecami. Machałam do kobiety, która stała na plaży w pewnej odległości ode mnie. Promienie słoneczne mieniły się w jej włosach i na jej białej sukience. Wyglądała jak anioł. I była prawdziwa. Ona także do mnie machała. I śmiała się. Później się odwróciła i podbiegła do skały. Jej długie, czarne włosy opadały na plecy. Upuściłam wiaderko. Musiałam za nią iść. Znaleźć ją. Spojrzeć jej w twarz.

- Lauren, Lauren - tak szybko, jak głos Carli ściągnął mnie z powrotem na ziemię, kobieta zniknęła z mojej pamięci. Poczucie ogromnej straty ogarnęło całe moje ciało.

- Będę liczyła do dziesięciu - powiedziała Carla. - Z każdą liczbą twoje ciało będzie się coraz bardziej budziło. A kiedy skończę odliczać, twoje ciało zupełnie się obudzi.

- ...Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

Otworzyłam oczy. Byłam z powrotem w Przybytku Całkowitego Spokoju.

Evie, Elsie i Tom mrugały do mnie ze swojej półki. Przygniatający ciężar legł na moim sercu.

Carla uśmiechała się pokrzepiająco.

- Jak się czujesz? - zapytała.

Pusta. Smutna. Samotna.

- Dobrze - powiedziałam. - Nic się nie wydarzyło. Carla nastroszyła palcami włosy.

- Nie martw się. Możemy kiedyś spróbować jeszcze raz.

Zachowałam wspomnienia dla siebie.

Byłam Martą. A ciemnowłosa kobieta na plaży to moja prawdziwa mama. Nie miałam żadnego dowodu, ale gdzieś w głębi serca byłam o tym przekonana.

Nie mogłam przestać o niej myśleć. Jeszcze nie tak dawno chciałam dowiedzieć się czegoś na temat swojej przeszłości. Teraz po prostu rozpaczliwie musiałam ją poznać.

Nie mogłam zasnąć przez większą część nocy. Próbowałam zdecydować, co mam dalej robić. Wszystko sprowadzało się do Agencji Adopcyjnej w Marchfield. Sprawdziłam w internecie - w dalszym ciągu znajdowała się w Vermont, a Taylor Tarsen wciąż był jej dyrektorem.

Wiedziałam, że moja kartoteka adopcyjna jest tam przechowywana. Z pewnością zawiera kluczowe informacje na temat tego, co tak naprawdę się wydarzyło.

Tak. Ta kartoteka to punkt wyjściowy. Gdyby agencja nie mogła mi jej udostępnić, musiałabym sama udać się do Marchfield i rzucić na nią ukradkiem okiem.

Bez względu na to, co by to miało oznaczać.

## 7. Ferie

„Legendy zaginionego cesarstwa" stały się prawdziwą obsesją Rory'ego. Nie tylko gra oraz film, na który wyciągnął Tatę już trzy razy, lecz także książka (książka audio, naturalnie). Musimy nawet kupować te wstrętne płatki śniadaniowe, żeby Rory mógł kolekcjonować wszystkie plastikowe postacie z „Legend zaginionego cesarstwa".

Rory ekscytował się właśnie swoją najnowszą zabawką - mieczem.

- Wykonaj jakiś ruch, Rory - poprosiłam. Rory zmrużył oczy.

- Dlaczego?

- No, dawaj! - uśmiechnęłam się. - Chcę zobaczyć cię w akcji. Kim teraz jesteś? Czy to troll?

Rory obdarzył mnie pełnym pogardy spojrzeniem.

- Trolle nie noszą mieczy. To jest Largarond, król elfów z Sarsaring - uniósł miecz nad głowę. - Jest gotowy do walki!

- Fantastyczny! - zachwyciłam się. - Świetnie go naśladujesz.

Rory nic nie odpowiedział. Ale tak szybko, jak wykonał kolejny ruch mieczem, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Usiadłam i obserwowałam go jeszcze przez około minutę. Czulałam wyrzuty sumienia z powodu tego, co miałam zamiar zrobić. Ale chwilę później przypomniałam sobie, jak całkiem niedawno Rory celowo ściszył dźwięk w mojej komórce.

Zasługiwał na karę bez dwóch zdań.

Przysunęłam się nieco bliżej, aby otrzymać śmiertelny cios.

- Wiesz, że ostatnio w parku rozrywki Fantasma oferują taką niesamowitą wycieczkę po „Legendach zaginionego cesarstwa"?

Rory zatrzymał się w połowie wymachu mieczem.

- Jak to wygląda? - zapytał.

- Z tego, co wiem, to rewelacja - słyszałam o tym, że taka wycieczka istnieje, ale miałam dosyć mgliste pojęcie o szczegółach, nie było jednak czasu do stracenia. - Jest taki ogromny, ciemny las i idzie się przez niego naprawdę szybko. Wszystko tam wiruje. I... i jeśli siedzisz z przodu, to walczysz ze wszystkimi głównymi postaciami.

Rory zmarszczył brwi.

- Ale to główne postacie powinny walczyć z armią trolli i chmarą skrzatów z Nanadrig.

- No i tak jest - powiedziałam szybko. - Miałam na myśli to, że jesteś w drużynie głównych postaci i zwalczacie czarne charaktery. Jam mi o tym powiedział. Mówił, że to naprawdę robi duże wrażenie.

Czułam, że to, co wymyśliłam, było po prostu genialne. Rory uwielbia Jama. I wszystko to, co Jam uważa za świetne, Rory naśladuje i za tym podąża.

- Chcę jechać na tę wycieczkę - powiedział Rory, wykonując pchnięcie mieczem.

- To w takim razie będziesz musiał pogadać z Mamą - powiedziałam, starając się ukryć uśmiech. - Tematyczny park rozrywki Fantasma jest w Ameryce.

A dokładnie w New Hampshire, blisko stolicy, Concorde. Cały wczorajszy wieczór spędziłam na szukaniu najlepszego miejsca na wakacje, które byłoby tak blisko Vermont, jak to tylko możliwe. Fantasma była idealna - nowy park rozrywki specjalizujący się w przejażdżkach związanych z opowieściami fantastycznymi. Cała masa różnych baśniowych rzeczy plus całkiem nowiutka przejażdżka z okazji ogromnego sukcesu kasowego „Legend zaginionego cesarstwa” .

Kiedy już załatwiłam sprawę z Rorem, następnym krokiem było przekonanie Mamy. Przypomniałam jej mimochodem, że od miesiąca mówiła, że wszyscy powinniśmy się wybrać na rodzinne wakacje.

- Tak, wiem, ale planujemy w tym roku kupić nowy samochód - odparła Mama. - Nie możemy sobie pozwolić na obie rzeczy.

- Ale wakacje, na których będziemy wszyscy razem, są ważniejsze - przekonywałam. - Czy komuś przeszkadza to, że nasz samochód nie jest już najnowszy?

Mama uniosła brwi.

- No cóż. Pamiętasz jak odbierałam cię ostatnio z przyjęcia tym samochodem? Powiedziałaś, że jest tak stary, że aż ci wstyd. Oraz że przypomina ci mnie.

- Bardzo mi przykro, że tak powiedziałam - wymamrotałam. - Byłam głupia. Chodzi o to, że... pewnie nie będzie wielu okazji, abyśmy wszyscy razem spędzali wakacje, prawda? No bo wiesz, niedługo dorosnę i będę po prostu za duża. Nie chciałabyś wykorzystać tego, że ja ciągle jeszcze chcę, abyśmy wszyscy byli razem?

Spojrzała na mnie, a ja już wiedziałam, że mam ją w garści. Cała reszta była już prosta. Dzięki temu, że Rory w kółko gadał o przejażdżce trasą „Legend zaginionego cesarstwa”, a ja przytaczałam z turystycznej strony internetowej całe fragmenty o niezwykle pięknym jesiennym krajobrazu terenów otaczających New Hampshire, Mama szybko zaczęła wierzyć w to, że północno - wschodnie wybrzeże Ameryki to idealne miejsce na ferie zimowe.

- Ale ten wyjazd w dalszym ciągu będzie drogi - powiedziała ponuro.

Byłam przygotowana także i na to.

- Wcale nie musi być drogi. Sprawdziłam. W parku rozrywki mają oferty specjalne. A wczoraj razem z Jamem wyszukaliśmy w internecie tanie połączenia lotnicze.

Mama pokiwała głową w zamyśleniu.

- Wiesz, Dave, te wakacje to dobry pomysł - powiedziała do Taty tego wieczoru. - To już dwa lata, od kiedy nie byliśmy nigdzie całą rodziną.

Tato wymamrotał coś na temat dofinansowania urlopu, które mógłby otrzymać z pracy. Widać było, że jeśli Mama zgodzi się na wczasy, Tato nie będzie miał nic przeciwko.

Pokazałam im plan podróży, który opracowaliśmy razem z Jamem. Zajęło nam to całe wieki.

- Będziemy musieli czekać kilka godzin w Bostonie, żeby przesiąść się na inny samolot - powiedziałam. - Ale te połączenia są naprawdę tanie.

Boston był największym miastem w pobliżu Vermont. W czasie, kiedy Mama i inni czekaliby na lot do New Hampshire, ja mogłabym złapać samolot do Burlington w Vermont, a potem autobus do Marchfield.

Wszystko, czego potrzebowałam, to pieniądze.

W końcu wzięłam się do roboty i przez kilka kolejnych dni załatwiałam różne sprawy naszym sąsiadom i robiłam zakupy spożywcze dla Mamy. Nasz samolot wylatuje w piątek we wczesnych godzinach porannych - a to oznacza, że opuszczę ostatni dzień szkoły.

Jam wpadł w czwartek wieczorem, tuż przed wyjazdem, żeby się ze mną zobaczyć. Właśnie pakowałam plecak, który miałam zamiar zabrać do Marchfield.

Wiedziałam, że coś było na rzeczy, jak tylko Jam pojawił się w drzwiach. Był cały czerwony. Chyba czuł się zażenowany. Trzymał coś za swoimi plecami.

- Co się dzieje? - zapytałam.

Jam wyciągnął rękę w moją stronę. W dłoni trzymał dwa szeleszczące banknoty studolarowe.

- Skąd je wzięłeś?

Jam wzruszył ramionami.

- Roznoszenie gazet, urodziny, babcia trochę przysłała. No i oszczędzałem na komputer.

Zagryzłam wargi. Wiedziałam, jak bardzo Jam pragnął mieć swój własny komputer. Nie mógł ścierpieć, że cała rodzina używa tego samego.

- Jesteś takim wspaniałym przyjacielem, Jam - powiedziałam. - Oddam ci, obiecuję.

Uśmiechnął się.

- Może, jeśli wrócisz...

Wtedy Mama zaczęła krzyczeć na dole. Wybiegłam z pokoju.

- Nie możesz mi tego zrobić, Dave! - wrzasnęła Mama.

Zanim zesłam na parter, zdążyłam się zorientować, o co chodziło. Tato mówił, że jest zbyt zajęty w pracy, żeby teraz jechać na urlop.

Wchodząc do kuchni, usłyszałam słowa:

- Ale to jest największy klient, jakiego nasza firma miała do tej pory.

Mama i Tato spojrzeli na mnie jednocześnie. Mama wytarła z wściekłością ręce o ścierkę do naczyń.

- Ty jej powiedz - prychnęła.

Tato zwiesił głowę. Wymamrotał coś o nawale pracy i nowym wielkim kontrakcie, ale ja nie słuchałam. Pracowałam tak ciężko, żeby wszystko się udało z tym wyjazdem. A teraz Tato mówi, że on nie może jechać?

Mama patrzyła na mnie, okręcając nerwowo ścierkę wokół ręki.

Kiedy Tato skończył mówić, zwróciłam się do Mamy:

- Ale ty, ja i Rory wciąż możemy jechać, prawda? - zapytałam.

- Jeżeli Tato nie może jechać, to to już nie będą prawdziwe rodzinne wakacje - Mama rzuciła Tacie gniewne spojrzenie. - Więc nie, nie możemy jechać.

- Ale... Ale stracimy wszystkie pieniądze, jeżeli teraz zrezygnujemy.

Nie mogłam w to uwierzyć. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że w jednym momencie wszystkie moje plany mogą lec w gruzy.

Mama zacisnęła usta.

- To jest takie niesprawiedliwe - ryknęłam, wychodząc z kuchni.

Krzyki zaczęły się na nowo, zanim dotarłam do swojego pokoju. Zatrzasnęłam drzwi i osunęłam się na łóżko. Jam wciąż tam był, wyglądał przez okno.

Spakowany plecak leżał w kącie. Krawędź różowej portmonetki wystawała z przedniej kieszeni. Pomyślałam o tych wszystkich pieniądzach, które zaoszczędziłam, i o Jamie, który także dał mi swoje oszczędności. Łzy napłynęły mi do oczu.

Jam obrócił się. Nawet nie zapytałam, czy słyszał, co się wydarzyło. Rodziców z pewnością dało się słyszeć w całej okolicy.

- Może udałoby ci się przekonać mamę, aby ktoś inny pojechał zamiast twojego Taty - powiedział - i wtedy pieniądze by się nie zmarnowały.

Spojrzałam na niego.

To była ryzykowna próba, ale właściwie dlaczego by nie spróbować?

- Ale kto? - zmarszczyłam brwi. Kto według Mamy byłby odpowiedni, żeby na wakacjach zastąpić Tatę? Może brat lub siostra? Problem tylko polegał na tym, że Mama nie miała rodzeństwa. Może jakaś przyjaciółka?

Jam uśmiechnął się do mnie, jak gdyby tylko czekał, żebym załapała jego dowcip. I nagle mnie oświeciło. Zbiegłam w pośpiechu do kuchni. Tato właśnie zniknął za frontowymi drzwiami.

- Zaczekaj! - krzyknęłam, ale się nie zatrzymał. Mama stała przy zlewie, szorując lśniąca już patelnię. Nie obróciła się w moją stronę, kiedy weszłam do kuchni. - Czy Jam mógłby jechać zamiast Taty? - zapytałam.

Mama otarła oczy.

- Nie sądzę, Lauren. To miały być rodzinne wakacje. Powinniśmy zmienić datę wyjazdu.

- Nie możemy. Tak jak powiedziałam wcześniej, jeżeli wycofamy się teraz, to nie dostaniemy z powrotem żadnych pieniędzy - przerwałam. - Oj Mamo, oczywiście, że byłoby o wiele lepiej, gdyby Tato pojechał, ale przecież sama wiesz, jaki Jam jest odpowiedzialny. On potrafi się odnaleźć w każdej sytuacji.

Mama położyła zmywak, obróciła się do mnie i westchnęła.

- Wiem, że nie mogliście się już doczekać tych wakacji. I masz całkowitą rację, Jam jest dojrzały jak na swój wiek, a to dlatego, że Carla nałożyła na niego za dużo obowiązków - przerwała. - Ale pewnie już jest za późno, żeby zamienić bilety. A poza tym może Jam wcale nie chciałby jechać.

- Nie jest za późno, Mamo, a Jam naprawdę chciałby pojechać - każdy mięsień mojego ciała był napięty, gotowy do zbijania jej argumentów.

Mama westchnęła.

- No dobrze, dobrze, ale... - jej twarz stężała. - Jak będzie wyglądała sprawa noclegów? - zapytała, a jej policzki zaróżowiły się. - Mam na myśli to, że ty masz czternaście lat, a Jam dopiero co miał piętnaste urodziny. Nie chcę... To znaczy, nie pozwolę...

Czy wy...

Spojrzałam na podłogę, rumieńce zalały mi szyję i twarz.

- Mamo - powiedziałam ochryplym głosem. - To nie jest tak, jak myślisz. Jam i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Mama wzięła się pod boki.

- Czy Jam myśli tak samo?

- Oczywiście! Tak czy owak, ja mogę być z tobą w pokoju, a Jam może spać z Rorym. Mały będzie w siódmym niebie z tego powodu.

- Zgoda - powiedziała w końcu. - Zadzwońię do mamy Jama.

## 8. Ameryka

Żołądek podszedł mi do gardła jeszcze przed tym, jak steward zapowiedział schodzenie do lądowania na lotnisku Logan.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były bardzo nerwowe. Nasze bilety nie podlegały zwrotowi, więc musieliśmy zapłacić opłatę administracyjną, aby przepisać bilet Taty na Jama. To zajęło siedem długich, irytujących rozmów telefonicznych z nastawioną pesymistycznie przez cały czas Mamą w tle. W czwartkowy wieczór wpadliśmy w panikę, bo Jam nie mógł odnaleźć swojego paszportu. Ale kiedy znaleźliśmy się wreszcie w samolocie, nic już nie miało znaczenia oprócz tego, co przed nami. Dochodziłam ciągle do jednego wniosku: byłam zupełnie szalona.

Miałam zamiar znaleźć jakiś pretekst, by ominąć nasze nieznane lotnisko, kupić bilet na inne nieznane lotnisko, następnie złapać autobus do miejsca, w którym nigdy wcześniej nie byłam, a wszystko po to, żeby zdobyć informacje, co do których byłam przekonana, że nikt mi ich nie udzieli.

Spojrzałam na korytarz, gdzie Jam wyjaśniał zachwyconemu Rory'emu funkcjonowanie niektórych opcji gry „Legendy zaginionego cesarstwa”. Jam musiał wyczuć, że go obserwowałam, bo podniósł wzrok i uśmiechnął się.

Jak tak sobie myślę, to dochodzę do wniosku, że gdybym nie miała Jama przy sobie, to pewnie nigdy nie zdobyłabym się na odwagę, żeby zrealizować moje plany.

Ale nie zrozum mnie źle, nie jestem małym, głupiutkim ptasim mózdzkiem, który potrzebuje jakiegoś twardziela, żeby się nim opiekował. Już wielokrotnie sama podróżowałam wokół Londynu, leciałam też samolotem.

Chodzi o to, że teraz to była naprawdę poważna sprawa i potrzebowałam przyjaciela, z którym mogłabym się tym podzielić. Najlepszego przyjaciela.

Odprawa celna i kontrola paszportowa trwały całe wieki. Po niemal godzinnym staniu w kolejce dotarliśmy wreszcie do okienka z poważnym funkcjonariuszem. Poprosił nas, abyśmy ułożyli nasze palce wskazujące w wyżłobieniu małego pojemniczka, dzięki czemu nasze odciski palców będą figurować w rejestrze lotniska. Następnie ustawił nas przed małym aparatem w celu zrobienia zdjęć. Za każdym razem, kiedy patrzył na mnie, czułam się winna.

Mama zachowywała się jak zwykle - martwiła się o to, że nasz bagaż się zgubi, o to, że jeden z funkcjonariuszy zatrzymał nas i poprosił o przejście do innego pomieszczenia w celu przesłuchania oraz o to, czego nie wzięła z domu.

Kiedy wreszcie wyszliśmy na zewnątrz i oczekiwaliśmy w sali odlotów na kolejne połączenie godzinę później, nie wiem, które z nas było bardziej poirytowane. Przynajmniej pomogło mi to w przekonaniu Mamy, aby dała nam trochę pieniędzy.

- Jam i ja chcielibyśmy się nieco rozejrzeć. Niczego nie będziemy kupować, ale tak na wszelki wypadek, gdyby wydarzyło się coś niespodziewanego i nie moglibyśmy się znaleźć. Na pewno lepiej byłoby, abyśmy mieli przy sobie trochę gotówki, no nie?

Mama wyciągnęła z portmonetki mnóstwo banknotów dolarowych i przekazała je nam.

- Tylko w sytuacji wyjątkowej - powiedziała stanowczo.

Kiwnęłam głową przytakująco, starając się zignorować poczucie winy, które dźgnęło moje sumienie. Dla mnie to właśnie była sytuacja wyjątkowa.

- I na miłość boską, włóż je do buta! - to jest jej zdaniem najlepszy sposób na zapobieżenie kradzieży.

- Czy mogę iść z wami? - jęknął Rory.

- Nie - odburknęłam. Moje nerwy były napięte do granic możliwości.

- Ale potem pójdziemy obejrzeć gry w sklepie wolnołowym - Jam dodał uspokajająco.

- Dużo później - mruknęłam pod nosem. Mama z niepokojem westchnęła, cmoknęła mnie w policzek i przypomniała mi już chyba po raz dziesiąty, gdzie spotkamy się w oczekiwaniu na lot do New Hampshire.

Odchodząc od niej, uświadomiłam sobie, że ręce mi się trzęsły.

- Przeliczmy pieniądze - zaproponował Jam. Uśmiechnęłam się. Zawsze można było polegać na

Jamie, jeżeli chodzi o praktyczne pomysły.

Mieliśmy pięćset dwadzieścia trzy dolary, wliczając w to dwieście dolarów, które otrzymałam od Jama. Co więcej, on dostał jeszcze sto osiemdziesiąt dolarów od swojej Mamy, co w sumie dawało siedemset trzy dolary.

Moje serce waliło jak opętane.

To było dokładnie to, o co nam chodziło! Rozstrzygający moment.

- Serce boli, kiedy się pomyśli, że taka kwota zostanie przeznaczona tylko na przeloty i autobusy - wyszeptał Jam.

- Co? - zapytałam. Jam poczerwieniał.

- Ja tylko żartuję. Hej, wyluzuj! Ten pomysł bardzo mi się podoba!

- W porządku - wzięłam głęboki wdech. - No to gdzie w takim razie kupimy bilety do Burlington?

W życiu bym tego nie zrobiła bez pomocy Jama. Po pierwsze dlatego, że on miał już piętnaście lat i mógł swobodnie podróżować samolotami bez opieki rodziców. Linie lotnicze domagały się przestrzegania zasady, że osoby w wieku czternastu lat mogą latać tylko pod opieką kogoś w tym wieku co Jam bądź starszego. Po drugie, lotnisko Logan było

duże. Może wcale nie większe niż to u nas, ale za to mocno zagmatwane. Sprawdziłam wszystko w internecie - potrzebowaliśmy biletów z Bostonu do Burlington, a potem z powrotem. Ale znalezienie miejsca, w którym można je kupić, i upewnienie się, że mamy wszystkie potrzebne informacje, okazało się trudniejsze i wymagało większego wysiłku, niż przypuszczałam.

Następnym wyzwaniem było samodzielne kupienie biletów. Już wszystko wcześniej zaplanowaliśmy - to, że jesteśmy kuzynami i spotykaliśmy się z rodziną w Vermont, jak również i to, że pieniądze na bilety dał nam mój Tato.

Szalenie zapracowana kasjerka łyknęła historyjkę w całości, rzucając jedynie przelotne spojrzenie na nasze paszporty, nie do końca już słuchając tego, co mówiliśmy. Przez cały czas nogi miałam jak z waty.

Gdyby Jama nie było tam ze mną, to dawno bym zrezygnowała. Ale razem daliśmy radę. Kupiliśmy bilety. Znaleziliśmy nasze wejście. Dostaliśmy się na krajowy samolot.

Zerknęłam na zegarek, kiedy samolot kołował po pasie startowym - była jedenasta. Zbliżała się godzina spotkania z Mamą. Znowu poczułam się winna. Ale z drugiej strony, gdyby Mama rozmawiała ze mną o tych sprawach, do niczego takiego by nie doszło - pomyślałam.

Wyłączyłam komórkę i poprosiłam Jama, by zrobił tak również ze swoją. Obiecałam sobie, że jak tylko wylądujemy w Burlington, wyślę do Mamy wiadomość, aby wiedziała, że u nas wszystko w porządku. Poproszę też, żeby nie czekała na nas i kierowała się do New Hampshire. I żebyśmy spotkali się już na miejscu.

Czułam, że Mama za nic w świecie nie wsiadłaby do samolotu beze mnie. Ale co ja mogłam na to poradzić? To wszystko jej wina. Nie powinna mnie okłamywać.

W Burlington było przeraźliwie zimno. Z samolotu obserwowaliśmy ośnieżone wierzchołki gór, ale mimo to nie byłam przygotowana na lodowaty podmuch wiatru, który uderzył w nas, kiedy wychodziliśmy z samolotu. To był pierwszy znak, że jednak nie zaplanowałam wszystkiego tak, jak bym tego chciała.

- Szkoda, że nie zabrałam czapki - powiedziałam i opatuliliłam się kurtką jeszcze ciaśniej. Teren lotniska był cały zalany szarym betonem, po jednej stronie znajdował się olbrzymi parking samochodowy.

- Spójrz - Jam wskazał na rząd autobusów. Wiedziałam z moich poszukiwań internetowych, która linia autobusowa zatrzymywała się w Marchfield. Złą wiadomością było to, że niestety musieliśmy czekać prawie dwie godziny na następny autobus.

W końcu jednak autobus ruszył z lotniska i wyjechaliśmy na szeroką, pustą drogę, oznakowaną na zielono. Wokół rozciągały się połacie okrytych szronem pól, a w oddali widać było ogromne ośnieżone szczyty gór.

Samochody, które mijaliśmy, zdawały się być większe niż te u nas w kraju. Ale to właśnie ta przestrzeń mnie urzekła. Drogi były bardzo szerokie, a teren wokół nich zdawał się nie mieć końca. Nawet niebo wydawało się większe.

Przycupnęłam tuż obok Jama na końcu autobusu. Czułam się dziwnie spokojna. Było ciężko, ale razem udało nam się dojść aż do tego punktu.

Autobus był dobrze ogrzewany i już po chwili poczułam, jak moja głowa opada bezwładnie w dół. Pogrążyłam się w głębokim, aksamitnym śnie.

Byłam znowu na plaży. W oddali widziałam kobietę z długimi, ciemnymi włosami. Śmiała się, pojawiając się i znikając między skałami.

Słońce świeciło mi prosto w twarz. Czułam się szczęśliwa. Truchtałam przez piach w kierunku skał. Ona tam była. I teraz miałam ją znaleźć...

Przebudziłam się zdezorientowana. Jam w dalszym ciągu spał, dżgając mnie w bok swoim łokciem i opierając głowę na moim ramieniu.

Wyjrzałam przez okno. Rozciągające się połacie ziemi ustąpiły teraz miejsca gęstym sosnowym lasom. Zerknęłam na zegarek. Właśnie minęła trzecia po południu. Podróżowaliśmy już prawie godzinę.

Mama. Przełknęłam ślinę. Zupełnie zapomniałam o wysłaniu wiadomości do niej! Wyciągnęłam komórkę z kieszeni i włączyłam ją. O nie! Przewinęłam kursor przez coś, co wyglądało na jakieś dwadzieścia rozhisteryzowanych wiadomości tekstowych i głosowych.

Poczucie winy znowu we mnie wezbrało. Nie, po prostu nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby jej teraz współczuć. Szybko wstukałam SMS: U nas wszystko OK. Zobaczymy się później.

Zawahałam się. Wiedziałam, że taka wiadomość nie uspokoi Mamy nawet na sekundę. Ale przynajmniej będzie wiedziała, że jesteśmy cali i zdrowi. Nacisnęłam opcję „Wyślij”, a następnie wyłączyłam telefon.

Mniej więcej pół godziny później dotarliśmy do Marchfield. Podczas jazdy przez peryferie miasta, kiedy mijaliśmy niekończące się rzędy niskich domów jednorodzinnych, ścisnęło mnie w żołądku jak nigdy dotąd.

Wszystko zależało od kilku następnych godzin.

Kierowca uśmiechnął się do nas, kiedy zapytaliśmy, czy przypadkiem nie wie, w którym miejscu Main Street znajduje się numer 11303.

- To agencja adopcyjna - powiedziałam.

- Czy nie jesteście trochę za młodzi na adoptowanie dzieci? - zachichotał.

Zaczerwieniłam się.

Main Street w niczym nie przypominała tych ulic z wielkimi domami, które widzieliśmy wcześniej - wiele sklepów pozabijano deskami, a po chodnikach walały się śmieci.

Kierowca wysadził nas na górcie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jam, patrząc na odjeżdżający autobus.

- Jasne - skłamałam. Prawda była taka, że nogi trzęsły mi się tak bardzo, że nawet nie byłam pewna, czy jestem w stanie w ogóle iść. Co ja robiłam? Jak u licha miałam znaleźć odwagę, żeby wejść do agencji adopcyjnej i zrealizować cały plan, który wraz z Jamem obmyśliliśmy?

Jam objął mnie, a ja wtuliłam się w niego. Oparłam głowę o jego klatkę piersiową. Czułam, jak szybko biło jego serce. Myślę, że on też musiał być nieźle przerażony.

- OK - powiedziałam. - Chodźmy więc.

## 9. Zakaz wstępu

Agencja adopcyjna znajdowała się na samym końcu Main Street. Droga wyglądała coraz bardziej elegancko, gdy zbliżaliśmy się do wyznaczonego celu. Mniej opuszczonych budynków, a więcej biur i sklepów, aczkolwiek z brudnymi oknami i łuszczącą się farbą. Nie było prawie żadnych przechodniów, ale samochody mijają nas non stop.

Jeszcze w domu wyobrażałam sobie agencję jako duży budynek otoczony eleganckim trawnikiem. W rzeczywistości był to tylko nędzny, betonowy biurowiec, który niczym specjalnym nie wyróżniał się wśród innych budynków w okolicy.

Stojąc przed drzwiami, czułam jak mój żołądek kręcił się niczym pralka ustawiona na najszybsze obroty.

- Wszystko w porządku, Lorenzo? - Jam ścisnął moje ramię.

Kiwnęłam powoli głową i pchnęłam drzwi. W recepcji stała potężna kobieta w elastycznej, dopasowanej do figury spódnicy.

- Witajcie! W czym mogę wam pomóc? Przełknęłam ślinę. Nie schrzań tego!

- Nazywam się Lauren Matthews. Zostałam tutaj adoptowana - powiedziałam, starając się kontrolować drzenie w głosie. - Chciałabym rozmawiać z panem Tarsenem. On to zrobił. To znaczy, on zorganizował moją adopcję.

Na twarzy kobiety wymalowało się zdziwienie.

- W porządku - powiedziała powoli. - Czy byliście umówieni?

- Nie - przełknęłam ślinę. - Nie planowaliśmy tego. Jesteśmy tutaj przelotem... na... na feriach zimowych, więc pomyślałam, że... Zastanawiałam się, czy mogłabym z nim porozmawiać. Kobieta zmarszczyła brwi.

- Zamykamy za dziesięć minut, kochanie. Dzisiaj wcześniej ze względu na weekend. Może warto byłoby zapisać się na wizytę w poniedziałek?

- Nie! - Jam i ja zaprotestowaliśmy jednocześnie. Czułam, że ogarnia mnie panika. Plan był taki: załatwić sprawę jak najszybciej i jak najszybciej wrócić na lotnisko Burlington. Po kupieniu biletów na samolot i autobus zostały nam dokładnie czterdzieści trzy dolary. W żadnym razie nie wystarczyłoby nam to do poniedziałku.

- Niech pani pozwoli mi z nim porozmawiać, proszę. Proszę - wyszeptałam błagalnym tonem. Czułam, jak łzy podchodzą mi do oczu. Na szczęście zdołałam je powstrzymać.

- No dobrze, spróbuję - kobieta odpowiedziała z wahaniem. Wskazała na kanapę stojącą tuż przy recepcji, po czym zaczęła rozmawiać łagodnym tonem przez telefon.

Czekaliśmy. Minęło pięć minut. Nagle zadzwonił dzwonek. Kobieta, dysząc, pochyliła się nad biurkiem.

- Recepcja - powiedziała.

Znów przez kilka sekund rozmawiała po cichu, następnie spojrzała na nas zaskoczona.

- Pan Tarsen zejdzie za chwilę na dół - oznajmiła.

Spodziewałam się kogoś bardzo poważnego, ale pan Tarsen przypominał raczej myszkę - był niskiego wzrostu i drobnej budowy, miał spiczasty nos.

Gdy uścisnął mi dłoń, poczułam, że ma wilgotne ręce.

- Winda jest tutaj - powiedział, uśmiechając się. Jego wzrok przemknął z mojej twarzy na Jama i z powrotem. Kiedy się odwrócił, wyczułam zapach stęchłej wody kolońskiej.

Moje serce waliło jak młotem w stłumionej ciszy windy. Wyszliśmy na pierwszym piętrze. Pan Tarsen prowadził nas przez długi korytarz. Mój wzrok utkwiony był w jego karku,

w miejscu, gdzie kępki szorstkich, siwych włosów wystawały spod białego golfu.

Zatrzymał się przed drzwiami z napisem: „Biblioteka dydaktyczna”.

- Chciałabym porozmawiać z panem w cztery oczy - powiedziałam. To oczywiście nie była prawda. Wolałabym raczej, żeby Jam został ze mną, ale nasz plan zakładał, że ja będę mobilizować pana Tarsena do mówienia, podczas gdy Jam ma się porządnie rozejrzeć po agencji i znaleźć moją kartotekę.

Pan Tarsen spojrział na nas lekko zaskoczony.

- Dobrze. Twoja sympatia może poczekać z moją asystentką - powiedział.

- On nie jest... - zaczęłam, ale pan Tarsen już prowadził Jama do innego pokoju. - To nie potrwa długo - powiedział.

Za chwilę wrócił i zabrał mnie do biblioteki. Długi rząd szaf na dokumenty prowadził do niewielkiego okienka. W tej części pokoju stało kilka malutkich kanap i plastikowe pudełko pełne dziecięcych zabawek. Przysiadłam na skraju jednej z sof. Moje usta były suche. Co ja do diabła robię? Czulałam, że w każdej chwili mogę zwymiotować.

Pan Tarsen usiadł naprzeciw mnie. Za jego głową, na ścianie, wisiał duży plakat. Tworzyły go stylizowane zdjęcia uśmiechniętych rodzin, na dole widniał podpis wykonany ozdobną czcionką: „Marchfield czyni cuda. Każdego dnia”.

Głos Jama przewijał się w moich myślach. Czy to mogłoby być jeszcze bardziej tandetne? Chciałabym, żeby był teraz przy mnie.

- W czym mogę ci pomóc, Lauren? - maniery pana Tarsena były nienaganne, a jednocześnie był bardzo rzeczowy. Zachowywał się tak, jak gdyby wiedział, że byłam zdenerwowana i próbował mi współczuć, ale nie miał już czasu na to, żeby zajmować się mną, gdybym się popłakała.

Opowiedziałam mu swoją historię. O tym, że byłam adoptowana przez agencję w Marchfield jedenaście lat temu, ale moi rodzice nie chcieli mi powiedzieć niczego na temat mojego życia sprzed adopcji.

Nie wspomniałam o Marcie Lauren Purditt.

- Ja naprawdę, naprawdę muszę wiedzieć, skąd pochodzę - powiedziałam. - Pomyślałam, że może pan mógłby mi coś powiedzieć na temat mojej prawdziwej mamy.

Nastąpiła długa przerwa.

Twarz pana Tarsena była teraz nieco napięta.

- Przykro mi, Lauren, ale obawiam się, że nie będę mógł ci pomóc.

- Dlaczego nie? - ścisnęło mnie w żołądku. Wiedziałam, jak zareaguje, ale musiałam wyglądać na zaszokowaną. Zmartwioną. Jak gdybym się tego zupełnie nie spodziewała.

- Nie jesteś upoważniona do wglądu w swoje oryginalne świadectwo urodzenia bez zgody twojego rodzica lub opiekuna aż do dnia osiągnięcia pełnoletniości. Swoją obecnością tutaj potwierdzasz, że twoi przybrani rodzice nie pozwalają na to. Podejrzewam, że oni nawet nie wiedzą, że tutaj jesteś. Czy mam rację?

Zaczerwieniłam się. Pan Tarsen potrząsnął głową w bardzo protekcyjny sposób.

- Obawiam się, że złamałbym prawo stanu Vermont, gdybym ci cokolwiek powiedział.

- Tak? - zapytałam, próbując wyrazić zdziwienie.

- Och nie! - mój głos brzmiał bardzo sztucznie. Zastanawiałam się, jak dalece Jam zaszedł w swoich poszukiwaniach.

Pan Tarsen spojrzał na mnie.

- To nie tylko chodzi o twój wiek - powiedział.

- Zerknąłem w twoją kartotekę, zanim tutaj przyszedłem.

W twoim przypadku matka złożyła wniosek z prośbą o

nieujawnianie informacji dotyczących adopcji. A to oznacza, że ona nie chce, abyś wiedziała, kim jest ani gdzie mieszka. Nigdy.

Ścisnęło mnie w żołądku jeszcze bardziej. Czy to mogła być prawda? Przyjechałam do Marchfield już z góry nieufna w stosunku do tego, co chciałam usłyszeć. Przecież było prawdopodobne, że agencja знаła co najmniej część historii, która tak naprawdę miała miejsce. W mojej głowie zrodziły się wątpliwości. Może ja to wszystko źle zrozumiałam? Może Mama, Tata i agencja byli w porządku? Może ja po prostu byłam dzieckiem, którego własna matka nie chciała?

Nie. To nie mogła być prawda. Pamiętałam moją mamę. Śniłam o niej. Ona mnie kochała. Ona nie chciała mnie stracić.

Pan Tarsen nie mógł usiedzieć na krześle

- Wiem, że to ciężko zrozumieć - powiedział.

- Czy chce pan powiedzieć, że mogę nigdy nie poznać prawdy? - zapytałam. - Dotyczącej mojej własnej przeszłości?

- Przykro mi, że nie mogę ci pomóc w takiej mierze, w jakiej bym tego chciał - pan Tarsen podniósł się z krzesła. Jego uśmiech stał się jeszcze bardziej protekcyjny. - Ale przecież nie chciałabyś mnie teraz zaarrestować, prawda?

Spojrzałam na jego biały golf. Może za zbrodnię przeciwko modzie. Skinął głową w kierunku drzwi. Zrób coś!

- Czy naprawdę nie może mi pan niczego powiedzieć o mojej mamie? - zapytałam. Wiedziałałam, że stąpam po kruchym lodzie. Ostatnią rzeczą jakiej chciałam, było to, żeby pan Tarsen dowiedział się, że wiem coś na temat Marty, ale zamierzałam dać Jamowi więcej czasu na myślenie. - Musiał pan ją spotkać.

Pan Tarsen pokręcił głową. Wstał i podszedł do drzwi. Moje serce zaczęło gwałtownie bić. Nie minęło wystarczająco dużo czasu, żeby Jam mógł znaleźć moją kartotekę.

- Niech pan zaczeka - poprosiłam. - A co z Sonią Holtwood? - pamiętałam to imię z pamiętników mojej Mamy. Wiele ryzykowałam, wspominając o niej, ale kimkolwiek była, na pewno w jakiś sposób zaangażowała się w moją adopcję. A ja byłam zdesperowana. Musiałam dać Jamowi trochę więcej czasu.

Pan Tarsen zatrzymał się z ręką na klamce.

Obrócił się i spojrzał na mnie.

- Skąd u licha znasz to nazwisko? - zapytał powoli.

- Było gdzieś zapisane - powiedziałam, nie mogąc wymyślić nic innego, co byłoby tak wiarygodne jak pamiętniki Mamy. - Kim ona jest? Czy ona tutaj pracowała? Czy może... może ona jest moją prawdziwą mamą? Czy... - spuściłam wzrok, przyciskając ręce do dżinsów, aby przestały się trząść.

Znowu nastąpiła długa cisza. Czułam, jak pan Tarsen przeszywał mnie wzrokiem.

- Co jeszcze wiesz, Lauren? - zapytał.

- Nic - moja twarz była rozpalona. Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

- Adoptowanym dzieciom czasami ciężko zaakceptować prawdę - powiedział łagodnie pan Tarsen. - I dlatego tworzą baśniowe historie. Historie o znajdach, o dzieciach porwanych z ich własnych domów.

Spojrzałam na niego.

- Czy to właśnie tak wygląda, Lauren? Czy myślisz, że coś takiego właśnie tobie się przydarzyło?

Siedziałam w milczeniu, a moje serce waliło. Pan Tarsen przyglądał się uważnie mojej twarzy. Czy on wiedział, co się wydarzyło? A może po prostu domyślał się, co przeczuwałam.

- Wierz mi, Lauren. Sonia była po prostu młodą, nieodpowiedzialną osobą, która nie mogła poradzić sobie z wychowywaniem ciebie.

- Czy to ona była moją mamą? - wyszeptałam.

Pan Tarsen spojrział na mnie wzrokiem pełnym dziwnego połączenia frustracji i czegoś jeszcze, czego nie mogłam odczytać. Czym to było? Współczuciem? Strachem?

- Widzę, że jeszcze nie jesteś na to gotowa. - zerknął na zegarek. - Ale w tej chwili już nie możemy na ten temat rozmawiać. Kto jeszcze wie, że wy dwoje tutaj jesteście?

- Nikt - powiedziałam. - Tylko kierowca autobusu z Burlington.

Pan Tarsen szarpnął za golf.

- W porządku, w takim razie zrobimy tak - wydobył skórzany portfel z kieszeni, a z niego dwa papierowe banknoty. - Weź je. Po wyjściu z agencji skreć w lewo. Miniesz kilka bloków na Main Street i zobaczysz Piedmarch Motel.

Wcisnął mi pieniądze do ręki.

- Sto pięćdziesiąt dolarów. Spojrzałam na niego.

- Czy pan chce, abyśmy się zatrzymali w tym motelu?

Pan Tarsen kiwnął głową ze zniecierpliwieniem.

- Wyśpijcie się porządnie. Rano skontaktujemy się z waszymi rodzicami, oni przyjadą po i was zabiorą. Będą mogli mi oddać pieniądze w późniejszym terminie.

Zmarszczyłam brwi. O co tutaj chodzi? W jednym momencie mężczyzna jest funkcjonariuszem organu ochrony porządku publicznego, a chwilę później oferuje mi pieniądze i postępuje jak jakaś prywatna instytucja charytatywna. To nie miało żadnego sensu.

Wstałam. Pan Tarsen wyszedł razem ze mną na korytarz.

Jam czekał na zewnątrz, tuż przy windzie. Ręka pana Tarsena spoczęła na moim ramieniu, kierując mnie do windy, a następnie na zewnątrz przez drzwi.

- Nie martw się, Lauren. Zobaczymy się jutro - powiedział.

I całkiem niespodziewanie razem z Jamem znaleźliśmy się na ulicy.

Już było ciemno. Dochodziła wpół do szóstej po południu. Było jeszcze zimniej niż wcześniej.

Założyłam kurtkę.

- A więc? - zapytałam. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Tak - Jam przygryzał ze złością swoją wargę. - Wiem, gdzie jest twoja kartoteka adopcyjna. A już na pewno wiem, gdzie jest katalog rzeczowy, który może nam dużo powiedzieć. Ale nie ma mowy, abyśmy mogli na to zerknąć, jeżeli wszyscy się tu krzątają. Będziemy musieli wrócić tutaj dzisiaj w nocy.

## 10. Włamanie

Usiadłam na łóżku w motelowym pokoju i wezwałam obsługę. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłam i trochę się denerwowałam, składając zamówienie. Co, jak sędzę, brzmi głupio, biorąc pod uwagę wszystko to, co - zgodnie z planem zresztą - zrobiłam tego dnia.

- Poproszę jeden firmowy hamburger z dodatkowym serem i bekonem, jeden firmowy hamburger light, dwie dietetyczne cole oraz porcję frytek.

Kiedy odkładałam słuchawkę na widełki, odświeżony i przebrany Jam wyszedł z łazienki.

- Zamówiłaś jedzenie? - zapytał. - Padam z głodu! Przytaknęłam skinieniem głowy. Zatrzymaliśmy się w motelu o nazwie Piedmarch.

Nie do końca chcieliśmy się tu znaleźć, ale było za zimno, żeby zostać na zewnątrz, a poza tym nie znaleźliśmy żadnego innego miejsca, do którego mogliśmy się udać. Zapłaciliśmy za pokój z góry, rzucając jedynie przelotne spojrzenie na obwisłą twarz mężczyzny stojącego w recepcji.

Pokój był czysty, ale szpetny, zdominowany przez jedno duże, podwójne łóżko, na którym siedziałam. Nagle poczułam się zażenowana na myśl, że będę musiała dzielić je z Jamem. Spojrzałam na drugą stronę pokoju, gdzie stała maleńka, prawie pusta szafa, z trzema jedynie drucianymi wieszakami w środku. Chyba nie powinniśmy wybrać najtańszego pokoju.

- Nie chcę tutaj nocować - powiedziałam. Jam wzruszył ramionami.

- Nie mamy wielkiego wyboru.

Dobrze wiedziałam, że miał rację. Nasz plan był taki, aby włamać się do agencji, znaleźć kartotekę, a potem od razu złapać autobus z powrotem na lotnisko Burlington. Tyle tylko że autobusy nie kursowały w nocy. Pierwszy odjeżdżał o wpół

do szóstej rano, co oznaczało, że na wizytę w agencji musimy poczekać kilka godzin.

Pomyślałam o panu Tarsenie. Co on tak naprawdę wiedział? I dlaczego stał się nagle taki uczynny? Nie mogłam zrozumieć, dlaczego on po prostu nie kazał nam zadzwonić do Mamy, a potem... - lub nawet na policję. Cokolwiek planował, ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, było to, żebyśmy musieli pałętać się aż do jutrzejszego ranka, czekając na niego.

Ktoś mocno zastukał w drzwi.

Jam je otworzył. Blondynka z warkoczami stanęła w drzwiach. Zachichotała, podając Jamowi tacę z naszym zamówieniem.

Jam zapłacił gotówką, następnie położył tacę na stole pod oknem. Dziewczyna nie spuszczała z niego wzroku aż do momentu zatrzaśnięcia drzwi.

- Ta dziewczyna wpatrywała się w ciebie jak w obraz - powiedziałam, szczęśliwa, że mogłam choć na chwilę zmienić temat.

Jam poczerwieniał.

- Nie, nie wpatrywała się - powiedział, spoglądając na mnie. - A nawet jeśli, miałabyś coś przeciwko?

- Prawda jest taka, że kocham się w tobie skrycie od kilku miesięcy - powiedziałam, udając, że mdleję.

W jednej chwili twarz Jama poczerwieniała niczym burak.

O kurczę, co za pierdoły wygaduję. On pewnie myśli, że ja tak na poważnie.

- Tak sobie tylko żartuję - dodałam pośpiesznie. - Jasne - Jam wzruszył ramionami, po czym wskazał palcem na hamburgera. - Co to, do diabła, ma być? Jakaś odmiana specjalnej diety?

Rzuciłam okiem na cienki kotlet zawinięty w małeńki listek sałaty. Wyglądał o wiele mniej apetycznie niż jego hamburger z podwójnym serem i bekonem.

- Jestem pewna, że smakuje wybornie - powiedziałam nieprzekonywująco.

- Dlaczego dziewczyny tak bardzo się martwią, że przytyją? - burknął Jam. - Jeżeli jesz dziadostwo, to wiadomo, że będziesz tak samo wyglądać.

Hola! Spojrzałam na niego. Jam nigdy wcześniej nie komentował mojego wyglądu. Poczułam ukłucie w klatce piersiowej, ale nie chciałam, aby Jam zauważył, jak bardzo mnie skrzywdził tą uwagą.

- Powiedz mi, czy dowiedziałeś się czegoś od sekretarki pana Tarsena.

- A owszem - Jam rzucił na mnie dłuższe spojrzenie. - Zapytałem ją, w jaki sposób archiwizują dane. No wiesz, czy gromadzą dokumenty w szufladach, czy raczej przechowują je już w postaci plików na dysku. Powiedziała mi, że najstarsze dane to w dalszym ciągu kartoteki papierowe i dodatkowo niektóre inne dokumenty. Katalog rzeczowy znajduje się w bibliotece dydaktycznej.

Nastąpiła kłopotliwa cisza, gdy Jam jadł swojego hamburgera.

Próbowałam skupić się nad kolejną kwestią do przedyskutowania.

Czy ty naprawdę myślisz, że wyglądam beznadziejnie?

- To jak się dowiedziałeś, gdzie znajduje się biblioteka dydaktyczna? - zapytałam.

Jam otarł usta rękawem. Kiedy się uśmiechnął, odetchnęłam z ulgą. A gdy mówił, gorycz w jego głosie zniknęła. - Wiesz, panno Naprawialska, czasami się zastanawiam, jak tobie się udaje przejść na drugą stronę ulicy bez potrącenia przez samochód. Biblioteka dydaktyczna to pomieszczenie, w którym dzisiaj byłeś z panem Tarsenem.

Po jedzeniu oboje z Jamem przysnęliśmy, tak jak siedzieliśmy, w ubraniach. W Marchfield była dopiero ósma

wieczorem, ale wydaje mi się, że my wciąż żyliśmy według czasu londyńskiego, a tam było już grubo po północy.

Znowu miałam ten sen. Tym razem dotarłam do skał na plaży. Obeszłam jedną z nich, później drugą. Chciałam spojrzeć kobiecie w twarz, ale jej tam nie było. Podniecenie, które towarzyszyło mi do tej pory, przemieniło się w strach. Co się z nią stało? W pewnym momencie na skraju najdalej położonej skały pochwyciłam błysk czarnych, długich włosów.

Poderwałam się gwałtownie i usiadłam na łóżku. Jam w dalszym ciągu spał tuż obok mnie.

Kosmyk włosów opadł mu na twarz i drżał z każdym wydechem.

Zerknęłam na zegarek: dziesięć po czwartej. Niedługo powinniśmy wyruszyć. Przechadzałam się tam i z powrotem po pokoju, czując się niezbyt pewnie po przebudzeniu z mojego snu i z perspektywą tego, co mnie jeszcze czeka. Konsola do gier komputerowych Jama leżała na stole pod oknem, tuż obok tacy z jedzeniem. Podniosłam ją. Na jej spodzie było sześć krótkich wyżłobień.

To dziwne. Przechyliłam lekko konsolę, aby przyjrzeć się jej bliżej. Rowki błysnęły w świetle dochodzącym z okna motelu.

Po co Jam miałyby coś wyżłobić na swojej konsoli?

- Która godzina? - przebudził się Jam. Położyłam zabawkę z powrotem na stole.

- Już czas - odparłam.

Main Street była zupełnie wyludniona. Wszystko za wyjątkiem jednego przedsiębiorstwa taksówkowego o dwudziestoczterogodzinnej obsłudze było pozamykane.

Chodniki pokrywała gruba warstwa szronu, powietrze przeszywało chłodem. Trzymałam ręce pod pachami, aby je ogrzać, gdy szliśmy w kierunku agencji.

Jam poprowadził mnie naokoło schodami pożarowymi umiejscowionymi tuż przy budynku. Podniósł z ziemi duży kamień, po czym zaczął się wspinać na pierwsze piętro. Podążałam za nim, starając się nie robić za dużo hałasu, lecz każdy krok zdawał się głośny jak uderzenie stalowej blachy.

Jam stanął wyprostowany na pierwszym piętrze. Naprzeciwko, powyżej niskiej balustrady, znajdowało się duże okno. Jam trzymał w ręce kamień.

- Gotowa?

Kiwnęłam głową. Mój oddech był szybki i nierówny, zmieniał się w parę, gdy stykał się z mroźnym powietrzem.

Jam rzucił kamieniem w okno. Hałas roztrzaskującej się szyby wypełnił głuchą ciszę nocy. Potem za pomocą mniejszych kamieni powiększył otwór w szybie, żeby można było dostać się do środka.

Ja stałam na straży i miałam alarmować, gdyby pojawił się ktoś nieproszony. Wychyliłam się ze schodów pożarowych, spoglądając tak daleko, jak się tylko dało. Moje serce waliło coraz mocniej z każdym uderzeniem przekonane, że hałas obudzi za moment całe miasto. W końcu nastąpiła cisza. Jedynym odgłosem, który teraz słyszałam, był ciężki oddech Jama stojącego tuż obok mnie. Wyczekiwałam krzyków i dźwięków syren aut policyjnych.

Ale nic się nie wydarzyło. Nawet nie włączył się żaden alarm przeciwłamaniowy. To było bardzo dziwne, czyż nie? Z pewnością takie miejsce jak to, przechowujące ważne informacje, powinno mieć...

- No chodź!

Obróciłam się. Jam ostrożnie przechodził przez okno. Podążyłam za nim, bacznie uważając na to, by nie skaleczyć się o kawałki szkła, które pozostały w ramie okiennej.

Byliśmy w środku.

W agencji panowała grobowa cisza.

Moje usta były suche i spierzchnięte. Badawczo przesuwałam nogami w poszukiwaniu dywanu rozłożonego na korytarzu pierwszego piętra agencji.

Otarłam spocone dłonie o dzinsy. Korytarz rzucał długi cień. Jam, oddalony ode mnie mniej więcej o jeden metr, pogrążał się w ciemność. Szłam za nim, mijając windę, z której wczoraj skorzystaliśmy, udając się do gabinetu, w którym przyjmował mnie pan Tarsen.

Rząd kartotek rozpościerał się na półce za drzwiami. Szybko znaleźliśmy tę z roku, w którym byłam adoptowana.

- Lauren Matthews, numer referencyjny: B - 13 - - 3207 - odczytałam na głos. - „B” to oznaczenie regału na dokumenty.

Jam powiódł wzrokiem wzdłuż szafki z trzema szufladami, umieszczonej pod ścianą.

- Tutaj - powiedział, wskazując na drugą szufladę od okna. Spróbował wysunąć najwyżej położoną szufladę. Następnie środkową. - Są zamknięte - obrócił się i spojrzał na mnie. - Wszystkie szuflady są zamknięte.

Rozejrzałam się szybko po pokoju. Mój wzrok zatrzymał się na metalowej ramie plakatu wiszącego na ścianie.

- Możemy to wykorzystać - powiedziałam, zdejmując plakat z haczyków. Drżącymi rękami odczepiłam ramkę i ostrożnie zdjęłam szybkę.

- Dobrze, że nie była zespawana - wyszeptał Jam, przecinając ramkę.

Wziął cienki kawałek metalu, podszedł do szafki i zaczął zastanawiać się nad sposobem otwarcia górnej szuflady.

Podeszłam na palcach do drzwi, nasłuchując czy nikt się nie zbliża. W budynku jednak panowała cisza. Cała ta sytuacja przyprawiała mnie o gęsią skórkę. Stróżka potu spłynęła mi po karku.

Obróciłam się i spojrzałam na kawałki ramki porozrzucone po dywanie.

- Zniszczyliśmy ją - powiedziałam. - I wybiliśmy szybę.  
Jam chrząknął lekko zza szafki.

- To co chcesz zrobić? Zostawić panu Tarsenowi trochę pieniędzy na naprawę? - odetchnął ciężko, napierając całym ciężarem ciała na metalową framugę.

- Chodź tu i pomóż mi trochę.

Wyważenie zamka w szufladzie zajęło kilka dobrych minut. Naciskaliśmy na metalowy lewarek tak mocno, że aż bałam się, żeby nie pękł przed wyłamaniem zamka. Nagle zamek odskoczył z trzaskiem. Szuflada była otwarta.

Zastanawiałam się, jak długo znajdowaliśmy się już w agencji. Chyba za długo. Z walącym sercem odsunęłam szufladę i zaczęłam przeszukiwać skoroszyty. Po kilku chwilach poczułam jak ścisnęło mnie w gardle.

- Nie ma - powiedziałam. - Tutaj są tylko nazwiska od A do G.

Jam spojrzał na mnie zza drzwi, gdzie nasłuchiwał, czy ktoś nie nadchodzi.

- To w takim razie będzie w tej szufladzie poniżej.

Zanim otworzyliśmy drugą szufladę, serce zupełnie podeszło mi do gardła. Przeglądałam dokumenty tak szybko, że pominęłam swoje nazwisko dwukrotnie. W końcu je zobaczyłam. Lauren Matthews.

Poniżej mojego imienia i nazwiska przyczepiona była cienka, zielona teczuszka, sklejona z trzech stron jak koperta. Sięgnęłam ręką do środka, ale złapałam tylko powietrze.

- Nie ma jej tutaj - wepchnęłam dłoń jeszcze głębiej, rozpaczliwie szukając czegokolwiek.

- Lauren - Jam wyszeptał spod drzwi do biblioteki.

- Czekaj - chwyciłam skrawek papieru wciśnięty w róg teczuszki. Wyciągnęłam go.

- Lauren - Jam wyszeptał ponownie, już bardziej natarczywie. - Ktoś tu idzie. Musimy wiać!

## 11. Odjazd

Wepchnęłam skrawek papieru do kieszonki i pędem skierowałam się do drzwi.

W oddali słyhać było odgłos ciężko stawianych kroków.

- Biegiem! - syknął.

Gnaliśmy korytarzem w kierunku rozbitego okna. Odgłosy kroków za nami stawały się coraz głośniejsze i szybsze.

Przecisnęłam się przez framugę okna, rozdzierając dzinsy o wystające kawałki szkła. Słyszałam za sobą szybki oddech Jama, kiedy zbiegaliśmy schodami pożarowymi.

Obejrzałam się. Przez wybite okno obserwowała nas ciemna postać. To był pan Tarsen.

Całe moje ciało pokryła gęsia skórka. On tam po prostu stał... Dlaczego nie krzyczał do nas? Dlaczego nie ruszył za nami w pościg?

Wypadliśmy na Main Street i gnaliśmy dalej ulicą w kierunku motelu.

- Myślisz, że Tarsen zadzwonił na policję? - Jam wysapał, kiedy wpadliśmy do pokoju.

- Nie wiem - zadrżałam na samo wspomnienie wzroku, jakim pan Tarsen na nas patrzył.

- Musimy się stąd wynosić - Jam podniósł swój plecak, wziął konsolę ze stołu i wepchnął ją w kieszeń spodni.

Zerknęłam na zegar stojący przy łóżku.

- Jeszcze za wcześnie - powiedziałam. - Pierwszy autobus wyjeżdża dopiero za godzinę.

- Nie możemy czekać. Musimy złapać taksówkę. Tej firmy, która pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, pamiętasz?

Kiwnęłam głową, licząc w myślach pieniądze, które nam zostały.

Niewiele ponad sto dolarów. Miałam nadzieję, że to wystarczy.

W pośpiechu przemierzaliśmy uśpioną Main Street. Intensywnie myślałam o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Dlaczego moja kartoteka adopcyjna była pusta? Miałam na to tylko jedno wytłumaczenie: pan Tarsen przewidział, że będziemy jej szukać, i sam zabrał całą zawartość. A jeśli tak, to dlaczego nie ma go teraz tutaj? Dlaczego nas nie ściga? To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

Myślałam też o skrawku papieru, który zalegał na dnie teczki z moimi dokumentami. Gdy Jam poszedł zamówić taksówkę, usiadłam w poczekalni i wyjęłam go z kieszonki džinsów.

Najwyraźniej był to róg jakiegoś oficjalnego pisma. Po prawej stronie, w miejscu, gdzie pismo zostało rozerwane, brakowało kilku odręcznie napisanych liter.

Apt. 34

10904 Lincoln Hei

Leaving

Jam skończył rozmawiać z taksówkarzem i podszedł do mnie.

- Facet mówi, że będą mieli taksówkę do dyspozycji za kilka minut. Zapłacimy osiemdziesiąt dolarów.

Pokazałam mu kawałek papieru.

- To jest adres - powiedziałam. - Może Sonii Holtwood? Spójrz. Myślę, że „Hei” oznacza „Heights”. Lincoln Heights.

Jam zmarszczył brwi.

- Ale to może być wszędzie. Poza tym jest też dopisek: „Leaving” (Leaving (ang.) - odjazd.). Więc nawet jeżeli Sonia mieszkała pod tym adresem, z pewnością jej tam już nie ma.

Przytaknęłam skinieniem głowy, w dalszym ciągu myśląc o adresie. Z pewnością nie zaszkodziłoby zapytać jakiegoś taksówkarza, czy przypadkiem nie wie, gdzie znajduje się Lincoln Heights.

Jeden z nich siedział na stołku z nogami opartymi o przeciwległą ladę. Kiedy podeszłam, podniósł wzrok i odgarnął swoją długą, przetłuszczającą się grzywkę.

- Hej! - powiedział, przeciągając samogłoski. - Powiedziałem twojemu chłopakowi - dwie minuty.

- Wiem - odparłam. - Zastanawiałam się tylko, czy może pan wie, gdzie to jest. Położyłam skrawek papieru na ladzie.

Mężczyzna podrapał się w głowę.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest Lincoln Heights, ale Leavington jest oddalone o mniej więcej dziesięć mil stąd - spojrzałam na niego, a potem z powrotem na skrawek papieru. No tak, „Leaving” wcale nie musiało oznaczać „leaving”, to był początek nazwy miejscowości... - To po drodze do Burlington. Ale ja myślałem, że chcecie jechać bezpośrednio na lotnisko.

Serce zaczęło mi walić. Pobiegałam z powrotem do Jama.

Wyglądał przez okno.

- Nie widzę żadnych świateł syren policyjnych aż do motelu. Ale jeżeli Tarsen obserwował nas... - odwrócił się, spoglądając na moją podekscytowaną twarz. - Co?

Wyjaśniłam, o co chodzi z tym adresem.

- Ona w dalszym ciągu może tam być - powiedziałam zadyszczanym głosem.

Miałam nadzieję, że Jam zasugeruje, abyśmy od razu pojechali do Leavington, ale zamiast tego pokręcił głową.

- Bądź realistką, panno Naprawialska - powiedział, nie uśmiechając się.

Straciłam zapał. - Co?

- To może być adres kogokolwiek...

- Ale on był w mojej kartotece - odparłam.

- Co więcej, ten dokument mógł być wystawiony jedenaście lat temu - Jam przewrócił oczami. - Słuchaj, próbowaliśmy znaleźć twoją kartotekę, ale jej nie znaleźliśmy.

Co jeszcze możemy zrobić? Czy ty... To znaczy, czy nie wydaje ci się, że zawładnęła tobą jakaś obsesja?

Wątpię, czy byłabym bardziej zszokowana, gdyby mnie teraz spoliczkował.

- Nie - mruknęłam, cofając się o krok. - Nie mam obsesji.

- To w takim razie dlaczego chcesz jechać pod adres, który przypadkowo znalazłaś na jakimś skrawku papieru? To śmieszne.

- Nie, to nie jest śmieszne - odparłam łagodnie. - Jeśli ten adres był w mojej kartotece, to to oznacza, że jest jakoś powiązany z moją adopcją. A pan Tarsen przyznał, że Sonia Holtwood jest moją matką, więc...

- Nawet jeśli masz adres, pod którym kilkanaście lat temu mieszkała Sonia Holtwood, to jest bardzo mało prawdopodobne, że ona mieszka tam nadal. Prawda?

Byłam pewna, że się mylił. Ale to, co powiedział, brzmiało logicznie i nie miałam argumentów, żeby próbować go przekonać.

- Świetnie - odburknęłam. - Dzięki za pomoc. Jam odwrócił się w moją stronę.

- Jezu, Lauren! - syknął. - Włamałem się do budynku dla ciebie. Czego jeszcze ode mnie oczekujesz?

Wpatrywałam się w niego z zaciśniętymi szczękami. Oddychałam szybko.

- Jeśli tak to widzisz, to lepiej, żebym tam poszła sama.

Podeszłam do krzeseł stojących w kącie po drugiej stronie poczekalni i osunęłam się na jedno z nich. Podłoga była brudna i poplamiona. Jak Jam śmiał powiedzieć, że mam na tym punkcie obsesję? Niechby tylko spróbował żyć, nie wiedząc nic o swojej przeszłości. Szybko by się zorientował, jakie to trudne. Jak chodzenie podczas trzęsienia ziemi. Ziemia za - wsze osuwa się pod twoimi stopami, gdy

próbujesz sobie wyobrazić, że jakaś historia może być prawdopodobna. A tych historii jest cała masa.

Nachyliłam się, wierząc, że Jam nie spostrzeże moich łez. Nastąpiła cisza. Operator taksówki zawołał Jama do swojej kabiny.

Otarłam oczy. Usłyszałam kroki i po chwili jakiś cień zatrzymał się przede mną. To był Jam. Przykucnął przy mnie i przechylając głowę w różnych kierunkach, próbował zobaczyć moją twarz.

- Taksówka czeka - powiedział. Zawahał się przez moment. - Czy ty naprawdę chcesz pojechać do Leavington?

Kiwnęłam głową, w dalszym ciągu jednak nie ufając sobie samej na tyle, by podnieść wzrok i spojrzeć na niego.

Jam oparł swoją dłoń o krzesło.

- Sama? - zapytał.

Zacisnęłam zęby. Nie było wesoło. Na myśl o tym, że będę musiała pojechać tam sama, że jego przy mnie nie będzie, po całym ciele przeszły mi ciarki.

- Nie - zaszlochałam. - Chcę, żebyś ty ze mną pojechał - spojrzałam na niego i łza spłynęła mi po policzku. - Proszę...

Oczy Jama złagodniały. Nigdy dotąd nie zauważyłam, że były orzechowe, nie brązowe. I że miały złote plamki.

Odwróciłam głowę i raz jeszcze otarłam twarz.

Choroba! Muszę wyglądać okropnie.

- W takim razie ruszajmy na podbój Leavington! - powiedział Jam i ścisnął moją rękę.

## 12. Lincoln Heights

Leavington to dziura w porównaniu z Marchfield. Przy każdej ulicy stoją w rzędach duże bloki mieszkalne z na maksa zaśmieconymi podwórkami.

Taksówkarz nieźle się wkurzył, gdy powiedzieliśmy mu, że chcielibyśmy się zatrzymać na Lincoln Heights na jakieś trzydzieści minut. Odburknął, że nie będzie na nas czekał, chyba że pokryjemy pełną opłatę za przejazd, co niestety oznaczało, że musielibyśmy wydać większość pieniędzy, które nam zostały.

- W porządku - powiedziała do Jama. - Złapiemy inną taksówkę do Burlington. Albo autobus.

Kierowca zrzędził całą drogę do Leavington, kiedy dowiedział się, że nie jedziemy na lotnisko. Najpierw narzekał, że musiał sprawdzać na mapie, gdzie znajduje się Lincoln Heights, potem na drogę jednokierunkową, na której nie mógł nas wysadzić. Kiedy jednak w końcu się zatrzymał, zrobił gigantyczną awanturę o to, że nie mieliśmy dokładnie odliczonej kwoty za przejazd. Oczywiście, że nie mieliśmy, bo został nam tylko jeden studolarowy banknot, który dał mi Taylor Tarsen.

Kierowca zabrał go, potem odwrócił się i zaczął grzebać w kieszeni drzwi, tuż obok siedzenia.

- Reszta - warknął. Wepchnął mi w rękę mnóstwo pogniecionych banknotów i odjechał.

Wsadziłam pieniądze do kieszonki i zarzuciłam plecak na ramię. Było piętnaście po szóstej rano, właśnie zaczynało świtać. Gromadka starszych nastolatków podpierała pobliską ścianę. Wyglądali, jak gdyby spędzili na mieście całą noc. Dwóch z nich gapiło się na nas podejrzliwie.

Z walącym sercem chwyciłam Jama za rękę i oddaliliśmy się w przeciwnym kierunku. Pogoda pasowała do scenerii.

Nieciekawe, paskudne, stalowoszare chmury wypełniały każdy centymetr nieba. Było przenikliwie zimno.

Jam wydał swoje ostatnie dolary na byle jaką kawę i pączki z dżemem, które kupił w obskurnym kiosku na rogu. I nagle znaleźliśmy się tam - na Lincoln Heights, numer 10904.

Budynek wyglądał tak samo jak wszystkie inne na tej ulicy. Ciemny, brudny, popadający w ruinę. Drzwi frontowe były zamknięte. Żaden z dzwonek na obdrapanej ścianie nie działał. W końcu z bramy wyszła jakaś kobieta. Wślizgnęliśmy się do środka, zanim frontowe drzwi się zatrzasnęły.

- Fuj! - Jam skrzywił się.

Przełknęłam ślinę, starając się nie wciągać powietrza - mieszanki stęchlizny, moczu i gnijącego jedzenia - które unosiło się nad zaplamionymi betonowymi schodami. Powoli doszliśmy do mieszkania numer 34 na najwyższym piętrze.

Powiem to jeszcze raz - gdyby Jama nie było tu teraz przy mnie, odwróciłabym się i uciekła. I gdyby nie to, że narobiłam takiego zamieszania w związku z przyjazdem tutaj, pewnie zasugerowałabym, abyśmy już wracali.

Ale to chyba nie była beznadziejna sytuacja. Nie sędzę, żeby Sonia w dalszym ciągu tutaj mieszkała. Jezu! Nawet nie sędzę, żeby ona tu kiedykolwiek mieszkała. Tego akurat nie wiedziałam. Kiedy jednak stanęliśmy przed drzwiami mieszkania numer 34, nagle poczułam to wszechogarniające uczucie, że to właśnie ona otworzy drzwi. I co wtedy?

Hej! Czy to ty porwałaś mnie jedenaście lat temu?

A może byłam w błędzie? A może ona rzeczywiście jest moją matką? A może tylko spojrzy na mnie i zatrzaśnie drzwi tuż przed moim nosem?

Jam już pukał do drzwi.

Stałam jak wryta. Drzwi otworzyły się.

Wpatrywałam się w dziewczynę stojącą naprzeciwko nas. Nagle się rozluźniłam.

To nie była Sonia. Nie mogła być Sonią. Była zbyt młoda. Miała nie więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat.

Dziewczyna trzymała w ramionach niemowlaka, a nogami przytrzymała nieco starsze dziecko, takie dopiero uczące się chodzić. Założyła kosmyki przetłuszczających się włosów za uszy, spoglądając na mnie gniewnie.

- Czego chcecie? - zapytała z silnym akcentem. Chyba hiszpańskim.

- Szukamy kobiety o nazwisku Sonia Holtwood - powiedziałam. - Myślę, że ona mieszkała kiedyś w tym domu.

- Nie - odparła dziewczyna. - Ona nie mieszkać tutaj - i zaczęła powoli zamykać drzwi.

- Zaczekaj - poprosiłam, blokując je.

- Hej! Dejame. Puta. Wynocha! - podniosła głos.

- Czy mieszka tutaj ktoś jeszcze, kogo mogłabyś zapytać? Proszę. Ktoś, kto może pamiętać poprzednich lokatorów?

Ale dziewczyna miała zupełnie gdzieś to, o czym ja mówiłam. Teraz już tylko na mnie wrzeszczała. Po hiszpańsku, a ja nic z tego nie rozumiałam.

- No seniora! - krzyknęła - Nie wiem.

Zatrzasnęła drzwi.

Przymknęłam oczy. Słyszałam jak kilka innych drzwi uchyliło się w głębi korytarza. Ludzie zaniepokojeni hałasem wyszli na zewnątrz, aby zobaczyć, co się stało. Słysząc było szuranie butów, gdy wychylili się z mieszkań, by za moment schować się z powrotem.

Spojrzałam na Jama.

- Można to było przewidzieć - powiedział.

- Przepraszam, kochanie.

Obejrzałam się. W drzwiach naprzeciwko pojawiła się starsza pani. Pochylała się z racji swojego wieku, a skóra na

jej twarzy i rękach była pokryta zmarszczkami niczym pognieciony cieniuteńki papier.

- Czy dobrze zrozumiałam, że pytałaś o Sonię? Sonię Holtwood?

- Tak - spojrzałam na nią z przejęciem. - Czy pani ją zna? Czy ona tutaj mieszkała?

Kobieta spojrzała na mnie błyszczącymi oczami.

- O tak! - powiedziała. - Mieszkała tutaj przez jakiś czas. Zajmowałam się wtedy jej dziewczynką.

### 13. Bettina

Starsza pani przedstawiła się jako Bettina.

- A skąd wy w ogóle znacie Sonię? - zapytała.

- To nie tak, że... To znaczy... - wyjąkałam, wolałabym nie opowiadać mojej historii nieznajomej.

Bettina próbowała zgadnąć.

- Tylko mi nie mów, że to ty jesteś tą małą dziewczynką Sonii - powiedziała.

Kiwnęłam głową i zarumieniłam się.

Bettina poderwała się, splatając dłonie w zachwycie.

- Bóg istnieje! Nigdy nie myślałam... Proszę, wchodźcie, wchodźcie!

Bettina wprowadziła nas do swojego małego mieszkania, świergocząc przy tym jak sikorka.

- To gdzie jest twoja mama? Skąd wy macie taki akcent?

Usiadłam na skraju wymyślnie zdobionego fotela, zupełnie niepasującego do dywanu i zasłon, takiego stylu Mama nigdy nie tolerowała.

- Zostałam adoptowana, gdy miałam trzy lata - powiedziałam z zakłopotaniem. - Teraz mieszkam w Anglii. Chcę się dowiedzieć czegoś o Sonii, ponieważ, ponieważ... - mój głos ucichł. W ciszy słychać było jedynie tykający zegar.

Ponieważ ona wie, skąd pochodzę. Ona wie, do kogo należę. Myślę, że ona porwała mnie z mojej prawdziwej rodziny.

Bettina spojrzała na mnie smutnymi oczami.

- Adoptowana? Biedne dziecko - wyszeptała.

Rozejrzałam się po pokoju, zakłopotana jej współczuciem. Poduszki spoczywały na siedzeniach, a bibeloty na każdej z półek. Pokój był na swój sposób przytulny. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek raczkowałam na tej kanapie.

Bettina wyszła, aby przygotować herbatę. Po kilku minutach wróciła, trzymając w trzęsących się rękach tacę z filiżankami i spodkami. Jam poderwał się w jej kierunku.

- Pani pozwoli, że ja to wezmę - uśmiechnął się. Postawił tacę na niskim stoliku naprzeciwko jednej z sof.

- Uroczy! - Bettina kiwnęła głową z aprobatą. - Co za ujmujące brytyjskie maniere - powiedziała w zachwycie, siadając na sofie.

- Kiedy ostatnio ją pani widziała? - zapytałam.

Bettina pochyliła się do przodu i powoli podłożyła spodki pod filiżanki.

- Mieszkała tutaj tylko przez kilka tygodni. I to było bardzo, bardzo dawno temu. Dziesięć, jedenaście lat temu może. W dzisiejszych czasach ludzie często tak robią. Przychodzą i odchodzą. Nie mają żadnych korzeni.

- A... A jaka ona była? - zapytałam.

Bettina spuściła wzrok. Zauważyłam, że jej uszy były przekłute.

Długi kolczyk ścigał małżowinę uszną ku dołowi.

- Sonia była bardzo zamknięta w sobie - powiedziała powoli. - Nie chciała, żeby ktokolwiek interesował się jej życiem. Gdyby nie ty, to najprawdopodobniej bym o niej zapomniała. Nigdy mi o sobie nie opowiadała. Szczerze mówiąc - mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, jeżeli powiem - ale ona nie była typem matczynym.

Bettina naląła herbaty do filiżanek. Stawiając dzbanek na stoliku, westchnęła:

- Rzadko widywałam pocałunki i przytulania.

Wypiłam łyżeczek herbaty. Moje serce biło mocno.

- Czy wiedziała pani, dokąd poszła, kiedy się stąd wyprowadziła?

Bettina pokręciła głową ze smutkiem.

- Kochanie, chciałabym móc ci to powiedzieć. Ale ona pewnego dnia wstała i tak po prostu wyszła z tobą. Nie mówiąc nikomu ani słowa.

- Och! - spojrzałam na filiżankę. Tęsknota wypełniła moje serce. Ta starsza kobieta знаła mnie dłużej niż ktokolwiek inny. Nawet dłużej niż moja Mama i Tato.

- Jaka ja byłam? - zapytałam, zanim zorientowałam się, że to zrobię. Mój głos był cichy.

Bettina położyła swoją sękatą rękę na mojej.

- Byłaś uroczym maleństwem - powiedziała. - Pilnowałam cię tylko kilka razy, ale nigdy cię nie zapomniałam. Byłaś bardzo spokojna i bardzo poważna. Niewiele mówiłaś. I miałaś taką małą, smutną twarzyczkę. Potrzebowałam trochę czasu, żeby cię rozweselić. Ale kiedy w końcu się to udawało, byłaś taka śliczna. Wtedy właśnie korciło mnie, żeby zrobić ci zdjęcie. Siedziałaś dokładnie w tym samym miejscu, w którym siedzisz teraz.

- Naprawdę? Chciała mi pani zrobić zdjęcie? - zapytałam.  
- A czy zrobiła je pani?

Bettina potrząsnęła głową.

- Pewnego dnia Sonia wróciła nie wiadomo skąd i nakryła mnie. Była naprawdę wściekła. Wyciągnęła kliszę z aparatu. Wyprowadziła się następnego dnia.

Dokończyliśmy naszą herbatę i pożegnaliśmy się. Bettina niechętnie się z nami rozstawała. Sprawiała wrażenie, że nie miewała zbyt wielu gości.

Na zewnątrz było widno, ale nadal mroźno. Już chyba po raz dziesiąty od chwili przylotu do Ameryki żałowałam, że nie zabrałam ze sobą cieplejszej kurtki.

- Myślę, że powinniśmy dowiedzieć się, jak kursują autobusy do Burlington - Jam spojrzał na mnie z ukosa. Widziałam jak na dłoni, że zastanawiał się, czy będę nalegać, abyśmy dalej szukali Sonii.

Ale zgubiliśmy trop. Nic więcej nie mogłam zrobić. To, co Bettina powiedziała, upewniło mnie w przekonaniu, że Sonia nie była moją prawdziwą matką. I w dalszym ciągu nie wiedziałam nic na temat mojego życia przed tym, kiedy mnie znalazła.

Kolejnym logicznym krokiem było skontaktowanie się z telefonem zaufania strony internetowej Zaginione - Dzieci.com i poinformowanie, że podejrzewam, iż mogę być Martą Lauren Purditt.

Ale już nie chciałam tego robić, ani tu, ani w Londynie. To moja przeszłość. Nie chcę, żeby policja, urzędnicy i opieka społeczna wzięli to wszystko w swoje ręce. Nie chcę, żeby oni decydowali o mojej przyszłości.

Jam w dalszym ciągu stał w tym samym miejscu, drżąc z zimna, patrzył na mnie wyczekująco.

- Wejźmy do sklepu. Zapytamy o dworzec autobusowy - zaproponowałam.

Kiedy szliśmy ulicą w kierunku sklepu spożywczego, wyciągnęłam zwitek banknotów, który miałam w kieszeni.

- Jak sądzisz, ile nam zostało?

Gdy chciałam przeliczyć pieniądze, okazało się, że za wyjątkiem banknotu jednodolarowego na samym wierzchu cała reszta była jedynie kawałkami szarego papieru.

- To ten taksówkarz! - syknęłam.

- Co? - Jam rozejrzał się dookoła.

- Orznął nas z reszty za przejazd! - mój głos przemieniał się w rozpaczliwy pisk.

Spojrzałam na Jama.

- Został nam tylko jeden dolar.

## 14. Przejazdźka

Szliśmy w ciszy w kierunku małego placu porośniętego trawą, znajdującego się pomiędzy dwoma blokami. Uszy chyba zamarzły mi z zimna, ale prawie tego nie zauważyłam.

Byliśmy bez grosza przy duszy. W jaki sposób mieliśmy się dostać z powrotem do Burlington?

- Będziemy po prostu musieli zadzwonić do twojej mamy  
- powiedział Jam.

Straciłam zapal. Wiedziałam, że będziemy musieli zadzwonić. Ale to brzmiało jak porażka. Wiatr smagał mi ramiona. Mocno opatuliłam się kurtką. Nie było innego wyjścia. Włożyłam rękę do kieszeni.

- Dzieciaki, podwieźć was gdzieś?

Obejrzałam się. Kobieta w średnim wieku o falujących, brązowych włosach wychyliła się z okna samochodu, uśmiechając się do nas. Miała na sobie policyjny mundur.

- Ejże! Ja nie gryzę! - zaśmiała się. - Dokąd się kierujecie, moi drodzy?

Jam spojrzał na mnie.

Podeszliśmy do niej.

W rzeczywistości była starsza, niż mi się wydawało. Miała nienaturalnie perfekcyjnie ułożone włosy. Mogła to być nawet peruka. Mocny niebieski makijaż i mnóstwo pudru na twarzy.

- Właśnie was zauważyłam. Wyglądacie na zmarzniętych  
- kobieta spojrzała w górę na zachmurzone niebo. - Wedle komunikatu meteorologicznego jeszcze dzisiaj będzie padał śnieg - dodała.

Sięgnęła ręką do kurtki i wyciągnęła skórzany portfel. Otworzyła go machinalnie i machnęła nim przed naszymi nosami. Odznaka w kształcie gwiazdy mignęła mi przed oczami.

- Nazywam się Suzana Sanders - uśmiechnęła się. -  
Właśnie skończyłam swoją zmianę. Jesteście pewni, że nie  
chcecie, żeby was gdzieś podwieźć?

Przygryzłam wargę.

- Jedziemy do Burlington, potem do Bostonu. Na lotnisko  
- powiedziałam.

Oczy Suzany Sanders otworzyły się szeroko.

- No co wy mówicie? Naprawdę? Ja także jadę do  
Bostonu. Mam samolot z lotniska Logan - spojrzała w dół na  
swoją mundur. - Mam bardzo napięty harmonogram, jak  
widzicie. Będę musiała się przebrać na lotnisku. No, to  
namyślajcie się szybciotko.

- Może pani zaczekać sekundkę? - zapytałam. - Chciałam  
tylko zamienić słówko z kolegą.

Odciągnęłam Jama od samochodu.

- Myślę, że powinniśmy z nią pojechać.

- Co? Wsiąść do samochodu zupełnie obcej nam osoby?

- To policjantka - powiedziałam. - Ona nam nie zrobi  
krzywdy.

- Nie sądzisz, że twoja mama mogła zadzwonić na  
policję? - zapytał. - Oni mogą nas szukać.

- No i...? Tak czy owak, już wracamy. Jeżeli pojedziemy  
z nią, będziemy w Bostonie szybciej, niż gdybyśmy najpierw  
musieli wracać do Burlington. - Zerknęłam na Suzanę  
Sanders. - Jeśli nas zapyta, możemy powiedzieć, że się  
zgubiliśmy lub coś w tym stylu. Zaraz wyślę do Mamy  
wiadomość, żeby wiedziała, że już wracamy.

- Nie jestem przekonany, czy to jest dobry pomysł. Mam  
złe przeczucia.

Uścisnęłam jego rękę.

- No chodź! Co może się wydarzyć? Ona jest gliną. A  
poza tym nas jest dwoje!

Jam kiwnął głową.

- OK.

Podeszłam do policjantki i podałam nasze imiona.

- Dzięki. Jeśli naprawdę nie ma pani nic przeciwko, to chętnie się z panią zabierzemy. Muszę tylko wysłać SMS do mojej mamy.

- Świetnie! - Suzana uśmiechnęła się. - A zrobiłoby wam wielką różnicę, gdybyście wysłali tę wiadomość z samochodu? Stojąc tutaj, zamarzniemy na kość!

Podążyłam za nią do samochodu. Zawahałam się przez moment, bo nie byłam do końca przekonana, czy zajęcie miejsca obok niej na przednim siedzeniu to dobry pomysł. Nie chciałam także zmuszać Jama, aby tam siedział.

- W porządku, możecie zająć tylne siedzenia - Suzana otworzyła drzwi. - Tylko bez obściskiwania się.

Zaczerwieniłam się, wsiadając do samochodu. Suzana wsadziła nasze plecaki do bagażnika, a my wślizgnęliśmy się na siedzenia obite sztuczną skórą. Samochód w środku był tak samo elegancki i wypolerowany jak i na zewnątrz.

Potarłam o siebie skostniałe dłonie, a następnie wyciągnęłam komórkę i włączyłam ją. Przybyło kilka nieodebranych połączeń i wiadomości. Zignorowałam je i od razu wybrałam numer Mamy. I nic. Sprawdziłam baterię - wciąż połowa. Wreszcie dostrzegłam, że w ogóle nie miałam zasięgu.

Jam sprawdził swoją komórkę, kiedy ruszaliśmy. Dokładnie to samo.

- To często się zdarza w tej okolicy - Suzana powiedziała radośnie. - Poczekajcie pięć minut, a potem spróbujcie jeszcze raz.

Jam usadowił się wygodnie przy drzwiach. Wyciągnął swoją konsolę do gier z kieszeni kurtki i włączył ją. Nie zaczął jednak grać, tylko odwrócił ją i pocierał kciukiem po

równiutkich wyłobieniach na spodzie konsoli, które zauważyłam w motelu.

- Po co one są? - zapytałam.

- Po nic - Jam wzruszył ramionami.

Patrzył przez okno, kiedy z rykiem silnika przejeżdżaliśmy obok rzędu niskich sklepów.

Próbowałam wysłać SMS - y jeszcze kilka razy, ale nie udało mi się złapać zasięgu. Zostawiłam komórkę włączoną.

- Macie ochotę na sok? - Suzana sięgnęła do schowka i podała nam kilka kartoników soku pomarańczowego. Wypiliśmy je w mig wielkimi łykami.

Byłam spokojna, bo Suzana nie zadawała nam pytań typu: skąd jesteśmy albo dlaczego wylądowaliśmy w Leavington. Oparłam głowę o szybę. Po kilku minutach poczułam się senna. Spojrzałam na Jama. Jego oczy były zamknięte, a głowa zwisała mu bezwładnie.

Przysypiałam.

Byłam z powrotem na plaży. Sama. Przerazona. Doszłam do skały, gdzie mignęły mi długie, czarne włosy. Jednak nikogo tam nie było. Odwróciłam się, wpadając w panikę.

- Mamusiu - jęknęłam. - Mamusiuuu! Gdzie jesteś?

Kiedy się ocknęłam, na zewnątrz było już ciemno. Samochód buczał, jadąc przez opustoszałą ulicę. Żadnych latarni ulicznych, tylko biała poświata reflektorów. Usiadłam, ale nogi miałam jak z waty.

Jam wciąż spał.

Suzana mówiła coś niskim, gniewnym głosem. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że rozmawiała przez komórkę.

- Przestań mi rozkazywać, Taylor. - fuknęła. - To przez ciebie mamy takie kłopoty. No i kto musi sprzątać cały ten bałagan?

Suzana rzuciła telefon na siedzenie tuż obok niej.

Czułam się tak, jak gdybym miała zamiast głowy wielką kulę z waty. Taylor. Z jakiegoś powodu to imię brzmiało znajomo.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałam, ocierając czoło. Suzana odwróciła się w moją stronę.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - powiedziała. - Ejże! Zgadnij, co się stało! Miałam rację - rzeczywiście padało. Spaliście przez kilka dobrych godzin.

Zadrżałam. Miałam wrażenie, że sposób, w jaki Suzana rozmawiała, był dziwny - w jej głosie wyczuwało się zdenerwowanie, którego wcześniej nie było. Wsunęłam rękę do kieszeni dzinsów, by wyjąć telefon.

Ale nie było go tam.

Może upadł na podłogę? Sięgnęłam niżej i po omacku przesuwając ręką po podłodze samochodu. Pociągnęłam Jama za nogę.

- Jam, obudź się! Nie mogę znaleźć mojej komórki.

Jam ziewnął i wyciągnął ręce, rozprostowując je.

- Nie ma jej tutaj - powiedziałam.

- Musi być - Suzana odezwała się z przedniego siedzenia. Zakasłała. - Jesteśmy prawie na lotnisku Logan. Zapalę światło, kiedy tam dotrzemy, i wtedy porządnie sprawdzisz.

Usiadłam wygodnie na siedzeniu, mając niejasne przeczucie nadciągającego niebezpieczeństwa. Byłam pewna, że miałam komórkę w kieszeni, zanim zasnęłam. Jak mogła tak po prostu wypaść?

No i jakim sposobem zrobiło się już ciemno? Zerknęłam na zegarek. Była siódma wieczorem. Zmusiłam się do intensywnego myślenia. Nie mogliśmy wyjść od Bettiny później niż o dziewiątej rano. Jak to możliwe, żebyśmy spali przez ponad dziesięć godzin? A jeśli tak, to już dawno powinniśmy być w Bostonie.

Spojrzałam przez okno, wyteżając wzrok, żeby dojrzeć jakieś znaki na drodze.

Nic. Tylko śnieg i drzewa po obu stronach. To nawet nie wyglądało na jakąś główną drogę.

Przesunęłam się wzdłuż siedzenia ze skóropodobnego materiału i oparłam głowę o ramię Jama. Był cały spięty.

Spojrzałam w przednie lusterko. Suzana patrzyła na mnie. Uniosła brwi, a potem z powrotem spojrzała na drogę przed siebie. Odchyliłam głowę do góry, w kierunku szyi Jama.

Czułam, jak Jam odsuwa się ode mnie.

- Co ty...?

- Ciii... - wyszeptałam mu do ucha. - Myślę, że Suzana zabrała moją komórkę. I wcale mi się nie wydaje, żebyśmy byli gdzieś niedaleko lotniska Logan.

Na policzku czułam gorący oddech Jama. Cofnął rękę, a następnie wsunął dłoń do kieszonki swoich spodni. Pochylił się do przodu i wyszeptał:

- Mojej też nie ma. Jak tylko zatrzyma samochód, wynosimy się stąd, OK?

- Hej! Gruchające gołąbki, spokój tam! - powiedziała Suzana. - Nie chcę się zatrzymywać.

Zaśmiała się nieszczерze.

Przesunęłam się z powrotem na drugą stronę tylnego siedzenia samochodu.

Wyciągnęłam jednak rękę, dotykając palcami dłoni Jama. Nasze dłonie splotły się. Serce waliło mi jak młotem.

- Niedobrze mi - powiedziałam. - Może pani zatrzymać samochód?

Suzana zignorowała mnie.

Samochód zwolnił teraz i z dziwnym kłopotem silnika jechał po wybojach nieutwardzonej drogi. Sięgnęłam do klamki. W mojej głowie zrodził się szalony pomysł, żebyśmy razem z Jamem wyskoczyli z samochodu. Ale drzwi były

zablokowane. Słyszałam, jak Jam szarpnął klamką po swojej stronie.

Suzana odwróciła się w naszą stronę.

- Przestańcie!

- Co pani robi? - zapytałam, wpadając w panikę. - Gdzie pani nas zabiera?

O Boże, o Boże! Ona jest psychiczna. Jak ta, o której Mama zawsze opowiada, że zabija dwoje dzieci rocznie. A w tym roku to właśnie ja i Jam jesteśmy tymi dziećmi.

Suzanna spojrzała na mnie w lusterku wstecznym.

- Nie poznajesz mnie, kochanie? - uśmiechnęła się złośliwie, mówiąc udawanym, cukierkowo słodkim głosem.

- Jestem Sonia Holtwood.

## 15. Bez wyjścia

Wpatrywałam się głupio w tył jej głowy, w starannie ułożone brązowe włosy. Ona jest Sonią Holtwood? Miałam taki straszliwy mętlik w głowie, że nie mogłam nawet zebrać myśli.

- Co ma pani na myśli? - zapytałam.

- Taylor powiedział mi, że zadawałaś pytania. Próbowalaś mnie znaleźć - kobieta powiedziała spokojnie. - Doszłam do wniosku, że będzie lepiej, kiedy to ja znajdę ciebie pierwsza.

Zmarszczyłam brwi, w dalszym ciągu z wielkim trudem starając się poukładać sobie w głowie to, co się tutaj działo. I znowu ten Taylor. Skąd ja znam to imię? I wtedy nagle to do mnie dotarło. To było imię pana Tarsena.

- Pan Tarsen kontaktował się z panią? - zapytałam.

- Zgadza się - szybkim ruchem ręki włączyła reflektory. - Powiedział, że jest przekonany, że wiesz dużo więcej, niż mu powiedziałaś. Co nie znaczy, że zrobił cokolwiek. Nie. Wyłączył tylko alarm przeciwwłamaniowy, ukrył twoją kartotekę - a później czekał na twój ruch. Wynaturzony Taylor - zawsze ten sam.

Mój umysł siadł, dokładnie tak samo, jak siada przeciążony system komputerowy. Wyjrzałam przez okno. Otaczał nas gęsty sosnowy las. Padał śnieg.

- Czy pani jest policjantką? - Jam domagał się odpowiedzi. - Widzieliśmy pani odznakę.

- Wypożyczalnia kostiumów - na twarzy Sonii Holtwood pojawił się triumfalny uśmiech. - I to jest właśnie najfajniejsze w turystach. Wydaje im się, że wiedzą, jak gliny wyglądają, ale widują ich tylko w programach telewizyjnych. Gdybyście nie wsiedli do samochodu, zaareztowałabym was - zaśmiała się. - Czyli co? Dobrze się czujecie?

Nagle wszystkie części układanki zaczęły do siebie pasować.

- Naćpałaś nas! - krzyknęłam. - Tym sokiem pomarańczowym. I zabrałaś nam nasze komórki.

Spojrzałam na Jama. Miał upiornie bladą twarz w odbijającym się świetle pokrytych śniegiem drzew.

- Czego chcesz? - mój głos zadrżał. - Co z nami zrobisz?

Sonia zupełnie mnie zignorowała. Prowadziła jeszcze przez jakieś pół minuty lub trochę dłużej, a potem zatrzymała samochód na poboczu. Wyłączyła zapłon, ale zostawiła włączone reflektory.

Obleciał mnie strach. Złapałam za klamkę i pociągnęłam. Drzwi w dalszym ciągu były zablokowane.

Sonia obróciła się i spojrzała na nas.

- Nie macie zielonego pojęcia, jak to jest, gdy się niczego nie ma - powiedziała. - Pieniędzy. Nadziei.

Przyszłości.

Mocowałam się z klamką, a panika ścisnęła mnie za gardło.

- Wypuść nas! - krzyknęłam.

- Jako trzylatka też byłaś małą rozpieszczoną królewną - uśmiechnęła się szyderczo. - Żywa, biała i warta fortunę.

Wściekłość wyparła mój strach.

- Ukradłaś mnie z mojej rodziny, ty...

- Byłam po uszy w długach - fuknęła. - Potrzebowałam pieniędzy.

- Ty niegodziwy kawałku...

- Zamknij się! - Sonia wyciągnęła rękę i uderzyła mnie w twarz.

- Ejże! - Jam wrzasnął.

Wydałam z bólu stłumiony okrzyk. Przycisnęłam dłoń do policzka.

Osunęłam się z powrotem na siedzenie.

Jam ponownie chwycił mnie za rękę.

Spojrzałam na surową i rozgniewaną twarz Sonii. Przez przednią szybę widziałam wirujące białe płatki śniegu, które w świetle reflektorów samochodu przemieniały się w żółte.

- Kiedy Taylor zadzwonił - powiedziała - mogłam po prostu się odwrócić i zwać. Agenci federalni nigdy by mnie nie znaleźli. Ale potem pomyślałam - ale właściwie to dlaczego miałabym uciekać? Dlaczego się ukrywać? I zdecydowałam, że pojedę za wami z tego obskurnego motelu, w którym się zatrzymaliście.

Jej oczy wyglądały jak dwie czarne dziury. Martwe. Puste.

Nagle uświadomiłam sobie, dlaczego pan Tarsen sam za nami nie poszedł ani nie zawiadomił policji, kiedy włamaliśmy się do agencji. Wiedział, że będziemy śledzeni aż do Marchfield. Dla niego. Nie chciał, aby ktokolwiek inny nas szukał. Tylko Sonia.

- Nie powiemy nikomu, co zrobiłaś - błagałam. - Obiecuję.

Sonia uniosła brwi.

- Och!

Nacisnęła przycisk na desce rozdzielczej. Wraz z kliknięciem otworzyły się po obu stronach tylne drzwi. Szarpnęłam je i wypadłam na zewnątrz, zatraskując je za sobą.

Podmuch lodowatego wiatru okręcił się wokół mnie jak wąż. Obróciłam się. Jam także był już na zewnątrz. Sonia sięgnęła w kierunku deski rozdzielczej i jednym ruchem ręki zablokowała wszystkie cztery drzwi.

Nocne powietrze tutaj było o wiele mroźniejsze niż w Marchfield. To mniej więcej tak, jakby znaleźć się w zamrażarce.

Sonia zwiększyła obroty silnika samochodu. W tym momencie dotarło do mnie, co planowała.

- Nie! - krzyknął Jam.

Szarpnęłam za klamkę od drzwi. Zamknięte.

- Zaczekaj! - płakałam.

Sonia uśmiechnęła się. Uchyliła okno na kilka centymetrów.

- Myślałam, że chcecie wyjść na zewnątrz - powiedziała.

- Gdzie my jesteśmy?! - krzyczał Jam.

- Na odludziu - powiedziała. - Dwadzieścia mil od każdej miejscowości, która ma jakąś nazwę.

Serce waliło mi jak młotem, kiedy na nią patrzyłam. Śnieg opadał mi na twarz. Było mi tak zimno, jak jeszcze nigdy w życiu. Objęłam się rękami, próbując opatulić się jeszcze mocniej moją cieniutką kurtką. Właściwie to było bez znaczenia, czy ją miałam na sobie, czy nie.

Sonia zaczęła wycofywać samochód.

- Nie możesz nas tutaj zostawić! - wrzeszczał Jam, biegnąc przy samochodzie.

Na jego twarzy malowało się przerażenie. Moje całe ciało zaczęło drżeć.

- Zamarzniemy na śmierć! - zanosłam się od łez. Sonia spojrzała na nas gniewnie.

- Serio? - zatrzymała na moment samochód w poprzek drogi.

- Przynajmniej zostaw nam nasze rzeczy! Nasze telefony!

Ale Sonia już nie słuchała. Zasunęła szybę, skręciła koła, ustawiając samochód przodem do zjazdu.

- Ona nie może tego zrobić - powiedziałam. Ale zrobiła.

Śnieg skrzypiał pod ciężarem samochodu, który wolno znikał w ciemnościach. Jego dwa tylne światła świeciły w oddali niczym złote oczy olbrzymiego kota. Ale i one w końcu zniknęły w ciemności nocy.

Wiatr wrzynał się w moją twarz. Śnieg padał przez cały czas. Schowałam zmarznięte dłonie pod pachami i

wpatrywałam się w ziemię. Śnieg pokrywał już ślady, które pozostawił po sobie samochód.

I w tym momencie uświadomiłam sobie, jak genialny plan uknuli Sonia i Tarsen. Nikt nie widział, jak wsiadaliśmy do samochodu Sonii. Nikt nie mógł połączyć nas ani z tym miejscem, ani z żadnym z nich. Co więcej, nikt nawet nie wiedział, że tutaj byliśmy. A to z kolei oznacza, że nikt nas nawet nie szuka.

Spojrzałam na swoje adidas, świadoma tego, że nie czułam własnych stóp. Czubki białej skóry zaczęły się od śniegu.

- Musimy cały czas iść - nakazał Jam. Dłońmi przeszukiwał zawartość swoich kieszeń. - Czy masz coś przy sobie? Cokolwiek.

Pokręciłam głową. Jam wyciągnął z kieszeni kurtki swoją konsolę do gier. Spojrzał na mnie gniewnym i surowym wzrokiem.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli to zamienić na coś użytecznego - powiedziałam, szcękając z zimna zębami.

- Jak widać, nie jestem Aleksem Riderem - warknął.

Ruszyliśmy drogą w dół. Płatki śniegu opadały na mój nos, policzki i włosy. Jeden z nich roztopił się na mojej szyi, a następnie zimną stróżką spłynął w dół po plecach.

Teraz to już nawet nie byłam w stanie opanować drżenia mojego ciała. Zerknęłam na Jama z ukosa.

- Jak myślisz, jak daleko jest stąd do głównej drogi?

Wzruszył ramionami.

- Wiele mil. Ale droga wchodzi w zakręt. Myślę, że powinniśmy iść na przełaj, przez las. Moglibyśmy skrócić sobie drogę, zaoszczędzić trochę czasu.

- A gdyby jakiś samochód przejeżdżał? Nie powinniśmy iść wzdłuż drogi?

Jam spojrział na mnie. - Żaden samochód nie będzie tędy przejeżdżał - ton głosu Jama był zgryźliwy. - To właśnie dlatego ona nas tu zostawiła.

Obrócił się i wszedł w las po lewej stronie.

Podążyłam pośpiesznie za nim, brnąc przez grubą warstwę śniegu. Moje serce waliło jak opętane. Byłam przerażona. Co się z nami stanie? Jam szedł obok mnie, głośno chrzęszcząc, wcale na mnie nie patrząc.

Dlaczego zachowywał się tak, jak gdyby to była moja wina? Obserwowałam, jak wydychane powietrze z moich ust parowało, przeistaczając się w gęste, białe obłoki.

Wydawało się, że przeszliśmy już wiele mil. Sosnowy las stawał się coraz gęstszy, śnieg głębszy oraz bardziej lodowaty. Moje ręce i nogi zeszywniały i straciłam w nich czucie. Gdzieś w oddali słychać było wycie jakiegoś zwierzęcia.

- Myślisz, że tutaj są wilki? - zapytałam.

- No i niedźwiedzie - ale nie bój się, mróz prawdopodobnie wykończy nas wcześniej niż dzikie zwierzęta - Jam powiedział sarkastycznie. Wyciągnął z kieszeni konsolę i przejechał palcem po wyżłobieniach na tylnej jej części.

Z całych sił starałam się, żeby moje zmarznięte stopy ruszały się. Moja cienka, bawełniana kurtka była całkowicie przemoknięta. Przylegała do mojego ciała jak wilgotna gąbka.

- No chodź! - Jam warknął. - Musimy iść szybciej.

Zagryzłam wargi.

- Dlaczego jesteś na mnie taki zły? - zapytałam.

Jam obrócił się nagle. Niespodziewanie gniew wykrzywił mu twarz. Jego głos odbijał się echem ponad lodowatym wiatrem.

- Jesteś niewiarygodna, Lauren! - krzyknął. - To zawsze, zawsze chodzi o ciebie, czyż nie? Jesteś najbardziej zapatrzoną w siebie osobą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Ścisnęło mnie w gardle.

- Co masz na myśli?

Jam strącił niechcący śnieg z gałęzi.

- Czy to do ciebie nie dociera? - wskazał na drzewa i niebo. - Jesteśmy na jakimś totalnym zadupiu. Zamarzniemy na śmierć. I myślisz, że w takiej sytuacji jestem na ciebie zły?

- Nie chodziło mi...

- No jasne, że nie. Tak samo, jak nie chciałaś wlec mnie przez pół świata i zmuszać, żebym wsiadł do samochodu z jakąś maniakalną zabójczynią.

- Nie zmuszałam cię...

- Nie, ty mnie poprosiłaś, a ja się zgodziłem, co znaczy, że jestem większym głupcem niż ty egoistką - fuknął.

Stałam jak wryta, moje całe ciało drżało ze strachu, zimna i szoku.

- Jam... - zaczęłam.

On obrócił się i oddalał wielkimi krokami w kierunku drzew. Chciałam iść za nim, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Potknęłam się i upadłam na śnieg. Z trudem zdołałam usiąść. Rozplakałam się.

- Jam! - zawołałam. - Przepraszam.

Cisza.

Rozejrzałam się dookoła. Ani śladu Jama. Łzy ciurkiem spływały mi po twarzy. Chciałam wstać, ale nogi za bardzo bolały. Mój oddech stał się płytkim sapaniem. Byłam całkiem sama. Ogarnął mnie strach - ogromny kamień zalegał mi na sercu.

Osunęłam się na ziemię, oczekując, że będzie twarda i zimna. Ale nie była. Śnieg okazał się miękki i ciepły niczym kocyk. Leżałam wyciągnięta, ogarnięta poczuciem błogiej senności. Sen był wszystkim, czego teraz chciałam.

Mógł mnie zabrać do kobiety na plaży. Mógł mnie zabrać do domu.

Zamknęłam oczy i zatopiłam się w ciemności.

## 16. Glane

W oddali słyszałam głosy. Ktoś wołał mnie po imieniu. Coś gorącego i mokrego sączyło się przez moje usta i spływało po podbródku. Herbata. Słodka herbata. Wykrzywiłam twarz w grymasie. Nie cierpię słodzonej herbaty.

- Czy z nią wszystko w porządku? - to był głos Jama. Usiłowałam otworzyć oczy, ale powieki były za ciężkie.

Wielka bezwzględna dłoń nacisnęła na moje czoło.

- Pozwólmy jej spać - odezwał się ktoś o szorstkim głosie.

Chciałam o coś zapytać, ale byłam zbyt zmęczona, by to sobie przypomnieć, zbyt zmęczona, by ruszać ustami i mówić. Przewróciłam się na drugi bok. To był chyba jakiś koc - miękki i puszysty - łaskotał mnie w podbródek. Wygięłam szyję i jeszcze raz wtuliłam się w niego.

Biegłam w kierunku wielkiej skały. Po drugiej stronie słyszałam śmiech. Podkrađłam się niepostrzeżenie, stąpając ostrożnie po piasku. Wyjrzałam zza skały. Ona tam była. Odwróciła się. Długie, czarne włosy opadały jej aż do pasa. Były miękkie i lśniące. Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam je.

Kobieta obróciła się i uśmiechnęła. I wtedy w końcu ujrzałam jej twarz.

Była młoda. Pełna życia, z życzliwymi i najbardziej niebieskimi oczami, jakie kiedykolwiek widziałam. Wydałam stłumiony okrzyk zachwytu. Była piękna jak anioł.

- Małeństwo - powiedziała. - Znalazłaś mnie.

Później, dużo później, obudziłam się zdezorientowana. Pomarańczowe światło świeciło prosto w moje zamknięte powieki. Moja twarz była ciepła.

Poruszyłam rękami i nogami. Były słabe, ale nie bolały. Otworzyłam oczy.

Znajdowałam się w czymś, co przypominało drewnianą chatę. Była skąpo umeblowana, ale czysta. Stół i dwa krzesła

stały nieopodal dużej szafy. Ogromny płomień trzaskał w kominku naprzeciwko, tuż obok sterty grubo porąbanego drewna.

Na jednej ze ścian wisiały półki z książkami. Jam siedział zwinięty w kłębek na podłodze, tuż pod półkami, i czytał. Kosmyk włosów opadał mu na oczy, prawie dotykając jego nosa.

Musiał wyczuć, że na niego patrzyłam, ponieważ spojrzał na mnie. Jego twarz rozpromieniła się.

- Lauren - powiedział. - Jak się czujesz?

Z trudem podparłam się na łokciach.

- Głodna - powiedziałam. - Gdzie my jesteśmy?

- W North Vermont - Cold Ridge National Forest. - Jam podszedł do ognia i ukroił kromkę chleba leżącego na ściereczce, tuż przy kominku. - To jest chata Glane'a. - Jam podał mi kawałek chleba, później przyniósł trochę wody z dzbana stojącego przy drzwiach.

- Kim jest Glane? - wypiliśmy łyk wody i rozejrzałam się po chacie raz jeszcze. Na parapecie stał rząd przepięknych drewnianych rzeźb. Eleganckie owale w kształcie fal i okręgów z otworami w środku.

- Zobaczysz - Jam powiedział. - Wróci niedługo. To on nas znalazł.

- Znalazł nas? - zapytałam. Jam kiwnął głową.

- W lesie - jego twarz zarumieniła się. - Najpierw mnie znalazł. Ja... Och! Lauren! Tak bardzo, bardzo mi przykro, że uciekłem...

Wzruszyłam ramionami, nie będąc pewną, co powiedzieć. Przez kilka pierwszych chwil po przebudzeniu zupełnie nie pamiętałam o tym, że Jam zostawił mnie w lesie. Teraz wszystko wróciło. Sonia Holtwood. Wiedziałam na sto procent, że ona mnie porwała, kiedy byłam małą dziewczynką. I pamiętałam anielską twarz mojej mamy.

Jam poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Może masz do mnie żal, ale to nie było tak, jak myślisz. Sądzę, że powinnaś wiedzieć. Tak naprawdę to cię nie opuściłem. To znaczy, oszedłem tylko na sekundę. Wiedziałem, gdzie jesteś...

Drzwi chaty otworzyły się, wpuszczając do środka strumień zimnego powietrza i ostrego światła słonecznego. Przez sekundę widziałam niebieskie niebo i śnieg, a potem ogromna postać z przewieszoną przez ramię strzelbą i owinięta w futro pojawiła się w drzwiach. Potupała w miejscu, a potem zamaszystym krokiem weszła do środka.

- To jest Glane - powiedział Jam.

W jego głosie można było wyczuć nutkę dumy, prawie tak, jakby się chciał nim przede mną pochwalić.

Glane zdjął czapkę i rękawice. Przyglądałam się jego szorstkiej twarzy pokrytej zmarszczkami i gęstej brodzie. Trudno określić, w jakim był wieku. Jego ciemnobrązowe oczy błyszczały, śmiejąc się do mnie, kiedy podawał mi dłoń na powitanie.

- Hej Lauren! Jak się masz? - powiedział z nieco śpiwnym, nosowym amerykańskim akcentem.

Zsunęłam nogi z łóżka, stawiając stopy na spłowiałym dywaniku.

- Dobrze - odparłam.

Nie było powodu, żeby się denerwować. W końcu ten facet ocalił nam życie. Ale z drugiej strony, co on robi w takim miejscu jak to, gdzieś na końcu świata? Czy on tutaj mieszka jak jakiś dziwak, pustelnik?

Glane spojrzał na mnie. Poczułam się nieswojo, jak gdyby czytał w moich myślach.

- Teraz, kiedy Lauren odzyskała siły, myślę, że będziemy ruszać w dalszą drogę - powiedział Jam. Ton jego głosu brzmiał jednak dosyć niechętnie.

- Jak długo spałam?

- Cały sobotni wieczór, niedzielę i większość dzisiejszego dnia - odrzekł Glane, uśmiechając się. - Jest już za późno, żeby teraz gdziekolwiek iść. Ale jeśli jutro rano nie będzie padał śnieg, to można będzie wyruszyć.

Spojrzałam na Jama.

- Dzwoniłeś do Mamy? Potrząsnął głową.

- Tutaj nie ma telefonu.

- Żartujesz sobie? - zapytałam zszokowana. Śmiech Glane'a był jak dudniący grzmot.

- Nie ma telefonu. Nie ma elektryczności. Żadnych wygod.

Przesunęłam wzrokiem po pokoju raz jeszcze. Bez dwóch zdań był spartański.

Ale były także i miłe akcenty - drewniane rzeźby, płowe zasłony w oknach i miska szyszek sosnowych na stole.

- Ale my musimy wracać - powiedziałam. Musiałam myśleć o Mamie i Tacie, i o tym, jak bardzo się martwili. I z pewnością jakaś część mnie zadręczała się także Sonią Holtwood - gdyby przeszło jej przez myśl, że w jakiś przedziwny sposób zostaliśmy uratowani, i znów zaczęłyby nas tropić?

Tak. Podobne myśli nękały mnie, niczym jakiś nocny koszmar, który nie dawał spokoju. Jednak wszystkie one bladły przy wyobrażeniu mojej matki - pięknej kobiety na plaży. Już widziałam jej twarz i teraz, kiedy Sonia przyznała się do porwania, nic nie było w stanie mnie zatrzymać. Znajdę ją tak szybko, jak tylko się stąd wydostaniemy!

- Nie ma żadnego problemu - Glane usiadł przy stole. - Najbliższym miastem jest Wells Canyon. Jakies dwadzieścia mil stąd. Powinniśmy tam dotrzeć w ciągu dnia, ale będziesz musiała założyć inne buty. Twoje są już dziurawe - powiodłam wzrokiem za jego spojrzeniem do kąta, gdzie

leżały moje adidasy. Nawet z tej odległości można było dostrzec pęknięcia w podeszwach.

Glane wstał, a jego ogromne ciało zdominowało malutki pokój. Spojrzałam na jego niewiarygodnie wielkie stopy.

- Nie wydaje mi się, żeby twoje buty były dla mnie w sam raz - wyjąkałam.

Glane roześmiał się niskim, gromkim śmiechem.

- Nie. Dlatego własnoręcznie zrobię ci nowe, skórzane. Dziś wieczorem - powiedział, odwracając się do Jama. - Muszę złapać kilka królików. Pomożesz mi je oskórować?

Fuj! Dziwak, pustelnik i w dodatku rzeźnik!

Spojrzałam na Jama, oczekując miny pełnej obrzydzenia. Ale, o dziwo, Jam skoczył na równe nogi i już był w połowie drogi do drzwi.

On chyba sobie żartuje? Zedrzyć skórę ze zwierzątka? Jakie to obrzydliwe!

- Lauren? - Glane uśmiechnął się do mnie. - Chcesz pomóc?

Potrząsnęłam głową.

- Mogę się założyć, że będziesz palce lizać, jedząc je. - Glane uśmiechnął się.

Mrugnęłam.

- Odpocznij - mówił dalej. - Dorzuć jeszcze jedną kłodę do ognia. I możesz się rozejrzeć po chacie.

Glane i Jam zniknęli za drzwiami. Postanowiłam zwiedzić chatę.

W jednej z wielkich szafek znalazłam trochę suchego prowiantu i stertę talerzy i kubków. W drugiej były trzy pary zdekompletowanych skrzypiec. Książki stały na półkach dziwnie wymieszane. W wielu twardych okładkach książek znajdowały się sztywne, błyszczące fotografie tradycyjnych instrumentów muzycznych. Był także rząd cieniutkich

instrukcji, na przykład: „Jak oskubać kurczaka”, „Gotowanie na świeżym powietrzu” i tym podobne.

Kim był ten facet?

Glane wrócił, gdy właśnie odrywałam kolejny kawałek chleba. Cofnęłam się zawstydzona.

- Jedz - powiedział. - Wszystko w porządku. - Podniósł wielkie drewniane wiadro i skierował się z powrotem do drzwi.

- Jak długo tutaj mieszkasz? - zapytałam. Glane uśmiechnął się.

- Nie mieszkam tutaj. Każdego roku spędzam w tym domu tylko miesiąc. Dzisiaj miałem właśnie wracać do domu. Do Bostonu.

Próbowałam go sobie wyobrazić w ruchliwym, tętniącym życiem mieście.

- Mieszkasz w Bostonie?

Glane pokiwał głową.

- Pracuję tam. Naprawiam instrumenty muzyczne.

Chwilę później obserwowałam go przez okno brnącego przez śnieg wielkimi krokami, do miejsca, gdzie Jam czekał przy pniu drzewa. Promienie słoneczne odbijały się w ogromnej siekierze leżącej u jego stóp. Glane podniósł ją, jak gdyby była to jakaś zabawka, i zaczął nią wymachiwać. Oczywiście pokazywał Jamowi, jak należy się nią posługiwać.

Świetnie! Dziwak, pustelnik, rzeźnik, w dodatku z siekierą w rękach.

Jam wziął siekierę i powtarzał wymachy za Glanem. Wysoko, wysoko do nieba, a potem szybko w dół i głuchy odgłos uderzenia. Siekiera trafiła w pień drzewa.

- Jakże wymowny powrót do natury - mruknęłam pod nosem. Wzięłam głęboki wdech i wypuściłam powietrze.

Jam podszedł do zaspły śniegu. Glane podał mu wiadro, które przyniósł z chaty, i wskazał na płat śniegu.

Wsunęłam moje dziurawe adidas na nogi i wyszłam na zewnątrz. Słońce świeciło nisko nad horyzontem, a ja czułam przyjemne ciepło z tyłu głowy.

Twarz Jama pałała dumą, kiedy obok niego przechodziłam.

- Glane pokazuje mi, które partie śniegu nadają się do roztopienia na wodę pitną - powiedział.

Miałam ochotę się zaśmiać.

Niesamowite! Szczególnie ta wiedza przyda się nam, gdy wrócimy do północnego Londynu.

Chciałam coś powiedzieć, ale widząc, jak bardzo Jam był podekscytowany i zadowolony z całej sytuacji, powstrzymałam się od uwag.

Po kilku minutach moje buty były już totalnie przesiąknięte. Mozolnym krokiem weszłam z powrotem do chaty.

W dalszym ciągu miałam przed oczami twarz mojej mamy. Świadomość jej była silniejsza niż las i śnieg, i wszystko to razem wzięte. Silniejsza nawet niż Jam.

Siedziałam przy kominku, wpatrując się w płomienie. Gdybym ją znalazła, moje życie wreszcie nabrałoby sensu.

Przynajmniej wiedziałabym, kim jestem.

17. Ufaj sercu, nie oczom

Zapadł zmrok. Glane przygotował duszonego królika w ziołach. Pieczeń pachniała wyśmienicie, ale gdy tylko pomyślałam, ile ten biedny zwierzak przeszedł, zrobiło mi się niedobrze.

Jam cmoknął z zachwytu.

- Fantastyczne.

- Naprawdę? - zapytałam.

- Spróbuj tylko.

Ostrożnie siorbnęłam łyżkę sosu. Był dobry. A ja bardzo głodna.

Zaczęłam wcinać.

Po kolacji Glane wyniósł naczynia na zewnątrz. Nie sądziłam, że byłam aż tak zmęczona, ale gdy tylko położyłam się na łóżku, zapadłam w głęboki, przyjemny sen.

I ona znowu tam była. Moja mama. Z twarzą pełną miłości. Nachyliła się nade mną. Delikatnie pogłaskała mnie po policzku. Jej dłonie były miękkie i ciepłe. Niczym najdelikatniejsze muśnięcie piórka...

Serce rosło. Była prawdziwa. I to się naprawdę działo.

Z całych sił starałam się obudzić.

Zmusiłam oczy, by się otworzyły.

Nikogo jednak przy mnie nie było. Rozejrzałam się dookoła. Tylko Jam siedział nieopodal, zaczytany w jednej z książek Glane'a. Zmarszczone brwi dobitnie świadczyły o tym, że był w stu procentach pochłonięty tym, co czytał.

Położyłam się z powrotem, pozwalając, aby zalała mnie fala osamotnienia.

Glane wszedł, głośno tupiąc i wpuszczając do środka podmuch mroźnego powietrza. Zamaszystym krokiem podszedł do kominka i usiadł przy nim.

- Czas na przygotowanie twoich trzewików - powiedział.

- Chcesz pomóc, Lauren?

Nie mogłam odmówić.

Przez jedną okropną chwilę myślałam, że Glane będzie chciał skorzystać ze skór, które wcześniej ściągnął ze zwierzęcia. Ale on tylko pogrzebał w koszu, który stał na podłodze, i wyciągnął kilka kawałków futerka. Odetchnęłam z ulgą.

Glane owinał materiał wokół mojej stopy, a następnie przyrównał go do pary butów turystycznych. Pomogłam mu ciąć i zszywać. Wkrótce kawałki futra zaczęły przybierać konkretny kształt butów.

Jam w dalszym ciągu siedział z nosem w książce.

- Czy Jam nie potrzebuje takich trzewików? - zapytałam.

- Jego buty się nie rozleciały - odpowiedział Glane.

Wierciłam się na krześle. Dziwne. Można było odnieść wrażenie, że krótkie zdanie, jakie wypowiedział Glane, zakończyło całą rozmowę.

Jam w końcu odłożył książkę i podszedł do drzwi.

- Idę na zewnątrz - uśmiechnął się. - Po kolejne ekscytujące doświadczenie siusiania i zamarzania tyłka jednocześnie.

Tak szybko jak drzwi zatrzasnęły się za nim, dotarło do mnie, że Jam właściwie bardzo dobrze się tutaj bawił. Z pewnością czuł się o wiele swobodniej w obecności Glane niż ja.

Z jakiegoś powodu poczułam się zazdrosna. Nigdy z nikim nie musiałam się dzielić Jamem.

Podeszłam do półki, na której leżała książka czytana przez Jama z takim zainteresowaniem. „Jak rozpalić ogień bez użycia zapalek”.

Na miłość boską!

Glane położył trzewiki na podłodze i zaczął mi się badawczo przyglądać.

Serce waliło mi jak młotem. No to już koniec. Dziwak pustelnik z siekierą atakuje bezbronną nastolatkę w opuszczonej drewnianej chacie.

- Czyli próbujesz poznać swoją przeszłość? - Glane zapytał rzeczowo.

Spojrzałam na niego, zszokowana.

- Jam ci powiedział? Glane pokiwał głową.

- Oczywiście. Myślisz, że nie zapytałem, dlaczego mieliście zamiar zamarznąć w lesie?

Odwróciłam się. To była moja tajemnica. Moja historia. Jam nie miał prawa...

- Nie bądź na niego zła - Glane powiedział łagodnie. - Bał się, że umrzecie. Był przerażony. Bardzo się martwił. Wstydził się, że stracił panowanie nad sobą i uciekł.

Spojrzałam na niego.

- To też ci powiedział?

Glane pokiwał głową, odwracając się w kierunku, gdzie leżały kawałki futerka. Jego palce były jak wielkie serdelki, ale mimo to sprawnie przesuwają się po tkaninie.

- Rozmawialiśmy o tym długo, kiedy ty spałaś. I zgodziliśmy się co do tego, że generalnie mężczyzna tak się nie zachowuje.

Pokręciłam głową. Moja irytacja względem Jama przerodziła się w złość na Glane'a. Zgoda, może i facet nie był mordercą z siekierą, ale na pewno był niesłychanie napuszonym draniem.

- Nie do końca rozumiem, co bycie mężczyzną ma z tym wspólnego - odburknęłam. - Jam ma dopiero piętnaście lat. Nie jest jeszcze mężczyzną.

- Ale stara się nim być - odrzekł Glane, pociągając za przyszyte kawałki skóry i sprawdzając, czy się dobrze trzymają. - To nie jest takie proste, jakby się wydawało. A szczególnie jeśli chłopak nie wychowywał się przy ojcu, z

którego mógłby brać przykład. Proszę. Twoje trzewiki są gotowe.

Podał mi je. Wyglądały jak grube futrzane skarpety.

- Jam ma ojca - powiedziałam. - Jego rodzice rozwiedli się, ale nie umarli. To ja straciłam swoich rodziców.

Glane zaczął zbierać skrawki skóry. Zanim zdążyłam się zastanowić, z moich ust wydobyły się słowa:

- Widziałam jej twarz. W moich wspomnieniach. Twarz mojej prawdziwej mamy. Znalazłam ją. To znaczy... w moich snach. Ja wiem, że ona tam gdzieś jest i czeka na mnie.

Przerwałam. Co ja robiłam? Moje wspomnienia były prywatne, sekretne i kruche. A tu nagle paplam o nich z jakimś dziwnym facetem, którego dopiero co poznałam.

Glane spojrzał na mnie.

- Ale... to jest tylko wytwór twojej wyobraźni. To nie jest prawdziwe.

Założyłam trzewiki na nogi.

Glane nic nie rozumiał. Jak on mógł? Nie sposób wytłumaczyć, jak to jest, kiedy w środku, w głębi serca jesteś przekonany o czymś, czego tak naprawdę na zewnątrz jeszcze nie widać.

## 18. Poza lasem

Następnego dnia wyruszyliśmy z samego rana. Płatki śniegu wirowały w powietrzu na tle zachmurzonego nieba, ale Glane był przekonany, że burzy nie będzie. Pożyczył nam swetry, czapki i rękawice.

Chociaż porządnie wyściełał trzewiki, to i tak w dalszym ciągu były duże i ciężkie. Nogi bolały mnie, zanim jeszcze zatrzymaliśmy się na szybki posiłek - chleb pieczony wczorajszego wieczoru w prowizorycznym piecu i przegotowaną, a następnie schłodzoną wodę ze świeżo roztopionego śniegu.

Szliśmy i szliśmy, mijając niekończące się drzewa, wzdłuż pokrytej śniegiem ścieżki. Glane nie spojrzał ani razu na mapę, ale sprawiał wrażenie, że dokładnie wiedział, dokąd idzie.

Już było prawie całkiem ciemno, gdy dotarliśmy do Wells Canyon Lodge, na peryferie czegoś, co Glane zwał małym miastem, około dwustu mil na wschód od Burlington. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, a oczy bolały mnie od ciągłego patrzenia na śnieg i słońce.

Gdy Glane zameldował nas w recepcji hotelu, mogliśmy już wejść na górę. Kiedy ja i Jam mozolnym krokiem kierowaliśmy się wzdłuż korytarza do naszych pokoi, żołądek podszedł mi do gardła. Zadrżałam na samą myśl o tym, że będę musiała zadzwonić do Mamy. Będzie na mnie wściekła. Jak do licha mam jej wytłumaczyć, ile dla mnie znaczy odnalezienie mojej biologicznej mamy?

Jam również zdawał się być bardzo zatroskany. Wszedł do swojego pokoju bez słowa. Mój pokój był kilka drzwi dalej, w głębi korytarza. Pusty, ale czysty. Przesunęłam dłoń po bawełnianej narzucie o supełkowej fakturze. Tuż przy łóżku stał duży, biały, staroświecki telefon. Spojrzałam na niego.

Minęło jakieś pięć minut, zanim zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do Mamy.

- Halo? - usłyszałam w słuchawce zdenerwowany głos.

- Mama?

- Lauren - głos Mamy prawie się załamał. - Jesteś bezpieczna?

- Jestem, Mamo. Wszystko w porządku.

- O mój Boże, Lauren - Mama załała się łzami. Usiadłam na brzegu łóżka. - Tak mi przykro, Mamusiu.

- Gdzie jesteś?

Powiedziałam jej. Ale kiedy próbowałam jej wytłumaczyć, co naprawdę się wydarzyło, ona tylko pytała w kółko, czy na pewno jestem cała i zdrowa.

- Cały czas jesteście w Bostonie, ale za kilka godzin po ciebie przyjedziemy - powiedziała. - Tato też jest tutaj. I FBI. Jechali za tobą aż do Burlington, ale tam ślad się urwał.

- Będziesz musiała im powiedzieć, kto cię porwał z lotniska, ale...

Usiadłam. O czym ona mówiła?

- Zaczekaj, Mamo. Posłuchaj. Lotnisko Logan opuściliśmy... celowo. To moja wina. Posłużyłam się Jamem. A wszystko dlatego, że musiałam się dowiedzieć... dowiedzieć się, skąd pochodzę. Nastąpiła zaskakująca cisza.

- Co? - Mama wydyszała.

- Nie chciałaś o tym ze mną rozmawiać, więc ja... my pojechaliśmy do Marchfield. Ja...

- Myślałam, że zostałam uprowadzona z lotniska przez jakiegoś szaleńca! - Mama wrzasnęła. - Lauren, myślałam, że nie żyjesz!

- Napisałam ci, żebyś się nie martwiła - wyjąkałam. - Nie chciałam, żebyś się martwiła. Zawsze mi mówiłaś, że psychole to rzadkość.

- Żebym się nie martwiła?! - Mama krzyczała do słuchawki. - Skąd mogłam wiedzieć, czy ktoś nie zmusił cię do wysłania tej wiadomości?!

Poczułam się winna. Taka możliwość nawet nie przyszła mi do głowy.

Mama wzięła głęboki oddech.

- Więc kiedy ja siedziałam tutaj, odchodząc od zmysłów, co się z tobą stało, nie mogąc jeść ani spać przez całe pięć dni, ty rozbijałaś się po Ameryce ze swoim chłopakiem, starając się dowiedzieć rzeczy, których my nie chcieliśmy ci powiedzieć, ponieważ sądziliśmy, że jeszcze do tego nie dorosłaś. A jeżeli uważałaś, że to, co robiłaś, było w porządku, to oznacza, że przemawiał przez ciebie kompletny egoizm...

- Ale... posłuchaj! Mamo, tak mi przykro - zawahałam się, próbując dobrać odpowiednie słowa, żeby to zrozumiała. - Planowaliśmy, że nie będzie nas tylko kilka godzin. Mamo, ja... ja wiem wszystko o Sonii Holtwood i...

- Ty o niczym nie wiesz, Lauren - głos Mamy stał się nagle ostry.

- Mamo, ona nas śledziła - tłumaczyłam się. - Oszukała nas... chciała nas zabić.

Zadrżałam na samo wspomnienie, jak się czułam w samochodzie, a potem w lesie.

- Ale przed chwilą powiedziałaś, że odlecieliście sami.

- Bo tak było. A to stało się później, po spotkaniu z panem Tarsenem - w tym momencie umilkłam. To nie miało żadnego sensu. Wszystko, co się wydarzyło, i sposób, w jaki próbowałam to przekazać, powodowało tylko jeszcze większy mętlik. - Mamo, musisz mnie wysłuchać. Sonia Holtwood przyznała się do tego, co zrobiła, kiedy byłam...

- WYSTARCZY! - Mama wrzasnęła tak głośno, że o mało co słuchawka nie wypadła mi z ręki.

Siedziałam tak, z walącym sercem. Powoli przyłożyłam słuchawkę z powrotem do ucha. Słyszałam ciężki oddech Mamy po drugiej stronie. Nagle przypomniałam sobie, co Sonia powiedziała o mnie - że „byłam warta fortunę”, kiedy byłam mała.

Ktoś musiał jej tę fortunę zapłacić. Co jeszcze musiała mieć, żeby pozwolić mi odejść?

- Czy kupiłaś mnie od niej? - wyszeptałam i ścisnęło mnie w żołądku. - Czy zapłaciłaś jej za to, żeby mnie zabrać?

Ale Mama zdążyła już zmienić ton na energiczny i uporządkowany.

- I ani słowa więcej, Lauren - powiedziała. - Przyjeżdżamy, żeby cię zabrać. Będziemy tam za kilka godzin.

- Ale...

- Porozmawiamy o tym, jak się spotkamy.

Odwiesiła słuchawkę.

Usiadłam na łóżku, pochylając się nad kolanami.

Jak oni mogli to zrobić? Nie było żadnego innego wytłumaczenia. Mama i Tato są nikczemni. Niegodziwi ludzie, którzy opłacili Sonię, żeby mnie wykradła mojej prawdziwej matce.

Mojemu aniołowi, mojej pięknej mamie.

Nie dziwię się, że nie chcieli mi nic powiedzieć na temat mojej adopcji. Zacisnęłam zęby, nienawidząc ich każdym milimetrem swojego ciała. Nie potrzebowałam ich. Nikogo nie potrzebowałam.

I wtedy to właśnie do mnie dotarło - jedyna rzecz, którą teraz należało zrobić. Zeszłam na dół, do portierni hotelu, gdzie można było skorzystać z komputera. Zalogowałam się w internecie.

## 19. Powrót do domu

Godzinę później byłam z powrotem w swoim pokoju. Wzięłam kąpiel, a potem się przebrałam. Glane w jakiś przedziwny sposób, z rzeczy pozostawionych przez poprzedni personel hotelowy zdołał skompletować ubrania na zmianę dla mnie i Jama.

Mój strój był ohydny: o wiele za duże zielone bojówki, dwie szare bluzy sportowe i jaskraworóżowe adidasy. Przeciągnęłam małym plastikowym grzebieniem po swojej fryzurze, marząc o odrobinie wosku do włosów, pilniczku do paznokci i kosmetykach do makijażu. Moja skóra była zaczerwieniona od zimna i śniegu, a wargi spierzchnięte.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze.

Straciłam zapał.

Nie tak chcę wyglądać, kiedy spotkam się z moją prawdziwą mamą. Ona jest taka piękna - nigdy nie uwierzy, że jestem jej córką.

Zeszłam na dół do sali restauracyjnej, przeszłam przez morze pustych stolików i przysiadłam się do Jama i Glane'a. Butelka piwa stała na stole przed Glanem, który teraz wyglądał zupełnie inaczej.

Nie miał już brody. Był ubrany w ciemne džinsy i świeżo wyprasowaną bawełnianą koszulkę.

Podniósł wzrok znad menu, które studiował, kiedy się do nich zbliżałam.

- Mniam - oblizał usta. - Dla mnie naleśniki gryczane i syrop klonowy.

- Zabrakło oskórowanych królików? - zapytałam. Glane uśmiechnął się.

- Nie. Tak naprawdę to jem mięso tylko wtedy, gdy nie ma nic innego. I kiedy zabijam swoje zdobycze samodzielnie - powiedział, spoglądając na mnie z ukosa. - Nie rozumiem, dlaczego ktoś obcy miałby dla mnie skórować króliki.

Zignorowałam to i odchrząknęłam.

- Mam ci coś do powiedzenia.

- Co? - zapytał Jam, pociągając porządny łyk piwa Glane'a. Jam miał na sobie dzinsy i czarny sweter. Jego włosy były wilgotne i zaczesane do tyłu.

Zawahałam się.

- Marta Lauren Purditt zaginęła w Evanport, niedaleko miejsca, gdzie się urodziła. To jest w Connecticut.

Jam uniósł brwi.

- No i...?

- Jadę tam. Teraz. Sprawdziłam w katalogu internetowym. Państwo Purditt, którzy stracili dziecko, w dalszym ciągu tam mieszkają.

Jam zmarszczył brwi.

- Skąd wiesz, że to ci sami ludzie? - zapytał.

- Przejrzałam informacje z czasów, kiedy... kiedy Marta zaginęła. Nazywają się Annie i Sam Purditt. Ich adres można znaleźć w różnych informacjach - westchnęłam. - Powinnam to zrobić już dawno temu, tylko że wtedy jeszcze nie wiedziałam o pewnych rzeczach.

Twarz mojej mamy. Teraz, kiedy już znam jej twarz, muszę ją tylko zobaczyć i będę wiedziała, czy jestem Martą, czy nie.

Glane podrapał się po świeżo ogolonej brodzie.

- A co z twoimi rodzicami? Policją?

Nie mogłam się przemóc, by im powiedzieć, że byłam pewna, że to przede wszystkim Mama i Tato byli zaangażowani w moje porwanie.

- Mama i Tato nie rozumieją, jak ważne jest dla mnie to, żeby wiedzieć, kim jestem - powiedziałam nieprzekonująco.

Na twarzy Glane'a pojawił się uśmiech.

- To poszukiwanie twojej prawdziwej rodziny nie odpowie ci na pytanie, kim jesteś. Powie ci tylko, że jesteś czymś zaginionym dzieckiem.

Pokręciłam głową.

- Czy nie sądzisz, że rodzina, od której mnie zabrano, ma prawo wiedzieć, co się ze mną stało?

- Ależ oczywiście. Ale to nie będzie łatwe. Dla nikogo z was. Powinnaś poczekać. Najpierw porozmawiać z ludźmi - przerwał. - Lauren, myślę, że ty materializujesz swoje sny. To, co widzisz, nie jest prawdziwe. Nie widzisz tego, co jest tuż pod twoim nosem.

Wstałam.

- Dobra, tak czy owak, ja jadę.

- Czym? - wtrącił się Jam. - Jak się tam dostaniesz? - zapytał, pociągając jeszcze jeden łyk piwa Glane'a.

Wzięłam głęboki oddech.

- Pojadę autostopem. Jam zakrztusił się piwem.

- Nie ma mowy! - powiedział gniewnie. - Nie mogę uwierzyć, że w ogóle bierzesz pod uwagę taką możliwość po tym, co się nam przydarzyło.

- A co jeszcze mogę zrobić? - spojrzałam w dół, moja twarz była rozpalona. - Chciałam wam tylko podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiliście. A także zapewnić, że wszystko wam zwrócę, tak szybko, jak tylko będę mogła.

Ręce trzęsły mi się, kiedy odchodziłam.

Stałam przed wejściem do hotelu i wciągałam na siebie drugą paskudną bluzę sportową. Autostrada była oddalona od drogi o jakieś kilkaset metrów.

Zaburczało mi w brzuchu. Szkoda, że nie można było zaplanować tego spektakularnego wyjścia po posiłku. Prawdopodobnie za kilka godzin Mama i Tato tu dotrą.

- Nikt cię nie podwiezie w takich butach - odezwał się głos za moimi plecami.

Odwróciłam się. Jam patrzył na moje jaskraworóżowe adidas. Następnie spojrzał na mnie.

- Nie możesz tego zrobić, panno Załatwiała. To zbyt niebezpieczne.

- To moja decyzja - skrzyżowałam ramiona i wyszłam na zewnątrz.

Cholera, było zimno jak diabli.

- Dlaczego się na mnie wściekasz? - zapytał Jam, gdy mnie dogonił.

- Nie wściekam się - powiedziałam, przyspieszając.

- To dlaczego odsuwasz mnie od siebie? I dlaczego wygadujesz te bzdety o oddaniu kasy „tak szybko, jak tylko będziesz mogła”? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Tak? A ja myślałam, że teraz jesteś przyjacielem Glane'a - próbowałam się powstrzymać, ale słowa same cisnęły mi się na usta. Zabrzmiało to dziecinnie i głupio.

Jam chwycił mnie za rękę i obrócił twarzą do siebie.

- Czy ty jesteś zazdrosna? - uśmiechnął się.

- Jasne, że nie - powiedziałam, rzucając mu gniewne spojrzenie. - To dlatego, że myślisz, że mam obsesję i jestem egoistką. Gdy to powiedziałeś, stwierdziłam, że już nie masz zamiaru mi więcej pomagać.

Staliśmy przed wejściem do hotelu. Sygnalizacja, która oznaczała początek autostrady, migiała w oddali.

Miejsce, w którym Jam trzymał mnie za ramię, było chyba jedynym ciepłym na całym moim ciele.

- Naprawdę myślę, że masz obsesję - powiedział powoli. - Ale to nie znaczy, że przestałaś być moją przyjaciółką.

Stałam tak, starając się nie trząść w przenikliwie zimnym nocnym powietrzu.

Czułam się winna. To by było naprawdę podłe z mojej strony, gdybym teraz tak po prostu odeszła, kiedy on się tak fantastycznie zachował.

Jam puścił mnie, a potem wyjął z kieszeni swoją konsolę do gier i potarł kciukiem po nacięciach na jej spodzie.

Zawahałam się. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, nie chciałam pożegnać się z nim w ten sposób.

- Czy twoja mama była zła, kiedy z nią rozmawiałeś? - zapytałam.

- Można tak powiedzieć - Jam przewrócił oczami.

- Na nieszczęście stało się tak, że ona powiedziała twoim rodzicom o tej durnej sesji hipnoterapeutycznej, którą przeprowadziła, a teraz oni są na nią wściekli, że niby cię zachęcała. A ona z kolei jest zła na nich. A przy okazji i na mnie za to, że uciekłem z domu. Ona tam jest, wiesz? W tym samym hotelu co twoi rodzice. I z tego powodu też jest zła, bo musiała zostawić moje siostry pod opieką przyjaciół.

- A co z twoim tatą?

- Nie, on jest zajęty swoją nową rodziną - twarz Jama stwardniała, zmieniając się w maskę. - Z tego, co mi wiadomo, to miał się pojawić po jakimś tygodniu czy dwóch, gdybym się do tego czasu nie odnalazł.

Zmarszczyłam brwi. Mama mi mówiła, że jak tylko dowiedzieli się, że zaginęłam, to Tato z miejsca przyleciał do Ameryki.

- Kolejny tydzień lub dwa?

Jam wskazał na sześć rowków wyżłobionych na spodzie swojej konsoli.

- Pamiętasz, jak mnie o nie zapytałaś? - odezwał się niskim, nieco drżącym głosem. - Wtedy gdy siedzieliśmy w samochodzie z Suzaną czy Sonią, czy... jakkolwiek jej było na imię.

Kiwnęłam głową.

- Mój tato dał mi tę konsolę, kiedy miałem dwanaście lat. Od tego czasu go nie widziałem. Te rowki robiłem za każdym razem, kiedy z nim rozmawiałem. Za każdym razem

obiecował mi, że się ze mną zobaczy, ale obietnicy nigdy nie dotrzymał.

Spojrzałam na niego. Glane miał rację. Nie dostrzegałam wielu rzeczy, które działy się tuż pod moim nosem.

- Tak mi przykro - wyjąkałam. - Nie miałam o tym...

- Niepotrzebnie - odburknął. - Ja się nim nie przejmuję.

Nastąpiła kłopotliwa cisza.

- Zrozum - powiedziałam. - To nie tak, że chcę te moje sprawy załatwić sama. Po prostu wiem, że myślisz, że to idiotyczny pomysł...

- Nigdy tego nie powiedziałem - westchnął. - Po prostu zastanawiam się, dlaczego ty to wszystko robisz sama. Policja przeprowadzi dochodzenie w tej sprawie. Po tym, czego dopuściła się Sonia Holtwood, z pewnością potraktują twoje zaginięcie bardzo poważnie. Nie widzisz tego? Cokolwiek zrobisz, wszystko i tak wyjdzie na jaw.

Jam miał rację. I w tym właśnie tkwił problem.

Spojrzałam na autostradę. Było zimno. Dobrze wiedziałam, że pomysł złapania okazji do Evanport jest bardzo ryzykowny. Ale równocześnie nie mogłam pogodzić się z myślą, że to nie ja, lecz inni, jacyś obcy ludzie, pierwsi znajdą moją mamę. I to oni, urzędnicy i funkcjonariusze, a nie ja, powiedzą jej całą prawdę.

Wzruszyłam ramionami.

- Jam, ja to po prostu muszę zrobić.

- W porządku - ku mojemu zdziwieniu na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

- To wejdź jeszcze na momencik do środka - powiedział. - Mam dużo lepszy pomysł na to, jak się tam dostać.

## 20. Evanport

W ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin doświadczyłam tylu emocji, że nawet ciężko wyrazić, jak wielką poczułam ulgę i jak bardzo byłam wdzięczna, kiedy Jam zabrał mnie z powrotem do sali restauracyjnej, wyjaśniając mi swój plan działania.

- Dogadałem się z Glanem, że jeżeli nie uda mi się wyperswadować ci wyjazdu, to sam zabierze nas do Evanport.

Glane przez cały czas siedział przy stole. Spojrzał na mnie poważnie.

- Nie mogę pozwolić na to, żebyś łapała okazję, Lauren. Ale pomogę ci tylko pod warunkiem, że powiesz rodzicom, co zamierzasz zrobić, a zaraz po tym, jak znajdziemy twoich biologicznych rodziców, zadzwonimy na policję.

Zarzuciłam mu ręce na szyję. Jak ja w ogóle mogłam pomyśleć, że Glane był jakimś dziwadłem?

- Dziękuję! - odetchnęłam. - Dziękuję za wszystko.

- Oj tam! - odburknął Glane. - Evanport nie jest aż tak daleko od Bostonu. Nie będę musiał bardzo zbaczać z drogi.

Wyruszyliśmy od razu po posiłku. Bałam się teraz tej wyprawy. Denerwowałam się, że Mama i Tato przyjadą i uniemożliwią nam nasz wyjazd.

Zadzwoniliśmy do nich z furgonetki, którą wynajął Glane. Tym razem było jeszcze więcej krzyków i łez Mamy. Właśnie szykowali się, żeby opuścić Boston i przyjechać po nas.

Powiedziałam jej, że ona, Tato i Carla powinni zostać tam, gdzie są, aż do czasu, kiedy zadzwonimy następnego dnia. Potem odsunęłam słuchawkę od ucha i wyłączyłam komórkę. Nawet nie próbowałam tłumaczyć i wyjaśniać, co zamierzam zrobić. Mama i Tato nie zasługiwali na wyjaśnienia.

Zatrzymaliśmy się w motelu, żeby pospać choć kilka godzin. Przez cienką ścianę słyszałam chrapanie Glane'a. Ja nie mogłam zasnąć. Myśl, że już jutro mogę spotkać moją

prawdziwą mamę, była ekscytująca i przerażająca jednocześnie.

Zamknęłam oczy, próbując wyobrazić sobie jej twarz. Jej głos. Jej łagodny uśmiech.

Wszystko będzie dobrze, jak już ją zobaczę.

Do Evanport przybyliśmy następnego ranka, we środę, około dziesiątej. Główna ulica miasta była zatłoczona przez samochody i ludzi robiących zakupy.

Ona mogła być jedną z tych osób...

Serce waliło mi jak oszalałe.

Minęliśmy butiki z drewnianymi werandami i tanie restauracyjki z sękatymi wysokimi stołkami ustawionymi przy oknach. Na jednym końcu miasta znajdowała się marina - duży port jachtowy - a wiele sklepów w jej pobliżu miało coś wspólnego z żeglarstwem i łodziami. Na staromodnych szyldach były napisy w stylu: „Yachter's Paradise”, „Sails at Sea”, „Tom's Handlery”.

Kiedy ciężarówka zjeżdżała ulicą w dół, zauważyłam eleganckich ludzi, którzy tam spacerowali. W większości były to osoby w średnim wieku. Kobiety z ułożonymi fryzurami i w schludnie uszytych garsonkach, mężczyźni ubrani w spodnie koloru khaki i swetry opinające ramiona.

Byłam tak zdenerwowana, że myślałam, że zwymiotuję. Mój oddech przypominał krótkie i gwałtowne sapanie. Spojrzałam na siebie w lusterku wstecznym. Boże, jak ja wyglądałam! Byłam wymizerowana, moja cera miała ziemisty kolor, a na policzkach zrobiły się czerwone plamy.

Chciałam poprosić Glane'a, żeby się zatrzymał, żebym mogła kupić jakieś kosmetyki, ale oznaczałoby to także, że musiałabym poprosić go o pieniądze... Im bardziej paraliżował mnie, tym mniej się odzywałam.

Moja pewność siebie zmniejszyła się jeszcze bardziej, kiedy spojrzałam w dół na moje bojówki i bluzę sportową.

- Hej! Wszystko w porządku, panno Naprawialska? - Jam szturchnął mnie swoim ramieniem. Oparłam się o niego, starając się głęboko odetchnąć.

- Szkoda, że nie wyglądam lepiej - wychrypiałam.

Chciałam, żeby to zabrzmiało naturalnie i żartobliwie. Odniosłam jednak wrażenie, że dźwięczała w tym desperacja.

Jam odwrócił się do mnie i wyszeptał mi do ucha:

- Myślę, że wyglądasz ślicznie. Zaczerwieniłam się.

- Kiedy to wszystko się już skończy - wyszeptał - będę miał do ciebie jedno pytanie.

Glane zmienił biegi ze zgrzytem i zatrzymał samochód. Jak tylko wyłączył silnik, nastąpiła ogłuszająca cisza. Krew pulsowała mi w uszach.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Glane.

Siedziałam jak przykuta do siedzenia, kiedy Glane otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Cofnął się o kilka kroków. Zmusiłam się, żeby wyjść, i wolnym krokiem podążyłam za nim na chodnik, przez cały czas nie spuszczać wzroku z domu naprzeciwko.

Był wielki - dużo większy niż nasz dom, z ogromnym, starannie skoszonym trawnikiem. Drzewa po obu jego stronach były złotolistne; mieniły się w jasnym i mocnym słońcu.

Stałam tak z trzęsącymi się rękoma, wpatrując się w ścieżkę, która prowadziła do drzwi wejściowych. Jam wysiadł z samochodu i stanął obok mnie.

- Lauren?

- Nie mogę tego zrobić - jęknęłam, cofając się o krok w kierunku furgonetki. - Nie mogę.

- Chcesz już wracać? - zapytał Glane. - Mam zadzwonić po twoich rodziców?

Nie mogłam się teraz wycofać. To przecież było dokładnie to, czego chciałam, czyż nie? Szansa, żeby dowiedzieć się, czy

rzeczywiście jestem Martą Lauren Purditt. Żeby spotkać moją prawdziwą mamę.

Ale jest także duże prawdopodobieństwo, że bardzo się mylę.

O Boże!

Moje całe ciało drżało.

Jam położył dłoń na moim ramieniu.

- Chcesz, żebyśmy tam weszli z tobą? - zapytał. Pokręciłam przecząco głową. Nie ufałam sobie na tyle, żeby mówić, ale wiedziałam, że muszę to zrobić sama. Postąpiłam krok w kierunku domu.

Czułam, jak na chwilę palce Jama splotły się z moimi w uścisku.

- Powodzenia, panno Naprawialska - wyszeptał. Uśmiechnęłam się do niego i zaczęłam iść w kierunku domu.

CZĘŚĆ DRUGA:  
Odkrycie LAUREN

## 21. W domu

Drzwi otworzyła dziewczyna. Była mniej więcej mojego wzrostu, ale sprawiała wrażenie trochę młodszej ode mnie. Miała długie, proste, ufarbowane na blond włosy, zwisające bezładnie do ramion. Spojrzałam na jej twarz, w desperacji szukając jakichkolwiek znaków podobieństwa rodzinnego.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- W czym mogę ci pomóc?

- Ja... ja... - nagle dotarło do mnie, że zupełnie nie miałam pojęcia, co powinnam powiedzieć. Moje nogi były jak z waty.

Oczy dziewczyny zwężyły się.

- Czego chcesz? - zapytała.

Przez moment myślałam, że zwymiotuję. Wytężyłam wszystkie siły, żeby wypowiedzieć jedno zdanie:

- Szukam pani Purditt, mamy Marty. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Jestem tu w sprawie Marty - powiedziałam, zastanawiając się przez jedną króciutką chwilę, czy w ogóle podeszłam do dobrego domu. - Ona zaginęła... dawno temu.

Przez sekundę dziewczyna wyglądała na zszokowaną. Następnie zaskoczenie w jej oczach płynnie przerodziło się w lekceważenie.

- Kto cię tutaj nasłał? - zapytała. - Czy to sprawka Amy Brighthouse?

Przymknęłam oczy, zupełnie oszołomiona.

- Kto to, Shelby? - głos kobiety dochodził z wnętrza domu.

- Odejdź! - syknęła dziewczyna. - To, co robisz, jest chore. Żalotne, po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Pchnęła mnie z powrotem na ścieżkę, następnie wyszła przed dom, zamykając za sobą drzwi. Spojrzałam na nią. O czym ona mówiła? Raz jeszcze mnie popchnęła. Tym razem mocniej. Aż się zatoczyłam.

W tym momencie drzwi wejściowe się otworzyły. Kobieta w średnim wieku o krótkich, trzepoczących czarnych włosach pojawiła się w drzwiach.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie, ale jej oczy były zmętniałe i smutne. Spojrzałam na jej twarz. To nie możesz być ty. Nie możesz.

- Dzień dobry - powiedziała. - Czy jesteś jedną z przyjaciółek Shelby?

- Nie, mam. Ona jest tutaj z powodu swojej chorej wyobraźni.

Ledwo co je słyszałam. Oczy napełniły mi się łzami. Być może ta kobieta stojąca przede mną była kiedyś piękna, ale teraz miała głębokie zmarszczki na czole, a jej skóra była ziemista i obwisła.

To nie może być moja mama.

Moja mama nie miała bólu wrytego na twarzy.

Kobieta wyglądała na zdziwioną.

- Kim jesteś?

Ona mnie nie zna. Ona mnie nie poznaje.

Teraz obie patrzyły na mnie z marsową miną. W powietrzu aż trzaskało z napięcia.

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko to powiedzieć. Mój głos był bezbarwny i odległy, jak gdyby to mówił ktoś zupełnie inny.

- Myślę, że mogę być Martą.

Słowa unosiły się w ciszy pomiędzy nami. Oczy kobiety poszerzyły się, a usta otworzyły szeroko.

- Marta? - wyszeptała. - Moja Marta?

- Ty chyba sobie jakieś jaja robisz - Shelby popchnęła mnie kolejny raz. Ale nawet nie drgnęłam, nie spuszczając oczu z kobiety. Cofnęła się, otwierając szerzej wejściowe drzwi.

- Wejdz - powiedziała.

- Nie! - Shelby wrzasnęła. - Nie ma mowy. Czy ty tego nie widzisz? Ona ma w tym jakiś interes.

Ignorując ją, podążyłam za kobietą. Wchodząc, doznałam niejasnego poczucia otwartej przestrzeni w domu z wypolerowanymi drewnianymi szafkami i wielkimi kwiecistymi sofami.

Popadłam w ośpienie. To wszystko nie wyglądało realistycznie.

- To nie ona, mamo! - Shelby krzyknęła, dochodząc do kobiety i potrząsając ją za ramię. - Mamo! Na miłość boską! Idę po tatę! - krzyknęła, wybiegając z domu.

Kobieta wskazała mi jedną z kanap.

- Usiądź.

Usiadłam. Kobieta przysiadła na kanapie naprzeciwko. Czułam, jak jej wzrok się we mnie wbijał.

Odwróciłam wzrok, zdezorientowana. To nie powinno tak być. Gdyby to była moja prawdziwa mama, z pewnością jakoś bym to wyczuła; istniałby między nami... jakiś związek.

Kobieta zagryzła wargi.

- Pamiętasz mnie?

- Nie wiem - powiedziałam. Spuściłam głowę. Nastąpiła długa cisza. W końcu spojrzałam w górę.

W dalszym ciągu patrzyła na mnie.

- Dlaczego myślisz, że jesteś Martą?

Opowiedziałam jej wszystko, co się wydarzyło, poczynając od dnia, w którym znalazłam w internecie ogłoszenie o zaginionej dziewczynce.

Kiedy mówiłam o tym, jak Sonia porzuciła nas w lesie, podeszła i usiadła tuż obok mnie.

- Biedactwo - szepnęła ze współczuciem. Podniosła rękę, jak gdyby chciała odgarnąć mi włosy z twarzy. Odsunęłam się, zakłopotana.

Blżej nieokreślony ciężar zaległ mi na sercu. To nie było to, czego oczekiwałam. Sądziłam, że jeżeli ją zobaczę, będę wiedziała. Z całą pewnością.

Ale nie wiedziałam.

Z zewnątrz dobiegały nas rozgniewane głosy. Wstałam.

Shelby wbiegła do pokoju. Obok niej stała mała dziewczynka, podejrzywam, że troszeczkę młodsza od Rory'ego. Następnie trzech mężczyzn w średnim wieku weszło do domu zamaszystym krokiem. Wszyscy mieli na sobie spodnie koloru khaki i koszule w kratę, zupełnie tak samo jak ludzie, których widziałam w sklepach w Evanport. Oszołomiona, spoglądałam w ich twarze.

- Czy to ona? - najwyższy z mężczyzn podszedł do mnie i chwycił mnie za ramię.

W jego oczach widać było desperację.

- Kim jesteś? - potrząsnął moim ramieniem. - Co ty tutaj robisz?

Kobieta położyła swoją dłoń na jego dłoni.

- To Marta, Sam - odetchnęła. - Ja naprawdę myślę, że to ona.

Wraz z jej słowami zrobił się chaos. Wszyscy w pokoju zaczęli jednocześnie mówić.

Mężczyzna zaczął krzyczeć na kobietę, zupełnie mnie ignorując.

- To nie jest ona, Annie. Ona tak po prostu się tutaj nie pojawi...

- Ależ tak. Pojawiła się - kobieta wybuchła płaczem. - Czy ty nie widzisz? Ona...

- Wystarczy! - głos mężczyzny przerodził się w straszliwy ryk. - Wystarczy! Wystarczy! Nie mogę już dłużej patrzeć na to, co ty wyprawiasz!

Annie kurczowo trzymała się ramienia mężczyzny.

- Posłuchaj mnie - zaszlochała. - Uspokój się, Sam, proszę.

Rozejrzałam się po pokoju.

Shelby oraz pozostali mężczyźni rozmawiali głośno przy drzwiach. Jediną osobą, która nic nie mówiła, była mała dziewczynka. Patrzyła na mnie zza sofę z otwartymi ustami.

Moje serce waliło jak oszalałe. Jakkolwiek bym sobie wyobrażała moją rodzinę, nigdy nie była taka. Już nie chciałam tutaj być. Ale moje nogi chyba przyrosły do tego miejsca.

Kłótnia pomiędzy mężczyzną a Annie przybrała jeszcze bardziej rozhisteryzowany ton.

Annie prawie klęczała, błagając go:

- Spójrz na nią! Spójrz na nią! Ona jest do ciebie bardzo podobna!

Mężczyzna zdawał się w ogóle jej nie słuchać.

- Nie mogę tego zaakceptować, Annie - powtarzał wciąż z wykrzywioną twarzą. - Musisz odpuścić!

- Proszę, przestańcie krzyczeć - powiedziałam, ale słowa zagłuszył otaczający mnie hałas.

I wtedy niski głos zagrzmiął ponad wszystkimi innymi.

- Cisza!

Wszyscy obrócili się szybko. Glane stał w drzwiach, jego ogromna postura zdominowała pokój.

Zanim ktokolwiek zdążył go zapytać, kim był i co tutaj robił, Glane uśmiechnął się.

- Myślę, że każdy powinien się uspokoić i posłuchać tego, co Lauren ma do powiedzenia.

## 22. Zeznanie

Znalazłam się na posterunku policji w Evanport.

Glane zniknął. Jam zniknął. Wszyscy z rodziny Purditt zniknęli.

Przez ostatnie dwie godziny rozmawiałam z agentką FBI. MJ Johnson była wysoka i miała pociągłą twarz. Polubiłam ją. Słuchała uważnie, kiedy opowiadałam, co się wydarzyło. Zadawała mi też mnóstwo pytań. Ze zrozumieniem kiwała głową.

Wyszła na jakiś czas, a potem wróciła, żeby mi powiedzieć, że Taylora Tarsena wzięto na przesłuchanie, a mój opis Sonii Holtwood został rozesłany do lokalnych agencji ochrony porządku publicznego w północno - wschodniej części Ameryki.

Wiedziałam, że to były dobre wiadomości. Ale myślami byłam przez cały czas na spotkaniu z rodziną Purditt. Próbowalam znaleźć podobieństwa między Annie Purditt o smutnych oczach, którą dzisiaj spotkałam, a kobietą o anielskiej twarzy z moich wspomnień. Czy to rzeczywiście była ta sama osoba?

- Lauren?

Podniosłam wzrok. MJ wyciągnęła swoje długie nogi.

- Musisz zrozumieć - powiedziała. - Mamy tu do czynienia z dwiema zupełnie różnymi kwestiami. Cała sprawa związana z możliwym porwaniem ciebie od twojej prawdziwej rodziny, kiedy byłaś mała, to jedno. Ale jest jeszcze to, co Tarsen i Sonia Holtwood planowali zrobić z tobą i twoim przyjacielem. To są dwa przestępstwa. Dwa różne, ale częściowo pokrywające się śledztwa.

- To co się teraz stanie?

- Z tobą? - MJ wstała. Kiwnęłam głową.

- Niedługo będą tutaj twoi rodzice - powiedziała wymijająco.

Znów zostawiła mnie samą. Zwinęłam się w kłębek na krześle, oparłam głowę o ramiona.

Czas upływał.

Nie przyznałam się MJ do swoich przypuszczeń, że Mama i Tato byli zamieszani w porwanie mnie. Prawie nie mogłam o tym myśleć. I z pewnością nie byłam gotowa na to, żeby ich teraz zobaczyć.

Potrzebowałam czasu, żeby pomyśleć o rodzinie Purditt. Wychodzi na to, że myliłam się co do nich. Najwyraźniej. Wiem, że gdyby Annie była moją prawdziwą mamą, czułabym to, gdy ją zobaczyłam.

Zamknęłam oczy, bo zaszyły mi łzami. Jediną osobą, którą chciałam teraz zobaczyć, był Jam. Jeżeli moje przesłuchanie już się skończyło, to może on mógłby przyjść?

Drzwi otworzyły się. Miałam nadzieję, że to on.

W drzwiach stali Mama i Tato. Moje usta otworzyły się szeroko. Tato wyglądał, jak gdyby postarzał się o dziesięć lat. Twarz Mamy była szara i wydawała się jeszcze bardziej koścista niż kiedykolwiek. Sweter zwisał bezwładnie z jej ramion.

Popatrzyli na mnie przez sekundę. Potem Mamie jakoś udało się podejść do mnie i mnie uściskać.

A ja tak stałam jak wryta, sztywna i zakłopotana.

Łzy Mamy spływały na moją szyję.

- Och, Lauren! Ty głuptasie... Dzięki Bogu, jesteś cała.

Cofnęła się nieco, ale ciągle trzymała ręce na moich ramionach. Jej oczy szukały moich - przestraszonych i pytających.

Tato stał ze skrzyżowanymi ramionami i patrzył na mnie. Był wściekły.

Wszystko się zmieniło. Zrozumiałam to w jednej chwili. Już nigdy nie będzie tak jak dawniej.

- Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co zrobiłaś? - wyszeptała Mama.

Spojrzałam na nią. Co zrobiłam?

- Musiałam poznać prawdę - powiedziałam.

Tato coś odburknął. Spojrzałam na niego ponownie. Miał podkrążone oczy, a jego policzki były płaskie i blade.

Mama posadziła mnie na jednym z krzeseł.

- Nie powiedzieliśmy ci, ponieważ nie chcieliśmy, żebyś cierpiała - powiedziała.

- Powiedzielibyśmy ci więcej, gdybyś była na to gotowa.

Ona w dalszym ciągu tego nie łapie. Ona w dalszym ciągu nie rozumie, że ja o wszystkim wiem.

- I kiedy już twoim zdaniem będę gotowa, to przyznasz się, że ukradłaś mnie z mojej prawdziwej rodziny, tak?

Mama spojrzała na mnie tak, jak gdybym ją spoliczkowała.

- Co?

Spojrzałam na nią z obrzydzeniem.

- Przestań mnie okłamywać! Wiem wszystko o Sonii Holtwood. Pamięć...

- Nie odebraliśmy cię innej rodzinie - głos Mamy załamał się. - Zaadoptowaliśmy cię zgodnie z prawem.

Nienawiść aż we mnie kipiała. Nienawidziłam jej. Nienawidziłam ich obojga.

- Wiem, że Sonia mnie ukradła! - krzyczałam.

- I wiem, że ty też!

Mama zmarszczyła brwi.

- Nie, Lauren, źle to zrozumiałaś.

Zatkałam uszy rękami. Nie mogłam już dłużej znieść jej kłamstw. Mama opuściła moje ręce.

- MJ powtórzyła nam twoją relację. Ale my przez cały czas myśleliśmy, że jesteś dzieckiem Sonii. Musisz nam uwierzyć.

- To dlaczego daliście jej za mnie tak dużo pieniędzy? - wykrzyczałam.

Mama zrobiła wielkie oczy, a jej twarz stała się biała jak kreda.

- No, dawaj! - wrzasnęłam. - Powiedziałaś, że porozmawiamy później. Właśnie już jest później. I właśnie teraz rozmawiamy. No powiedz mi.

Mama ukryła twarz w dłoniach. Tato usiadł naprzeciw nas. W dalszym ciągu nawet mnie nie dotknął. Ani nie powiedział słowa.

- No więc, Tato? - łzy spływały mi po policzkach. - Ty także zamierzasz mnie okłamywać?

Pochylił się do przodu i odciągnął ręce Mamy od jej twarzy.

- Lauren musi poznać całą prawdę.

Mama wydyszała:

- Ale...

Tato zwrócił się do mnie.

- Lauren, myślę, że już nadszedł czas, abyś oceniła sytuację z punktu widzenia innej osoby.

Spojrzałam na niego.

- Pamiętasz, jak wiele razy powtarzaliśmy, jak bardzo chcieliśmy cię mieć? Jak wyjątkowa byłaś dla nas? - Tato wziął głęboki oddech. - Ale jest wiele rzeczy, o których nie wiesz.

Dobrze znany głos brzmiał teraz zupełnie inaczej. Czerwone policzki i mamroczące ego nagle zniknęły.

Tam, gdzie przed chwilą stał Tato, pojawił się obcy człowiek - lodowaty i opanowany.

- Przez dziesięć lat staraliśmy się o dziecko, Lauren. Osiem pełnych cykli zapłodnień in vitro. Próbowaliśmy wszystkiego. Nigdy nie będziesz miała pojęcia, przez co

przeszliśmy. Przez co twoja mama przeszła - i tu przerwał. -  
W końcu załamała się psychicznie.

- Dave, nie! - wyszeptała Mama.

- Lauren chciała to wiedzieć.

Tato spojrzał na mnie przeraźliwie chłodnym wzrokiem.

- Twoja mama próbowała popełnić samobójstwo.

Poczułam się tak, jak gdyby przywalił mi w żołądek. Próbowałam złapać oddech. Przecież Mama zawsze była tak perfekcyjnie zorganizowana. Tak panowała... nad wszystkim. Jak kiedykolwiek mogła chcieć odebrać sobie życie?

- Dave... - błagała.

- No więc zdecydowaliśmy, że nie będzie już więcej zapłodnień in vitro. Ale po jakimś czasie twoja mama odzyskała siły, a ponieważ oboje w dalszym ciągu bardzo chcieliśmy mieć dziecko, zdecydowaliśmy się na adopcję. Oczywiście przebyta choroba umysłowa mamy praktycznie wykluczyła pozytywne rozpatrzenie naszego wniosku przez jakąkolwiek agencję adopcyjną. No więc poszliśmy jeszcze dalej. Dzwoniliśmy po agencjach na całym świecie. Próbowaliśmy wszędzie: od Chin po Kanadę. Twoja mama coraz bardziej pograżała się w rozpacz, a ja coraz bardziej bałam się, że... że ona może...

Tato głęboko patrzył mi w oczy.

Odwróciłam wzrok.

- W każdym razie - kontynuował - pewnego dnia otrzymaliśmy telefon z Marchfield. Od Taylora Tarsena. Dowiedział się, że wszędzie szukaliśmy dziecka. Rozumiał naszą sytuację. Powiedział, że musielibyśmy nagiąć kilka przepisów.

Serce waliło mi w piersi.

- Tarsen powiedział nam, że zna młodą kobietę, która chce oddać swoją córkę do adopcji, ale żąda większej kwoty pieniędzy niż ta, którą w normalnych warunkach przybrani

rodzice przekazują rodzicom biologicznym. Krótko mówiąc, chciała cię sprzedać.

W końcu! Przyznał się do tego. Wściekłość wezbrała we mnie.

- A więc jednak kupiliście mnie - wyrzuciłam z siebie. - Jak samochód. Jak rzecz.

Moje ręce były tak mocno zaciśnięte, że paznokcie wrzynały mi się w ciało.

- I jak to wyglądało? Plik banknotów w brązowej kopercie, czy coś w tym stylu?

Tato zrobił wielkie oczy.

- Och, nie! Oczywiście, że nie! - powiedziałam sarkastycznie. - Zapomniałam. Jesteś przecież księgowym. To musiało bardzo ułatwić wam życie.

- Proszę cię, Lauren - Mama zaszlochała. - Może i przekazanie Sonii wszystkich tych pieniędzy nie było właściwe...

- Tak myślisz?

Tato z całą siłą uderzył pięścią w krzesło stojące obok niego.

- Jak śmiesz mówić do nas w ten sposób?! - wrzeszczał. - Kto ci dał prawo nas osądzać? Nie masz bladego pojęcia, przez co przeszliśmy. Jak się tym zadreżaliśmy. Zapłaciliśmy te pieniądze, ponieważ tak bardzo chcieliśmy mieć dziecko. Nigdy byśmy tego nie zrobili, gdyby Sonia była dobrą matką. Gdyby cię chciała. Gdyby okazała najmniejsze zainteresowanie czymkolwiek oprócz tego, ile kasy chciała od nas wyciągnąć - przerwał na moment. Jego oddech był ciężki i nierówny. - Nie jesteśmy tutaj głównymi winowajcami.

- Wierzyliśmy, że cię przed nią chronimy - Mama wzięła mnie za rękę. - I ty też nas ocaliłaś. Sprawiałaś, że stałam się znowu silna. Wystarczająco silna, żeby raz jeszcze zdecydować się na zapłodnienie in vitro. To dlatego zawsze

powtarzam, że Rory jest takim cudem. Ale ty byłaś moim pierwszym cudem. Zawsze będziesz naszą córką, Lauren. Zawsze.

Mama wykrzywiła twarz w błagalnym grymasie, prosząc o zrozumienie. Zamknęłam oczy, pogrążając się w myślach. Oni nie wiedzieli, że byłam dzieckiem wykradzionym z czyjejś rodziny. A przynajmniej tak to wyglądało. Oni tylko zapłacili Sonii za mnie, ponieważ chcieli mnie ocalić i dlatego... dlatego... Otworzyłam oczy i spojrzałam na Mamę. Nagle uświadomiłam sobie, jak drobną była ósówką. Jak kruchą. Gdzieś, głęboko w środku szczerze jej współczułam. Obojgu im współczułam.

- Przez jedenaście lat robiłem nadgodziny w pracy, której nienawidziłem, po to, żeby zwrócić pieniądze, które pożyczaliśmy - Tato powiedział rozgoryczony.

Złość znowu we mnie weszła, niweczając poczucie litości.

- Nie prosiłam cię o to.

Tato westchnął.

- Nie. Nie prosiłaś, ale...

- Musisz zrozumieć, że byliśmy przerażeni, Lauren. - Mama ścisnęła moją rękę. - Złamaliśmy prawo. Nie sądziliśmy, że kogoś krzywdzimy. Ale w dalszym ciągu łamaliśmy prawo.

Nagle rozległo się stukanie do drzwi. MJ weszła do pokoju.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała. - Ale jest kilka spraw, które musimy omówić.

Wyciągnęłam rękę z uścisku Mamy i usiadłam. Cała spięta siedziała tuż obok mnie.

MJ stanęła w rogu pokoju i założyła ręce za plecy.

- Lauren, jak do tej pory nie mamy dowodów, że Sonia Holtwood nie jest twoją biologiczną matką. Ale jeżeli ona rzeczywiście cię porwała, kiedy miałaś trzy lata, to z

pewnością miała motyw, żeby teraz próbować zorganizować twoje zniknięcie. Mamy twoją kartotekę z agencji adopcyjnej w Marchfield - tą, której nie znaleźliście, kiedy włamaliście się tam. Sprawdzamy teraz wszystkie dane, ale to i tak zajmie trochę czasu. I oczywiście, państwo Purditt też chcieliby coś konkretnego wiedzieć.

Spojrzałam na rękę Mamy, tuż obok mnie, na siedzeniu. Ścisnęła ją tak mocno, że jej palce były zupełnie białe.

- Jest coś, co może przyspieszyć całą sprawę i moglibyśmy dowiedzieć się, czy jesteś ich córką, czy też nie. Zajmie to tylko kilka godzin - przerwała. - Test DNA.

### 23. Nocne lęki

Pobranie próbki DNA trwało mniej niż minutę. Ta sama pielęgniarka, która mnie zbadała, gdy przy - jechaliśmy na posterunek policji, umieściła pałeczkę kosmetyczną w mojej buzi i potarła nią o wewnętrzną stronę policzka. Powiedziała, że wyniki będą gotowe z samego rana.

Nie mogłam uwierzyć, że tak ważna rzecz opierała się na czymś tak łatwym i szybkim do zrobienia.

Federalny Urząd Śledczy pozwolił rodzicom zabrać mnie z powrotem do hotelu w Evanport. Wiedziałam, że Jam i jego mama także tam byli. Prosiłam o spotkanie z Jamem, ale Mama nie pozwoliła mi wychodzić z pokoju. Niedługo potem przyszli Rory i ciocia Bea. Ciocia Bea to siostra mojego Taty. Przyleciała, żeby opiekować się Rorem, kiedy zaginęłam. Do tej pory całkiem dobrze się dogadywałyśmy. Ale teraz patrzyła na mnie, jak gdybym dopiero co wypęzła spod skały.

Napięcie w pokoju było nie do zniesienia. Mama udawała, że między nami nie było żadnej poważnej rozmowy. Jak gdybym się nie dowiedziała, że kiedyś próbowała popełnić samobójstwo. Przemierzała pokój tam i z powrotem, składając złożone już wcześniej w kostkę ubrania, przecierając powierzchnie, które już wcześniej były czyszczone przez pokojówkę, i mówiąc o niczym.

Rory pojękiwał i był napastliwy, czemu właściwie się wcale nie dziwię. Po tym wszystkim nie pojechał na wycieczkę po „Legendach zaginionego cesarstwa” w Fantasmie. Próbowałam go przeprosić za spapranie jego planów na ferie zimowe, ale wetknął palce do uszu i udawał, że mnie nie słyszał.

Tato tylko wałęsał się markotnie po pokoju lub siedział pochylony jak niedźwiedź.

Wszystko, czego chciałam, to zobaczyć Jama.

W końcu ciocia Bea i Tato wzięli Rory'ego na lody, zostawiając Mamę i mnie same. Kilka minut później Mama weszła do łazienki. Jak tylko zamknęła za sobą drzwi, podniosłam słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku i poprosiłam recepcjonistkę o połączenie mnie z Jamem Caldwellem.

- Hasło poproszę - powiedziała, przeciągając samogłoski.

- Hasło? - zmarszczyłam brwi. Recepcjonistka cmoknęła:

- Tak, proszę pani. Przykro mi, ale nie jestem upoważniona do łączenia pani lub podawania numeru pokoju bez otrzymania hasła.

Wpatrywałam się w telefon, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Mama sięgnęła przez moje ramię i nacisnęła na widełki.

Obróciłam się szybko.

- Co się dzieje, Mamo?

- Nie chcemy, żebyś się z nim widywała.

- Co...? - spojrzałam na nią zupełnie oszołomiona.

- Dlaczego? On jest moim najlepszym przyjacielem. To nie jego wina.

- On zachęcał cię do ucieczki.

To było takie niesprawiedliwe. W sekundę straciłam panowanie nad sobą.

- Przyleciał tu ze mną, żeby mi pomóc. Właściwie to on mi odradzał szukanie Sonii Holtwood.

- To nie tylko o to chodzi - powiedziała Mama. Jej policzki zaróżowiły się. - Byłaś z nim sam na sam przez kilka nocy. Musimy porozmawiać o... o konsekwencjach.

- Co? - ona chyba nie mówiła poważnie. A jednak.

Mogłam podróżować przez trzy stany, zostać porwana i pozostawiona na śmierć w lodowatym lesie, skradziona i sprzedana jako trzylatka, ale to wszystko było nieważne.

Jedyna rzecz, jaka interesowała Mamę, to to, co ja i Jam zwojowaliśmy razem.

To było tak absurdalne, że zaczęłam się śmiać.

- Chyba już siedem milionów razy mówiłam ci, że on nie jest moim chłopakiem.

Mama zasznurowała wargi. Było jasne, że mi nie wierzyła.

- Ale jest moim przyjacielem - strach przeleciał mi po kręgosłupie, kiedy to, co powiedziałam, dotarło do mojej świadomości. Nie mogłabym przeżyć bez Jama. Nie ma mowy. Ogarnęła mnie panika. - Nie możesz zakazać mi się z nim widywać!

- Możemy i tak zrobimy - Mama warknęła.

Po tym, jak Rory i ja zostaliśmy ulokowani w naszych własnych pokojach, całą pozostałą część dnia spędziłam, wałęsając się żałośnie po hotelu. Miałam nadzieję, że wpadnę na Jama lub Carlę, ale nic z tego. Kiedy się ściemniło, wróciłam do pokoju rodziców, usiadłam i wpatrywałam się przez okno na światła migoczące wzdłuż przystani.

Mama zamówiła jedzenie do pokoju dla mnie i Rory'ego, a potem razem z Tatą zeszli do restauracji hotelowej. Nawet nie zapytali, czy nie chciałabym iść z nimi.

Mama tylko powiedziała:

- Jutro jest wielki dzień. Ja i Tato musimy porozmawiać.

Podłubałam widelcem w jedzeniu, starając się zignorować końcówkę kreskówek w telewizji. Za dużo myśli tłoczyło się w mojej głowie - przez co przeszli Mama i Tato, którzy w desperacji walczyli o dziecko, czy Sonia Holtwood została już złapana i, oczywiście, co by się teraz stało, gdybym rzeczywiście była Martą Lauren Purditt?

Wcześniej mogłam o tym tylko fantazjować. Drugie życie, które mogłam stworzyć, żeby polepszyć sobie nastrój.

Teraz, kiedy spotkałam rodzinę Purditt, boleśnie uświadomiłam sobie, że za moimi marzeniami kryje się

prawdziwa rodzina. Prawdziwa rodzina, co do której wcale nie byłam przekonana, czy chciałabym ją lepiej poznać.

Próbowałam odwrócić od tego swoją uwagę, grając z Rorym w grę o szpiegach, ale on stracił zainteresowanie po jednej partii i wrócił do oglądania kreskówek.

Mama wróciła około dziesiątej i od razu wpadła w histerię, że Rory w dalszym ciągu siedzi przed telewizorem. Starła z jego twarzy keczup i wyszła ponownie.

Udawałam, że śpię.

Im bliżej północy, tym moje myśli stawały się coraz bardziej ponure i coraz bardziej natarczywe. Kiedy pozbyłam się jednych, kolejne atakowały mój umysł. Zaczęłam sobie wyobrazać, jak Mama próbowała popełnić samobójstwo. A potem oczami wyobraźni widziałam Sonię Holtwood, jak czeka i obserwuje mnie przed drzwiami mojego pokoju hotelowego. W końcu musiałam wstać i wyjść na korytarz, aby sobie udowodnić, że jej tam nie było.

Weź się w garść, Lauren!

Gdy leżałam w łóżku, mój wzrok przykuła walizka stojąca smutno w kącie. Mama przywiozła ją z sobą z lotniska w Bostonie. Znów poczułam się winna, kiedy przypomniałam sobie, jak ona i Tato mizernie wyglądali, kiedy mnie zobaczyli.

Zadrżałam. Przestraszyłam się, że Mama była tak zrozpaczona moim zaginięciem, że znów mogła targnąć się na swoje życie.

Przewróciłam się na drugi bok i poprawiłam poduszkę. Gdzie był Jam? Tak bardzo za nim tęskniłam. Tylko przy nim mogłam być w pełni sobą. Choć jak twierdził, nie zna nikogo bardziej zapatrzzonego w siebie niż ja.

Może naprawdę taka jestem.

Przysnęłam na moment i obudziłam się, kiedy zaczęło świtać. Leżałam na plecach, przysłuchując się chrapaniu Rory'ego, który spał w łóżku obok.

Starłam się nie myśleć o tym, co oznaczałoby być córką Purdittów. Chcieli się znowu ze mną zobaczyć, ja także byłam ich ciekawa. Ale wiem, że to nie będzie łatwe.

Prawdopodobnie chcieliby nazywać mnie Martą.

I żebym ja nazywała ich mamą i tatą.

Ktoś delikatnie zastukał w drzwi. Usiadłam na łóżku i z niepokojem spojrzałam w ich kierunku. Kolejne stuknięcie było odrobinę mocniejsze.

Zwlekłam się i cichutko podeszłam do drzwi po grubym dywanie. Rory w dalszym ciągu spał głęboko. Stałam przy drzwiach i nasłuchiwałam. Czy to mogła być Sonia?

- Lauren - wyszeptał niski głos. - To ja.

## 24. DNA

Jam. Otworzyłam drzwi. Miał na sobie zieloną bawełnianą koszulkę i džinsy. Oczy Jama w przyćmionym świetle hotelowego korytarza wyglądały na złote. Poczulałam dziwne ściśnięcie w żołądku. Jego twarz była taka słodka. Dlaczego ja tego wcześniej nie zauważyłam? Nachylenie jego nosa. Maleńki supełek na łuku brwiowym. Delikatne wygięcie warg.

- Nie pozwolili mi cię zobaczyć - Jam rozglądał się po korytarzu. - Musiałem wymyślić ckliwą opowieść, która przekonała recepcjonistkę, żeby zdradziła mi numer twojego pokoju.

- Och! - powiedziałam.

Czulałam, jak się czerwienię. To był Jam, na miłość boską. Mój najlepszy przyjaciel. I nagle dotarło do mnie, że właściwie nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć.

Jam chyba nie zauważył, że zachowywałam się dziwnie. Marszczył brwi, spoglądając na podłogę, jak gdyby próbował zebrać myśli.

- Lauren - jego głos był niski, chropowaty. Ciarki przeszły mi po plecach. - Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że jest coś, o co chciałem cię zapytać?

Podeszłam do niego bliżej. Na tyle blisko, że mogłam widzieć każdą oddzielną rzęsę wokół jego oczu. Moje serce biło mocno. Spojrzał na mnie. I wtedy to zobaczyłam. Zobaczyłam, o co chciał mnie zapytać. Zobaczyłam to, co wszyscy widzieli od miesięcy.

- Tak? - wstrzymałam oddech.

Jam, patrząc na mnie, przysunął się bliżej.

Zamknęłam oczy, gdy jego usta - ciepłe i miękkie - przyłgnęły do moich. Czulałam te motylki w brzuchu i... i tak, wiem, że to generalnie truizm, ale moje kolana stały się tak słabe, jak gdyby nie mogły już więcej utrzymać mojego ciężaru.

Cofnęłam się i otworzyłam oczy.

Jam uśmiechał się do mnie.

Moje wnętrze zmięкло jak szminka na grzejniku.

- Całujecie się? Fuj!

Odskokczyłam. Rory stał tuż obok nas i krzywił z niesmakiem swój zadarty nos.

Z głębi korytarza dobiegł nas odgłos kroków. Stawał się coraz głośniejszy.

Po kilku sekundach korytarz wypełnił się ludźmi. Jam w dalszym ciągu uśmiechał się do mnie olśniewająco. Tak jak gdyby nawet nie zauważył, że ktoś tu jeszcze był.

- Dobrze, Lauren, że nie śpisz - MJ Johnson zmusiła mnie do oderwania oczu od Jama.

- Proszę, wejdź do pokoju.

Jej głos był pełen napięcia. Nagłacy. Spojrzałam na pozostałych agentów. Mieli broń w rękach.

- Co to jest? - zapytałam.

MJ zignorowała mnie. Próbowwała odciągnąć Jama od drzwi.

- Wracaj do swojego pokoju, kolego!

Przez ułamek sekundy myślałam, że może widziała nas, kiedy się całowaliśmy.

- Co się dzieje? - zapytałam, wiedząc od razu, że trudno jej będzie wyjaśnić obecność innych agentów z bronią.

Jam wciąż stał w korytarzu.

- Rusz się! - MJ warknęła na niego.

- Zostaję z Lauren.

Inni agenci walili w drzwi Mamy i Taty.

- Och! Na miłość boską! No dobra. Do środka. Już! - MJ wydała rozkaz. Pchnęła całą naszą trójkę do pokoju, a następnie zamknęła drzwi. Spojrzałam na zegar stojący przy łóżku: wpół do siódmej rano. Po co budzili Mamę i Tatę tak wcześnie?

- Hej, Rory! - MJ przywitała się z moim bratem. - Chciałbyś pooglądać telewizor w drugim pokoju?

Rory pokiwał głową niecierpliwie. Mama zawsze była bardzo surowa, jeżeli chodzi o oglądanie telewizji z samego rana. MJ cicho nakazała jednemu z agentów, żeby zabrał Rory'ego z pokoju. Potem podeszła do łóżka, na którym przysiadłam.

Trzymała w ręce kartkę papieru.

- Mam wyniki badania DNA - powiedziała. Domyśliłam się tego.

- Zgodnie z tym, co wykazuje test, na ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent jesteś dzieckiem Annie i Sama Purdittów.

- Innymi słowy, nie ma żadnych wątpliwości.

Po tych wszystkich staraniach, żeby dowiedzieć się, skąd pochodzę, myślałam, że będę chociaż podekscytowana. Albo że będę się bała. Albo co najmniej poczuję ulgę.

Ale nie czułam zupełnie nic.

Jam usiadł obok mnie na łóżku. Podniósł moją rękę z kolana i splótł palce naszych dłoni w uścisku.

Ktoś mocno zastukał do drzwi. Jeden z agentów wystawił głowę na korytarz i kiwnął głową do MJ.

- Cel jest bezpieczny.

- Jaki cel? - zapytałam. MJ westchnęła.

- Lauren, to jest dla ciebie trudne, ja wiem, ale fakt, że teraz oficjalnie jesteś Martą Lauren Purditt, oznacza, że wiemy, iż zostałeś wprowadzona stąd, z Evanport, a dwa i pół miesiąca później adoptowana pod fałszywym nazwiskiem z agencji adopcyjnej w Marchfield. Natomiast wciąż nie wiemy, ilu ludzi było zamieszanych w wprowadzenie i próbę zatuszowania faktów - przerwała. - Może się okazać, że twoi przybrani rodzice również byli w to zamieszani.

Moje usta były suche.

- Nie, oni o niczym nie wiedzieli. Myśleli, że Sonia Holtwood była moją matką.

- Przykro mi, Lauren - powiedziała MJ. - Twoi przybrani rodzice zostali zabrani na przesłuchanie i do czasu, aż całe śledztwo nie dobiegnie końca, nie będą mogli się z tobą widywać.

Pomyślałam o agentach z bronią. MJ przykucnęła przede mną.

- To jest tylko dochodzenie. Nie ma żadnych dowodów przeciwko nim. Ale musimy sprawdzić dokumenty adopcyjne. Dane związane z kontem bankowym. Tego typu rzeczy.

Dane związane z kontem bankowym? Kiedy FBI dowie się o tym, że Mama i Tato zapłacili Sonii taką kwotę, będą mieć dowody! Spuściłam wzrok.

- Jak długo potrwa śledztwo? MJ wzruszyła ramionami.

- Teraz jesteśmy na etapie sprawdzania kartoteki z agencji adopcyjnej. Ustalenie kto podrobił całą kartotekę, świadectwo urodzenia oraz inne dokumenty zajmie trochę czasu. Następnie będziemy musieli dowiedzieć się, kto w agencji był odpowiedzialny za sprawdzanie na przykład tego, w jakim szpitalu się urodziłaś, i czy to ich w ogóle obchodziło, czy może, co jest bardziej prawdopodobne, ktoś ich opłacił, żeby sfalszowali informacje.

- Ale żadna z tych rzeczy nie ma nic wspólnego z Mamą i Tatą - zapewniłam.

Jam objął mnie w pasie. MJ milczała.

- Czy będę musiała zostać tutaj z Rorym i ciocią Beą?

- Myślę, że twoja ciocia planuje wziąć Rory'ego z powrotem do Anglii w ciągu kilku najbliższych dni - MJ powiedziała.

Zmarszczyłam brwi.

- No a co ze mną? - spojrzałam na Jama. - Czy ja mogę zostać z... z Carlą?

MJ potrząsnęła głową.

- Zgodziliśmy się na to, że pani Caldwell także może zabrać Jama do Anglii. Już złożył zeznania. Do czasu aż znajdziemy Sonię Holtwood, nie będzie mógł nam w żaden sposób pomóc.

Spojrzałam na Jama, serce waliło mi jak oszalałe.

- Porozmawiam z mamą. Może zdołam ją przekonać, żebym tutaj został - powiedział, ale w jego głosie wcale nie było przekonania.

Obróciłam się do MJ.

- To co się ze mną stanie?

- W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin zostanie wszczęte postępowanie sądowe, tak zwane ex parte, które oznacza, że przed sędzią pojawi się tylko jedna ze stron. Na tej podstawie zostanie wprowadzone zarządzenie tymczasowe co do opieki nad tobą. Następnie, po miesiącu, odbędzie się właściwa rozprawa sądowa, na której zapadną ostateczne rozstrzygnięcia, i sąd zdecyduje, gdzie na stałe będziesz mieszkać.

Na stałe.

Słowo przeleciało mi przez głowę.

- Nie rozumiem.

- Przykro mi, Lauren, ale to jest bardzo skomplikowane.

MJ zawahała się.

- Spójrz. Mimo udowodnienia, że jesteś córką państwa Purditt, twoja adopcja musi zostać prawnie unieważniona. Za jakiś miesiąc odbędzie się rozprawa sądowa tylko w tym celu. Na tej rozprawie sędzia unieważni niezgodną z prawem adopcję i ostatecznie zdecyduje, gdzie powinnaś mieszkać i kto po -

winien sprawować nad tobą opiekę. Do tego czasu normalne procedury dotyczące nieletnich, których pochodzenie jest sprawą dyskusyjną, zakładają, że dziecko

zostaje przekazane placówce opieki społecznej, a ta następnie kieruje je do rodziny zastępczej. Później...

- Rodzina zastępcza? - wciągnęłam powietrze.

- To znaczy, że trafiają do obcych ludzi?

MJ poklepała mnie po kolanie.

- To są dobrzy ludzie, Lauren. Porządnie sprawdzeni przez władze państwowe i...

- Ale ja nie chcę mieszkać z kimś, kogo nie znam.

- Nie dajesz mi skończyć. Powiedziałam, że w normalnych przypadkach władze państwowe znalazłyby ci rodzinę zastępczą. Ale to nie jest normalna sytuacja. Państwo Purditt znają wyniki badania DNA. Sądzę, że zdołają przekonać sąd rodzinny do wydania decyzji „w twoim najlepszym interesie”.

- Co to oznacza? - oparłam się o Jama. Nie mogłam uwierzyć w to, co się tutaj działo.

- Państwo Purditt najprawdopodobniej będą chcieli siebie wyznaczyć na tymczasową rodzinę zastępczą. - MJ uśmiechnęła się. - To ludzie zamożni, cieszący się dobrą opinią. Jeżeli opieka społeczna szybko upora się z niezbędnymi procedurami i zdoła przekonać sędziego, że u państwa Purditt będzie ci najlepiej, wtedy będziesz mogła zamieszkać u nich aż do czasu wydania ostatecznego zarządzenia. A później mogliby starać się o przejęcie stałej opieki nad tobą. Spojrzałam na nią w osłupieniu.

- Zamieszkać u państwa Purditt?

- Po jedenastu latach w końcu mogłabyś wrócić do domu

- MJ westchnęła.

## 25. Sznurek

Państwo Purditt zrobili dokładnie to, co przewidziała MJ. Co oznaczało, że dwadzieścia cztery godziny później dowiedziałam się, że będę mieszkała z nimi do czasu rozprawy sądowej, na której zapadnie decyzja co do stałej opieki nade mną. Rozprawa odbędzie się pod koniec listopada.

MJ zmusiła mnie, żebym następnego dnia spotkała się z psychologiem szkolnym. Powiedziała, że powinnam porozmawiać z kimś, kto mógłby mi pomóc dostosować się do nowej sytuacji, w której się znalazłam.

Szczerze mówiąc, gdy tylko sobie uświadomiłam, że będę musiała znów o tym wszystkim opowiadać, zrobiło mi się niedobrze. Ta głupia psycholożka była już wiekowa. Nieustannie kiwała głową ze współczuciem, mówiąc: „Mmm, to będzie bardzo ciężkie dla ciebie”, aż chciałam na nią krzyczeć.

Wiem, że będzie ciężko. Ale co ja mogę na to poradzić? Byłam pewna, że gdzieś tam w środku myślała:

„To jaki masz problem? Chciałaś wiedzieć, kim jesteś, tak? No więc już wiesz - jesteś Martą Lauren Purditt. Musisz teraz wziąć tego byka za rogi”.

Trudno było wyjaśnić, co naprawdę czułam.

Musiałam o tym opowiadać także sędziemu.

- To już raczej chciałabym mieszkać z państwem Purditt aniżeli z przybranymi rodzicami, którzy nigdy nie mieli ze mną do czynienia - powiedziałam.

Ale w głębi duszy miałam mieszane uczucia. Oczywiście, chciałam spędzić trochę czasu z państwem Purditt, ale obawiałam się mieszkania z nimi. Ja przecież w ogóle ich nie znałam. Sama myśl o przeprowadzce tam przerażała mnie.

I tęskniłam za Mamą i Tatą.

Miałam tylko jedną nadzieję - że psycholożka zdoła przekonać Carlę i państwa Purditt, żeby Jam mógł ze mną

jechać. Gdyby on tam był, może cała sprawa byłaby do zniesienia.

Zjadłam lunch z jakby nieobecną ciocią Beą i wyjątkowo przygaszonym Rorym, a potem czekałam z niepokojem na moją drugą sesję z psycholożką. Jak tylko weszła do pokoju, wiedziałam, że ma złe wieści.

- Wszyscy słuchamy tego, co mówisz, Lauren. Państwo Purditt bardzo ci współczują - przerwała, a jej pulchna twarz skrzywiła się. - Wszystkim się wydaje, że nieobecność twojego chłopaka jeszcze bardziej by to wszystko skomplikowała.

- On nie jest moim chłopakiem - mruknęłam pod nosem. Nie mogłam patrzeć jej w oczy, kiedy to mówiłam. To chyba w dalszym ciągu jest prawda, tak myślę. Nie jestem aż tak naiwna, żeby wierzyć, że jeden pocałunek robi ze mnie czyjąś dziewczynę.

- Jedyna możliwość jest taka, żeby mama Jama została tutaj troszeczkę dłużej. Dzięki temu przynajmniej będziecie mieć ze sobą jakiś kontakt.

Od kiedy przebywamy w hotelu, Carlę widziałam tylko raz. Jam mówił, że większość czasu spędza w sklepach z antykami i rękodzielami artystycznymi w Evanport.

W końcu spotkałam ją, gdy przeglądała biżuterię w hotelowym sklepiku z upominkami.

- Kochanie - Carla uśmiechnęła się, kiedy przechodziłam obok. Podniosła ciężką od pierścionków rękę powyżej ekspozycji z drewnianymi naszyjnikami, pokazując mi jeden z nich. Był pomalowany na kolory jesiennych liści - czerwony, złoty i brązowy. - Spójrz na to. Mogę się założyć, że należał do Indian północnoamerykańskich.

Zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- No więc... - Carla podniosła wzrok. - Nie chciałam o tym wspominać przed twoimi rodzicami, ale nasza mała sesja pomogła, prawda?

Zamrugałam, niewiele jednak rozumiejąc z tego, co powiedziała.

- No wiesz - kontynuowała - hipnoterapia. Wiedziałałam, że coś poczułaś, chociaż temu zaprzeczyłaś. To właśnie to cię tutaj doprowadziło, tak? - nachyliła się bliżej. - Szkoda, że mi wtedy nie powiedziałaś. Porozmawiałabym o tobie z panią Zamartwialską. Można było uniknąć całego tego bałaganu.

Ciekawe, o czym ona, do diabła, myślała, mówiąc, że Mama chciałaby słuchać jej opowieści o próbach odnalezienia moich biologicznych rodziców?

Carla zważyła w dłoni naszyjnik.

- Niemalże czuję energię ziemi pulsującą przez te paciorki. Kocham Amerykę. Jest taka duża, nowoczesna i w dalszym ciągu jest tutaj tyle natury.

- Carla? - odchrząknęłam. - Nie chciałabyś może zostać tutaj dłużej?

- Oczywiście, kochanie, chciałabym... - Carla zatrzymała się w połowie zdania.

Położyła naszyjnik na ładzie i westchnęła.

- Chciałabym jak niczego na świecie. Wiesz o tym. Ale muszę wrócić do dziewczynek. I moich klientów. I Jam powinien pojawić się w szkole. On nie jest najlepszy w klasie. Abstrahując od tego, tacy są chłopcy. Leniwi. Niekomunikatywni. Tylko jedno mają w głowie.

Zaczerwieniłam się.

- Jam taki nie jest.

Carla uniosła brew, dotykając dłonią broszki w kształcie gwiazdy.

- Mama zawsze mówiła, że chłopcy są spokojniejsi - powiedziałałam.

Carla prychnęła.

- Kochanie, ja uwielbiam Jama, ale faceci są generalnie istotami z innej planety. Jestem prawie pewna, że w poprzednim życiu byłam jakimś europejskim królem i nie uwierzyłabyś, że...

Kiedy Carla tak głądziła o swoich pozaziemskich doświadczeniach, oparłam głowę o okno sklepowe. Nie mogłam sobie wyobrazić przyszłości bez Mamy, Taty i Jama. Do niedawna byłam na sto procent przekonana, że gdy stanę się Martą Lauren Purditt, wszystko nabierze sensu. Myślałam, że gdy znajdę swoją prawdziwą matkę, będę mogła wypełnić wszystkie brakujące części w moim wnętrzu.

Ale Marta Lauren to były tylko imiona zaginionej dziewczynki. A Annie Purditt nie wyglądała jak przepiękna kobieta z moich wspomnień.

Byłam teraz bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej.

Byłam spakowana i gotowa do wyjścia, kiedy MJ wróciła po mnie o drugiej trzydziści następnego popołudnia.

Tego samego ranka pożegnałam się z Rorym. Towarzyszyło temu większe ściśnięcie serca, niż kiedykolwiek zdołałabym to sobie wyobrazić. Zastanawiałam się, kiedy znowu go zobaczę. Ciocia Bea śpieszyła się do domu, żeby zacząć załatwiać prawników dla Mamy i Taty oraz wszystkie kwestie związane z bankiem.

Starałam się za dużo nie myśleć o Rodzicach. Jam był oczywiście szalenie praktyczny, jak zwykle zresztą.

- Agenci federalni nie mogą ich trzymać bez żadnych dowodów. To nie to samo co bycie terrorystą. Zostaną wypuszczeni za dzień lub dwa. I jeżeli wytłumaczysz państwu Purditt, że nie chcesz z nimi zostać, nie zmuszą cię. Nie mogą.

Myślałam o pieniądzach, które Mama i Tato zapłacili Sonii Holtwood. I o tęsknocie, która malowała się na twarzy Annie Purditt, kiedy mnie zobaczyła. Straciłam zapach. Ale już

więcej nic nie powiedziałam. Nie chciałam zepsuć ostatnich kilku godzin, które nam zostały.

Jam wślizgnął się do mojego pokoju, jak tylko ciocia Bea i Rory wyszli. Na początku było jakoś tak dziwnie. Nigdy wcześniej nie czułam się przy nim tak skrepowana: martwiłam się tym, jak wyglądam, albo co on tak naprawdę o mnie myśli. Ale Jam był błyskotliwy. Powiedział, że bardzo mnie lubił już od miesięcy. Czy to nie dziwne, że nawet tego nie zauważyłam? W każdym razie był kochany i zabawny, i... No cóż. Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że moje pakowanie trwało długo.

A potem MJ zapukała do drzwi.

- Już czas - spojrzała na nas. - Macie dwie minuty. - Wyszła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jam leciał do domu dopiero następnego wieczoru. Ale nie będę już mogła zobaczyć go przed wyjazdem.

Prawdopodobnie będę zajęta stwarzaniem silnej więzi z moją nową rodziną.

Spojrzałam na niego, miałam serce w gardle.

- Nie odchodź.

Uśmiechnął się do mnie tak słodko.

- Wrócę.

Nie, nie wrócisz. Wiem, że nie wrócisz. Mój Boże, zapomnisz o mnie, jak tylko pojawi się przy tobie inna dziewczyna. A to stanie się nie później niż za jakieś pięć minut, bo już nieraz dziewczyny dawały ci do zrozumienia, że są tobą zainteresowane. Nie mogę znieść tej myśli - musisz na mnie poczekać. Proszę, proszę, proszę.

MJ ponownie zapukała do drzwi.

- No, chodźcie, dzieciaki.

Już nie było czasu. Jam tylko wepchnął mi coś do ręki, ścisnął moje palce i wyszedł. MJ podniosła moją walizkę.

- Gotowa? - zapytała.

Skinęłam głową i niepewnym krokiem po omacku podążyłam za nią do hotelowej windy. Palcami dłoni pocierałam o coś, co dał mi Jam - było małe i gładkie.

Poczekalam, aż MJ poszła załatwiać samochód.

Otworzyłam dłoń. Ujrzałam mały, owalny, rzeźbiony kawałek drewna z otworem w środku. Był podobny do tych, które widziałam w chacie Glane'a, tyle że dużo mniejszy i prostszy.

On to dla mnie zrobił.

W recepcji poprosiłam o kawałek sznurka, który później przewlekłam przez otwór i zawiesiłam owal na szyi. Następnie podążyłam za MJ do samochodu.

Kiedy drzwi zamknęły się z trzaskiem, poczułam, jakby zamykała mnie w więzieniu.

## 26. Wstążka

Podróż do domu państwa Purditt zdawała się trwać tylko kilka sekund. Usiadłam na tylnym siedzeniu, mocno zaciskałam dłonie.

Kiedy zobaczyłam żółtą wstążkę owiazaną wokół drzewa w ogrodzie przed domem państwa Purditt, moje serce, już dotknięte cklwym sentymentalizmem, zatopiło się w nim jeszcze bardziej.

- Tutaj nie będzie żadnego przyjęcia albo czegoś takiego, prawda? - zapytałam MJ.

Rzuciła na mnie pełne zdziwienia spojrzenie.

- Ta wstążka jest tam, od kiedy zaginęłaś jedenaście lat temu - powiedziała. - Nie zauważyłaś tego wcześniej?

Nie zauważyłam. Kiedy szłyśmy wzdłuż ścieżki, przyznałam jej rację. Będąc bliżej, zauważyłam, że wstążka była wyblakła i poplamiona.

- To tradycja - powiedziała MJ - kiedy ludzie są z dala od domu.

Kiedy nacisnęła dzwonek, moje serce zaczęło walić jak oszalałe. Dom wydawał się cichy, ale przerażała mnie myśl, że spotkam tutaj tych ludzi.

Annie Purditt otworzyła drzwi, zanim MJ zdążyła oderwać palce od dzwonka. Cofnęła się, żebym mogła wejść do środka.

Nogi mi się trzęsły, kiedy wchodziłam do domu. I doznałam tego samego wrażenia co poprzednim razem.

Dużo wolnej przestrzeni, światła i wypolerowanych drewnianych mebli. Tym razem przez tylne okno dostrzegłam także basen.

Stałam tak zakłopotana, zastanawiając się, gdzie się wszyscy podzieli.

Mężczyzna, który ze mną rozmawiał, kiedy byłam tu poprzednio, trzymał się z boku, siedząc na jednej z

kwiecistych sof. Czułam, jak przeszywał mnie wzrokiem. Wiedziałam, że nazywa się Sam Purditt.

Mój tato. I jeszcze nie mój tato.

Spojrzałam na podłogę, marząc, by być teraz gdzieś indziej.

MJ pożegnała się. Z całych sił próbowałam nie płakać i być w stanie coś odpowiedzieć. Annie Purditt odprowadziła MJ do drzwi wyjściowych, potem wróciła i wyciągnęła rękę w kierunku mojej walizki. Oddałam ją niechętnie. W dalszym ciągu milczałam.

- Jesteśmy sami. Myśleliśmy, że tak będzie lepiej dla ciebie - położyła moją walizkę przy schodach i zaprowadziła mnie do sof. Miałam silne poczucie, że ona strasznie powstrzymywała się przed uściśnięciem mnie tak mocno, jak tylko by mogła.

Usiadłam na skraju sofy, tak daleko od niej, jak to tylko było możliwe.

Spuściłam wzrok. Drewniany owal zwisał mi z szyi, dyndając pod moją bluzką.

Gdy patrzyłam na niego, coś takiego chwyciło mnie za gardło, że musiałam wbijać paznokcie w dłoń, żeby nie zacząć wyc.

- Lauren?

Spojrzałam w górę. Annie siedziała na sofie naprzeciwko mnie.

Sam stał za nią i trzymał ją za ramię.

Nie mogli bardzo się różnić od Mamy i Taty. Pomimo zmarszczek na twarzy Annie myślę, że ona była dużo, dużo młodsza od Mamy i bardziej zadbana. Miała starannie ułożone włosy, nieskazitelny makijaż i usta pomalowane błyszczącą różową szminką. Sam wydawał się jeszcze młodszy. Był wysoki i wyglądał na wysportowanego, miał brązowe włosy, które opadały mu na czoło.

- Pani psycholog powiedziała nam, że wolisz, żeby cię nazywać Lauren - powiedziała Annie.

Oczywiście, że tak. To moje imię.

- I świetnie - Sam dodał szybko.

- Lauren to imię mojej mamy - Annie kontynuowała - i twoje drugie imię... Przypuszczam, że musisz mieć... - odwróciła wzrok. - Moja mama nie była wcale dużo starsza od ciebie, kiedy się urodziłam. Miała osiemnaście lat. Nadano jej imię Lauren po sławnej aktorce - Lauren Bacall. To także moje drugie imię...

- Annie - Sam poklepał swoją żonę po ramieniu.

- Tak, przepraszam. Ja tylko... - łza spłynęła jej po policzku.

Patrzyłam na swoje kolana. Ta kobieta to moja matka. Muszę z nią mieszkać. A ona jest dla mnie zupełnie obcą osobą.

- To dla nas wszystkich jest bardzo ciężkie, Lauren. Ale... ale Sam i ja chcemy, żebyś wiedziała, że bardzo cię kochamy.

Ty mnie w ogóle nie znasz. Nagle tak bardzo zatęskniłam za Mamą i Tatą. O Boże, a jeżeli oni zostali wysłani do więzienia i już nigdy więcej ich nie zobaczę?

Przewróciło mi się w brzuchu.

- Nigdy nie przestaliśmy czekać na ciebie, szukać cię, mieć nadzieję i modlić się, że pewnego dnia wrócisz do domu, do nas. Och... och, co się stało?

Nie mogłam już dłużej powstrzymać łez. Na słowo „dom” moje całe ciało zaczęło dygotać, a ja wpadłam w rozpacz. Pochyliłam się do przodu, ukrywając twarz. Każda część mojego ciała szlochała cichutko.

Niespodziewanie oboje zalali się łzami. Annie obejmując moje kolana, powtarzała:

- Moje dziecko, moje dziecko. Sam głaskał mnie po głowie. To było okropne.

Chciałam im wykrzyczeć, żeby dali mi spokój. Żebym mogła wrócić do domu. Ale do czego dobrego by to doprowadziło? Mamie i Tacie nie wolno się było ze mną widywać. Już nie miałam żadnego domu.

Zmusiłam się żeby przestać płakać. Usiadłam normalnie, cofnęłam się i wytarłam oczy.

Mama i Tato właśnie są przesłuchiwani. Niedługo ich wypuszczą i wtedy będą mogli o mnie walczyć. Państwo Purditt nie zmuszą mnie, żebym została. Jeśli naprawdę mnie kochają, pozwolą mi odejść.

Włożyłam mój drewniany owal pod koszulkę.

Powtarzałam sobie w myślach bez przerwy: „Wszystko będzie dobrze”.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, ale problemy dopiero miały nadejść.

27. Nadal tak za mną tęsknisz?

Mniej więcej godzinę po moim przybyciu pojawiły się inne córki Annie i Sama.

Pamiętałam je obie z poprzedniego spotkania. Shelby, o ciemnoblonde włosach, która próbowała się mnie pozbyć, i mała Madison, która wpatrywała się we mnie znad sofy, jej oczy były wielkie i okrągłe niczym oczy galago.

- Jesteś pewna, że tak będzie dobrze? - zapytała Shelby, stojąc przy frontowych drzwiach.

- Oczywiście, skarbie - zapewniła ją Annie. - Wejź i przywitaj się ze swoją siostrą, tak jak należy.

Shelby weszła powoli do pokoju gościnnego, powłócząc nogami. Włosy miała luźno spięte w koński ogon, a na twarzy ogromną ilość makijażu. Od Annie dowiedziałam się, że Shelby ma trzynaście lat, czyli jest rok młodsza ode mnie. Nie wyobrażam sobie, że moja Mama mogłaby mi nawet teraz pozwolić na nałożenie tak gigantycznej ilości kredki do oczu.

- Cześć, Marta! - zacerwieniła się. - Och, przepraszam. Powinnam nazywać cię Lauren.

- Cześć! - odpowiedziałam szorstko. Czując, że chyba jednak powinnam być bardziej wielkoduszna, dodałam: - Jestem pewna, że jakoś do tego przywykniesz.

Usta Shelby zadrżały.

- Już dobrze, kochanie - Annie uścisnęła ją mocno, a potem odwróciła się w moją stronę. - Shelby łatwo się teraz wszystkim przejmuje. Miała tylko dwa lata, kiedy zaginęłaś, wszystko to jest dla niej bardzo dziwne.

Dziwne dla niej?

Shelby spojrzała na mnie swoimi maleńkimi, szarymi oczkami.

- Zawsze chciałam spotkać moją starszą siostrę - powiedziała beznamiętnym tonem, którym dała mi jasno do zrozumienia, że nigdy by jej to nawet przez myśl nie przeszło.

- Och, Shelby, jakie to miłe, co powiedziałaś - Annie ponownie ją uścisnęła.

Usłyszałam hałas za krzesłem i aż odskoczyłam. Madison stała tuż przy mnie.

- Madi, proszę, nie podkradaj się do ludzi tak niepostrzeżenie - Annie westchnęła. - Idę przygotować herbatę. Przyjdź, kiedy będziesz gotowa.

Shelby podążyła za swoją mamą, wychodząc z pokoju. Uśmiechnęłam się do Madison.

- Cześć!

Wpatrywała się we mnie.

- To ile masz lat? - zapytałam, chociaż Annie już mi wcześniej powiedziała.

- Sześć - Madison w dalszym ciągu nie spuszczała ze mnie wzroku. - Czy ty naprawdę jesteś moją siostrą?

Kiwnęłam głową potakująco.

- Wyobrażałam sobie, że jesteś księżniczką.

- Och! No cóż... właściwie... to nie jestem księżniczką. Przykro mi, myślę, że jestem całkiem zwyczajna.

Nachyliła się nade mną. Jej oddech pachniał dżemem truskawkowym. Wszeptała mi do ucha:

- Mogłybyśmy dalej udawać, że jesteś.

Uśmiechnęłam się.

- Lubisz bawić się w udawanie?

Madison poważnie pokiwała głową.

- Będę aktorką, kiedy dorosnę.

- Naprawdę? Lubisz się stroić i przebierać? - zapytałam, przypominając sobie, jak sama dawniej lubiłam wkładać ubrania Mamy.

- Czasami - Madison przechyliła swoją głowę na jedną stronę. - Ale najbardziej lubię udawanie. Wiesz, wyobrażanie sobie, że jesteś kimś innym.

- Herbata gotowa! - zawołała Annie.

Madison w podskokach opuściła pokój. Poszłam za nią, obserwując, jak jej długie czarne włosy kołysały się z jednej strony jej pleców na drugą.

- Mam nadzieję, że grzecznie rozmawiałaś z Lauren? - spytała Annie, kiedy Madison siadała przy stole. Później obróciła się w moją stronę. - Ona jest takim nieśmiałym maleństwem.

- Wybrykiem natury, chyba - Shelby bąknęła pod nosem. Annie udała, że tego nie słyszy.

- Właściwie to Madison była supergrzeczna - powiedziałam głośno. - Opowiedziała mi... o wielu rzeczach.

Madison zaczerwieniła się. Chciałam się do niej uśmiechnąć, żeby ją uspokoić, że nie będę opowiadać o jej aktorskich ambicjach w obecności Shelby, ale odwróciła wzrok.

Annie postawiła na stole dzbanek z mlekiem. Kiedy wyciągnęła rękę nad moim krzesłem, spostrzegłam oponkę wyłazącą sponad spódnicy.

Świetnie. Nie ma to, jak mieć szczęście. Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało - tłuszcz w genach.

Udało mi się wyjść z domu po południu. Zapytałam też, czy mogłabym później skorzystać z telefonu.

- Oczywiście - Annie zarumieniła się. - Nie musisz pytać.

- Hej! Może zabiorę cię do centrum handlowego? - zaproponował Sam. - Sama wybierzesz sobie komórkę.

I tak też zrobiliśmy. Tylko Sam, ja i mała Madison w wielkim, siedmioosobowym rodzinnym samochodzie.

Właściwie to Sam był w porządku. Bardzo miły dla Madison, delikatny i troszeczkę przekorny. Nie jest jednak zbyt dobrym mówcą. Myślę, że Carla nazwałaby to intuicją - on rozumie pewne rzeczy bez potrzeby mówienia o nich.

Na przykład oboje wiedzieliśmy, że nowy telefon potrzebuje kilku godzin na naładowanie baterii, a mnie bardzo

zależało na wykonaniu telefonu, więc bez pytania zaoferował mi swoją komórkę. Później razem z Madison wszedł do sklepu, abym mogła w spokoju porozmawiać. Gdyby to była Mama, to pewnie kręciłaby się gdzieś nieopodal, próbując dowiedzieć się, z kim rozmawiałam. Tato z kolei nie zrobiłby żadnej aluzji. Z pewnością nie spędziłby też dziesięciu minut, przyglądając się spódnicom i swetrom tylko po to, żeby dać mi trochę prywatności.

Do kogo dzwoniłam? Do Jama, oczywiście. On w dalszym ciągu był w hotelu.

- Tęsknię za tobą - powiedział.

Od razu poczułam się lepiej. Zrobiło mi się tak ciepło i przyjemnie.

Aż do chwili kiedy Carla go wezwała. I znowu zostałam sama.

Wybrałam naprawdę zgrabną małą komórkę o różowym wykończeniu.

Sam powiedział, że mogę wziąć tę, która mi się podoba, więc wybrałam drogi model z funkcjami wideo i aparatem fotograficznym. Nie byłam zachłanna. Chciałam tylko, żeby Jam mógł mi wysyłać zdjęcia i króciutkie filmiki - jeżeli tylko zdoła pożyczyć od kogoś telefon, żeby mi je wysyłać.

Potem cała nasza trójka pojechała na przystań.

Było zimno, ale w dobrym tego słowa znaczeniu - ostre i rześkie powietrze oraz przejrzyste błękitne niebo. Ta część Evanport jest naprawdę piękna. Jest tutaj olbrzymia drewniana promenada z wieloma kafejkami i dużą przystanią dla statków.

Usiedliśmy i wypiliśmy colę, wpatrując się w wodę. Madison łąziła sobie dookoła, od czasu do czasu zerkając na mnie swoimi dużymi oczami. Później Sam pokazał mi swoją łódź.

„Josephine May” lśniła w promieniach słońca, kołysząc się na wodzie niczym zniecierpliwione dziecko. Sam był

bardzo podekscytowany, kiedy weszliśmy na pokład - nawet Madison biegła tam i z powrotem, opowiadając mi, jak poszczególne części łodzi się nazywają.

- Oczywiście, nie mam aż tyle czasu, ile chciałbym poświęcić na żeglowanie - wzdychał. - Annie i Shelby nie są już tak chętne jak kiedyś. Tylko Madi wciąż lubi tu przychodzić. Może będziemy ją zabierać czasami ze sobą?

Spojrzał na mnie wyczekująco.

- Jasne - przytaknęłam.

Zanim dotarliśmy do domu, słońce już całkiem schowało się za horyzont. Sam trzymał Madison za rękę, kiedy wchodzili do środka. To, że musieliśmy wracać i było ciemno, komplikowało wszystko jeszcze bardziej. Byłam tak przygnębiona, że nawet nie zauważyłam zaparkowanego samochodu MJ.

Jak tylko ją zobaczyłam, wyczytałam z jej twarzy, że nie miała dobrych wiadomości. Przeszła ze mną do pokoju gościnnego, podczas gdy Annie krzątała się po kuchni, rzucając pełne niepokoju spojrzenia w naszą stronę.

- Taylor Tarsen przyznał się do tego, że wiedział o całym porwaniu od samego początku - zakomunikowała.

Zmarszczyłam brwi.

- Ale to chyba dobrze - powiedziałam. - Czyż nie? Jeżeli on się przyznał, to Mama i Tato są niewinni.

- To nie jest takie proste - odparła MJ. - Tarsen podpisał oświadczenie, że twoi rodzice byli zaangażowani w całą sprawę.

Spojrzałam na nią przerażona.

- On kłamie! - krzyknęłam. - Mama i Tato wszystko mi powiedzieli. Oni myśleli, że Sonia Holtwood była moją matką!

- Ciii... - MJ nachyliła się bliżej i poklepała mnie po ramieniu. - Tak między nami, ja ci wierzę. Twoi rodzice

wyglądają na porządnych ludzi, a ich historia ma sens. Ale przyznali się, że złamali prawo, przekazując pieniądze Sonii. Musimy więc teraz przejść przez wszystkie stosowne procedury.

Rozmawiałyśmy tak przez dłuższą chwilę. MJ obiecała mi, że poprosi prawnika Mamy i Taty, żeby do mnie zadzwonił. Potem się wymknęła.

Usiadłam na sofie. Komórka Sama leżała na małym stoliku przy drzwiach. Podniosłam ją i wysłałam wiadomość do Jama. Nie odważyłam się dzwonić do niego i rozmawiać z nim, na wypadek gdyby ktoś wszedł do pokoju.

Poza tym tak bardzo potrzebowałam się do kogoś przytulić.

Pamiętając, co mi powiedział wcześniej, napisałam: Nadal tak za mną tęsknisz?

Od razu odpisał: Jeszcze bardziej.

Skasowałam obie wiadomości i odłożyłam komórkę na miejsce. Niesamowite, jak pewne rzeczy dodają skrzydeł i łamią serce w tym samym czasie.

## 28. Pokój Marty

Tego wieczoru rozmawiałam z adwokatem rodziców.

Ledwo rozumiałam, o czym mówił. Mama i Tato zostali oskarżeni o coś, co brzmiało okropnie, a mianowicie: współudział w uprowadzeniu nieletniego. Przebywali teraz w areszcie, oczekując na kolejny etap postępowania sądowego.

Pan Sanchez, adwokat, powiedział, że ciężko pracował w ich imieniu, a to oznacza, że i ja sama będę musiała się przygotować na długą walkę.

Po tej rozmowie byłam zbyt otępiała, żeby jeszcze z kimś rozmawiać.

- Co się stało, Lauren? - Annie kręciła się wokół mnie, cała w nerwach.

Nie mogłam się zmusić, żeby jej to opowiedzieć.

- Nic - odparłam.

- Dobrze... no cóż... hm... Przygotowałam uroczysty obiad. Będzie gotowy za kilka minut - powiedziała Annie i wyszła z pokoju przygnębiona.

Naprawdę nie żartowała, mówiąc, że obiad będzie uroczysty. Na stole leżał biały, świeżo wyprasowany lniany obrus z odpowiednimi serwetkami, a zastawę stanowiła biała porcelana.

Usiadłam pomiędzy Samem i Madison, mając nadzieję, że Purdittowie nie jadaliby posiłków tak oficjalnie każdego dnia. Annie podała coś, co się nazywało osso bucco. Jedliśmy w ciszy. Czułam, jak wszyscy na mnie patrzą. Wlepiłam wzrok w talerz.

- Widelec, Madison - powiedziała Annie łagodnie. Spojrzałam z ukosa. Madison położyła nóż i przełożyła widelec do drugiej ręki.

Nie miałam pojęcia, o co tutaj biegło, ale sytuacja była zbyt krępująca, żeby zadawać pytania.

- No, Madison - powiedziała Annie. - Jemy obiad.

Madison zaczerwieniła się i rzuciła przelotne spojrzenie w moim kierunku.

Shelby zachichotała.

- Tylko dlatego, że Mar... hm, Lauren tak robi, nie znaczy, że ty tak możesz.

Spojrzałam na nią.

- Że co niby zrobiłam?

Annie zaczęła tłumaczyć:

- To nic takiego, Lauren. My jemy tylko widelcami. To znaczy, używamy noży i widelców jednocześnie, żeby dzielić jedzenie, ale potem przekładamy widelec do drugiej ręki, żeby nim jeść.

Myślę, że rozdziawiłam usta ze zdumienia.

Kim byli ci ludzie?

Shelby zachichotała ponownie.

- To dlatego, że uważamy, że do złych manier należy napychanie się - powiedziała znacząco, spoglądając na mój widelec przyciśnięty do noża, którym przygotowywałam ostatni kęs pokrojonej fasolki szparagowej.

- Och, ale my nie oczekujemy, że ty będziesz jadła w ten sposób - zatrajkotała Annie. - To taka amerykańska rzecz, a wszyscy wiemy, że ty odebrałaś inne wychowanie. To znaczy, ty jesteś Europejką. To znaczy... - wstała od stołu i zaczęła zbierać talerze.

Wciąż mówiąc, wybiegła do kuchni i wróciła po kilku sekundach, niosąc ogromne ciasto. Trzymała je wysoko w powietrzu, zbliżając się do stołu.

- Zrobiłam je, gdy byliście w sklepie. Nie byłam pewna, ale pomyślałam, że zrozumiesz. To jest taki doniosły dzień... - jej głos ucichł, kiedy stawiała ciasto naprzeciwko mnie. Było wysokie i pokryte białym lukrem. Na środku złote litery tworzyły napis: „Witaj w domu, Lauren”.

- Świetny lukier, mamó - powiedziała Madison. Spojrzałam na ciasto.

Annie w dalszym ciągu głądziła za moimi plecami. Trzonkiem do przodu przesuwiała w moim kierunku długi nóż. Czułam na sobie wzrok każdego z nich: zaniepokojonego Sama, zadowolonej z siebie Shelby i Madison z tymi jej wielkimi aksamitnymi oczami, okrągłymi jak spodki.

Nie podniosłam noża, więc Annie podeszła i trzęsącą się ręką zaczęła kroić ciasto.

- Myślę, że mogłabyś się rozejrzeć na górze, Lauren - położyła kawałek ciasta na małym talerzyku i postawiła go przede mną. - I powinnyśmy także omówić, w którym pokoju chciałabyś spać.

Odsunęłam talerzyk.

Niech sobie nie myśli, że będę jadła jej głupie ciasto. Upokorzenie przemknęło przez twarz Annie, mocno poczerwieniała.

- Myśleliśmy, że mogłabyś sobie wybrać pokój. Może chciałabyś spać w jednym pokoju z Shelby? Wydaje nam się, że to byłoby fajne, no i mogłybyście się lepiej poznać.

Spojrzałam na Shelby, a ona popatrzyła na mnie. Prędzej zaprzyjaźniłabym się z jadowitym wężem.

- Albo jeśli wolisz, wybierz jeden z pokoi gościnnych, a my przerobimy go dla ciebie z czasem, jak już tutaj przywykniesz.

Nigdy nie przywyknę do tego miejsca. - Lub... - Annie zawahała się. - Tutaj jest twój stary pokój.

Spojrzałam na nią. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że mogłabym już mieć swój pokój w tym domu. Pomimo tęsknoty za rodzicami i domem zaciekawiałam się od razu.

- Chciałabyś go zobaczyć? - zapytała Annie. Pokiwałam głową.

- Dobrze - powiedziała, podrywając się z przejęciem i przewracając swoją szklanę. Woda rozlała się po podłodze. - Och, cholera! Co za bałagan.

Sam poszedł za Annie do kuchni po ścierkę.

- Dlaczego Shelby nie może sama pokazać Lauren jej pokoju, podczas gdy my tutaj posprzątamy? - zapytał. - Możesz do nich dołączyć za minutkę.

- Jasne, tato - Shelby odwróciła się w moją stronę. - Z przyjemnością - wyszeptała sarkastycznie.

Podążyłam za Shelby na górę. Z tego, co udało mi się dostrzec, chociaż była tego samego wzrostu co ja, jej nogi były dużo krótsze. Wystawały spod jej minispódniczki niczym twarde, małe pniaki. Mogłam także dostrzec ciemnobrązowe odrosty pomiędzy pasemkami. To polepszyło mi trochę samopoczucie. Wredna siostra wcale nie była taka zła. Ale efektowna wredna siostra z perfekcyjnymi włosami i nogami długimi aż do nieba byłaby nie do zniesienia.

Shelby szła przez długi korytarz, głośno tupiąc. Wskazała na otwarte drzwi po lewej stronie.

- To mój.

Przez drzwi dostrzegłam ogromną toaletkę, a na niej kosmetyki i buteleczki perfum. Liliowe zasłony z falbankami w oknach i ukryte w kącie lalki stwarzały atmosferę pokoju dzieciennego, ale reszta była bardziej dorosła. Ubrania wysypywały się z szafy stojącej przy łóżku.

Shelby szarpnęła drzwi od pokoju, zamykając je tuż przed moim nosem.

- Nie wolno ci tutaj wchodzić. A już na pewno nie do garderoby - powiedziała. - Nie chcę, żebyś dotykała jakiegokolwiek z moich rzeczy.

Czy ty specjalnie brałaś lekcje, żeby być taka złośliwa, czy masz już takie wrodzone zdolności?

- Nie martw się - powiedziałam oziębło. - Nie dotknęłabym twoich rzeczy, nawet gdybyś mi zapłaciła.

Oczy Shelby były jak maleńkie kamyczki.

- Ani się waż - odparowała, naśladowując mój akcent.

Strzepnęła swoje długie włosy z ramion, spoglądając na drewniany owal zawieszony na sznurku wokół mojej szyi.

Przynajmniej mam coś ładnego.

I znów zaczęło się we mnie gotować.

- Nikt cię tu nie chce, wiesz? - powiedziała Shelby z szyderczym uśmiechem.

- Mama i tato zachowują się tak, jak gdyby to była najlepsza rzecz, jaka im się kiedykolwiek przytrafiła, ale chcieliby cię taką, jaką cię pamiętają. Dziecko dopiero uczące się chodzić. Nie nastolatkę. Spójrz - wskazała na drzwi w głębi korytarza.

Imię „Marta” było wypisane na drzwiach dużymi literami, każda z nich przyozdobiona innym zwierzątkiem. Spojrzałam na literę „M”. Na środku namalowana była małpka. To była pierwsza rzecz w całym domu, która wydawała się znajoma. Podeszłam do zamkniętych drzwi, czułam jak żołądek podchodził mi do gardła.

- No i dlaczego nie wchodzisz? - zapytała Shelby. - To twój pokój.

Nacisnęłam klamkę. Pokój był ogromny, pomalowany w jasne, podstawowe kolory. Ściany były żółte z fryzem alfabetu przy suficie.

Pod oknem stał drewniany kufer, a na nim stos lalek i pluszowych misiów.

Podeszłam do jednoosobowego łóżka stojącego przy kufrze. Niebieski zajac z oczami wykonanymi z dużych guzików leżał na miękkiej narzucie. Podniosłam go. Miał na sobie różową satynową suknię balową w cienkie paski. Był już zniszczony, jedno ucho miał rozdarte na szwie.

Kochałam i przytulałam tego zajączka. Byłam tego pewna.

- Widzisz, znalazłaś małego króliczka - Annie stała w drzwiach, tuż obok Shelby.

Uderzyło mnie, że ich górne wargi miały podobny kształt - były pełne i układały się w literę „V” na środku.

Pamiętam sposób, w jaki moja mama na plaży się śmiała. Ale z jakiegoś powodu nie mogłam sobie wyobrazić śmiejącej się Annie.

Wyszeptała coś do Shelby, ta zmarszczyła brwi i czmychnęła z pokoju.

Annie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Przesunęła palcami po półce z kartonowymi książeczkami.

- Zostawiłam wszystko tak, jak było, kiedy... - odwróciła wzrok.

Stałam zakłopotana, przestępując z nogi na nogę.

- Przez lata to było jedyne miejsce, w którym niczego nie zmienialiśmy. Jedyne, w którym mogłam znaleźć spokój - powiedziała Annie.

Podeszła do mnie. Kiedy dotknęła mojego ramienia, jej palce zadrżały.

- Chciałabyś tutaj spać? Możemy poprzeglądać wszystkie dziecinne rzeczy innym razem - zadecydujesz, co chciałabyś sobie zatrzymać.

Pokiwałam głową, po czym cofnęłam się, uwalniając ramię spod jej ręki.

Annie stała tak przez kilka sekund. Potem odwróciła się i wyszła z pokoju.

Osunęłam się na łóżko. Shelby miała rację. Annie chciała odzyskać córkę, którą straciła. Chciała jedenastu lat obiadek, przytulania się i plastrów na kolanach.

Ale nie chciała mnie. Takiej, jaką byłam teraz.

I ja także chciałam mamę, którą pamiętałam, o której śniłam.

Zwinęłam się w kłębek i płakałam, dopóki nie zasnęłam.

## 29. Awantura

Minęło kilka dni. O mało co nie zwariowałam, próbując zdobyć jakiegokolwiek informacje o Mamie i Tacie. Ich adwokat doprowadzał mnie do szału. To był największy twardziel na świecie, przed którym się powstrzymywałam, jak mogłam. Ale kiedy już zaczęłam z nim rozmawiać, dawał mi tylko niejasne odpowiedzi na moje najczęstsze pytania:

Kiedy mogę się stąd wynieść?

Kiedy mogę zobaczyć się z Mamą i Tata?

Tęsknota za Mamą i Tata była już nieustannym bólem. To było dziwne. Biorąc pod uwagę, jak często nienawidziłam ich, mieszkając z nimi w Londynie, nigdy by mi nie przyszło do głowy, że mogłabym za nimi tęsknić tak bardzo jak teraz. To znaczy, to nie było tak, że chciałam z nimi porozmawiać na jakiś konkretny temat. Chciałam, żeby po prostu byli obecni i robili swoje codzienne rzeczy jako Mama i Tato. Pragnęłam czuć wszystkie te smaki i zapachy mojego normalnego życia.

Dom Sama i Annie był o wiele bardziej elegancki i wytworny niż ten, w którym mieszkałam w Londynie. Tyle, że to nie był mój dom.

Po mniej więcej tygodniu wpadłam w jakąś rutynę. Wstawałam po wyjściu Shelby i Madison do szkoły. Potem z Samem często chodziliśmy na przystań. Sam wziął miesiąc urlopu. Annie mówi, że on jest zazwyczaj bardzo zapracowany, więc miesiąc wolnego jest dla niego szansą, żeby się trochę odprężyć i lepiej mnie poznać.

Jeśli mam być szczerą, nie wydaje mi się, żeby jakoś szczególnie się rozluźniał. Spędzał dużo czasu, pracując przy „Josephine May”. Czasami wy pływaliśmy i żeglowaliśmy po zatoce. Najbardziej lubiłam właśnie te dni, a szczególnie wtedy, gdy przychodziła także Madison. Stałyśmy na dziobie, a wiatr wiał nam w twarz. I zapominałam o całym świecie.

Jest pięknie, kiedy patrzy się na Evanport z lotu ptaka. Wszystkie domy na zachodnim wybrzeżu są drewniane, pomalowane na jasne, pastelowe kolory. Sam mówił, że są bardzo stare, chociaż wyglądają jak duże nadmorskie nowoczesne domy wypoczynkowe.

Jam wytrzasnął skądś telefon z kamerą, co oznaczało, że mogliśmy teraz wysyłać sobie króciutkie filmiki i zdjęcia. Rozmawialiśmy przez cały czas. Wiedział o wszystkim. Kiedy byłam nieszczęśliwa. Jak bardzo za nim tęskniłam. Jak rozpaczliwie chciałam wrócić do domu.

Kiedy do niego nie dzwoniłam lub nie pisałam, spacerowałam sobie, zwiedzając restauracje i sklepy. W drugim dniu mojego pobytu Annie i Sam dali mi wysokie kieszonkowe. Powiedzieli, żebym pochodziła po sklepach i kupiła sobie jakieś nowe ubrania.

Kupiłam nowe dżinsy i kilka uroczych, króciutkich bluzeczek, a do tego jeszcze mnóstwo fantastycznych kosmetyków do makijażu.

Ale moim najlepszym zakupem jak do tej pory były brązowe skórzane buty do kolan, z wysokimi koleczastymi obcasami. Strasznie się denerwowałam, zabierając je do domu.

Mama dostałaby ataku, gdyby mnie w nich zobaczyła, ale Annie powiedziała, że są bardzo ładne.

MJ zazwyczaj dzwoniła w porze lunchu. Informowała mnie na bieżąco o poszukiwaniu Sonii Holtwood. Niestety, nie szło zbyt dobrze. Jak można się było zresztą spodziewać. Nazwisko to bowiem było zaledwie jedną z tożsamości, których używała. Konfiskowała je ludziom, którzy byli w tym samym wieku co ona, tyle że zmarli jako dzieci. Już samo myślenie o tym przyprawiało mnie o gęsią skórę. W każdym razie do tej pory FBI nawet nie знаło jej prawdziwego nazwiska.

Annie nigdy nie próbowała rozmawiać ze mną na temat Sonii, Mamy lub Taty. Pod koniec mojego pierwszego tygodnia tam praktycznie przestałyśmy rozmawiać ze sobą. No cóż, właściwie to ja przestałam z nią rozmawiać.

To brzmi podle, prawda? Gdybyś zobaczył, w jaki sposób się zachowywała, zrozumiałbyś. Ona zawsze kręciła się nieopodal, żeby mieć mnie na oku. A potem zasypywała mnie tymi irytującymi pytaniami w stylu: „Może potrzebujesz więcej spotkań z psychologiem?”, „Może chciałabyś zobaczyć się z resztą rodziny?”, „Czy nie powinnaś zacząć myśleć o szkole średniej?”.

To było takie sztuczne. Już wolałam Shelby. Przynajmniej nie ukrywałyśmy, że się nienawidzimy. Przy Annie czułam się jak świąd, którego nie mogła podrapać. Im bardziej ja odsuwałam się od niej, tym bardziej ona zbliżała się do mnie. Im bardziej dawałam jej do zrozumienia, że nie chciałam być blisko niej, tym ona mocniej trzymała mnie w uścisku.

Widziałam, że Sam był zaniepokojony całą tą sytuacją. Nikt nic jednak nie mówił, a napięcie między nami narastało coraz bardziej. Aż w końcu po dwóch tygodniach od mojego przybycia osiągnęło punkt krytyczny.

Przeglądałam z Madison książkę dla dzieci pt. „Dobranoc, księżycu”. Znalazłam ją na półce w moim pokoju. Miałam tylko mgliste wspomnienia z lektury tej książki, strony były zagięte i zabrudzone przy krawędziach, ale było coś dziwnie pocieszającego w samym jej trzymaniu.

Powąchałam wyschnięty, pachnący stęchlizną, bardzo znajomy zapach papieru, podczas gdy Madison uczyła się kilku wierszy, które chciała wyrecytować następnego dnia na „Show and Tell” (‘Show and Tell’ - „Pokaż i powiedz” (edukacja wczesnoszkolna, gł. Ameryka Północna). Metoda wyrabiania umiejętności pięknego mówienia (retoryka) u dzieci. Dziecko zazwyczaj przynosi jakiś przedmiot do szkoły

i wyjaśnia podczas lekcji przed klasą, dlaczego właśnie ten, a nie inny przedmiot wybrało, skąd go wzięło oraz przekazuje inne, powiązane z tematem informacje.). Śmiała się, ponieważ ciągle jej się mieszały takie słowa jak: „ants” i „pants” ('Ants in Your Pants' - piosenka dla dzieci, Erie Herman and the Invisible Band.).

Potem zadzwonił pan Sanchez.

- Czy coś się stało? - zapytałam.

- Taylor Tarsen został zwolniony za kaucją. Twój przybrani rodzice również.

- Czyli mogę ich zobaczyć? - zapytałam z przejęciem.

- Nie. W tym tkwi problem. Państwo Purditt próbują nie dopuścić do takiego spotkania. Ich zdaniem istnieje poważne ryzyko, że twoi przybrani rodzice będą usiłowali cię uprowadzić podczas odwiedzin.

- Porozmawiam z nimi - zadeklarowałam. Odłożyłam słuchawkę telefonu, aż wrzało we mnie z wściekłości.

Annie wyfrunęła z kuchni.

- Jakies nowiny, Lauren? Pewnym krokiem podeszłam do niej.

- Jak śmiesz przeszkadzać mi w widywaniu się z Mamą i Tatą?

Annie zbladła.

- Czekaj, Lauren - powiedziała. - Ty nie rozumiesz.

- Wychowywali mnie przez jedenaście lat - krzyknęłam. - Mam prawo ich widywać.

Sam i Shelby pojawili się znikąd.

- Oni nam cię zabrali - Annie załamała ręce.

- Oni nie wiedzieli, skąd ja naprawdę pochodzę - wrzasnęłam. - A nawet jeśli, to wciąż są moimi rodzicami bardziej niż wy!

- Nie odzywaj się do mojej mamy w ten sposób - warknęła Shelby.

- Niech wszyscy się uspokoją - powiedział Sam.

- Lauren, wiem, że to trudne, ale musisz stawić czoła temu, co oni zrobili. Oni nie zasługują na to, żeby cię widywać.

- A co ze mną? - wrzasnęłam. - Utknę tutaj na zawsze? Nienawidzę tego miejsca. Nienawidzę. Nienawidzę.

Obróciłam się i uciekłam na górę. Słyszałam, jak Annie pobiegła za mną, choć Sam wołał, żeby wracała.

Wpadłam do swojego pokoju, ale nie mogłam zatrzaskać drzwi, bo nie było w nich zamka.

Kilka sekund później Annie wtargnęła do środka.

- Wynoś się! - wrzasnęłam.

- Nie - zmrużyła oczy. Przeklełam ją.

Szybkim krokiem podeszła do łóżka i szarpnęła mnie za rękę.

- Jak śmiesz mnie tak traktować? - wrzasnęła, ciągnąc mnie do góry. Jej twarz była zupełnie czerwona, wybałuszyła oczy ze wściekłości. - Od kiedy tutaj jesteś, nie robię nic innego poza chodzeniem wokół ciebie na paluszkach. Tak bardzo cię kocham, a ty nawet nie pozwalasz mi wejść do pokoju!

- Ty mnie nie kochasz! - krzyczałam. - Ty mnie nawet nie znasz!

Stałyśmy tak, twarzą w twarz, rzucając na siebie gniewne spojrzenia. Czekałam, mając nadzieję, że tak po prostu odejdzie i zostawi mnie samą.

Ale zamiast tego westchnęła tylko powoli i głęboko.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie powinnam krzyczeć - przerwała. - Jest coś, co chciałabym ci pokazać... Proszę.

Poruszona zmianą jej tonu podążyłam za nią chmurnie do jednego z pokoi gościnnych. Annie podeszła do wysokiej szafy stojącej w kącie i otworzyła drzwi.

- Przez te jedenaście lat, kiedy twoja Mama i Tato cieszyli się tobą, ja robiłam to.

Zajrzałam do szafy. Pękała w szwach od nadmiaru teczek kartonowych i pudeł z papierami. Stosy pożółkłych wycinków z gazet i wydruki internetowe były ułożone na półkach.

Annie na chybił trafił wyciągnęła stos papierów. Podsunęła mi je przed nos. Spojrzałam na samoprzylepną etykietkę: „Możliwe ślady Marty”. Miał co najmniej trzy centymetry grubości.

- Szukanie ciebie było moim jedynym zajęciem - powiedziała Annie. - Miałam obsesję na tym punkcie. Zaniedbywałam Shelby. Zaniedbywałam Sama. Nawet rozstaliśmy się na jakiś czas. W końcu wszyscy zaczęli mi mówić, żebym sobie odpuściła, że już nie wrócisz. Ale ja się nigdy nie poddałam - obróciła się do mnie. - Może jesteś na nas zła, bo wydaje ci się, że się nie dość staraliśmy, żeby cię znaleźć.

- Nie - powiedziałam szczerze. - Nigdy o tym nie myślałam w ten sposób. To znaczy, ja wiem, że musiało być wam ciężko, ale...

- Ciężko? - Annie spojrzała na mnie. - Byłam przerażona. Nie mogłam jeść. Nie mogłam spać. Przestałam żyć. Gdziekolwiek bym się ruszyła, widziałam ciebie. Cokolwiek bym robiła, nigdy nie pozbyłam się okropnego poczucia winy, że tamtego dnia nie upilnowałam cię wystarczająco dobrze - jej usta drżały. - Okropny lęk.

- Ale nie możesz karać za to moich rodziców - łzy napłynęły mi do oczu. - Oni rozpaczliwie chcieli mieć dziecko. Kiedy płacili Sonii, nie zdawali sobie sprawy, że nie byłam jej córką.

Annie przeciągnęła palcami przez włosy.

- Nie przyszło ci do głowy, że jeżeli nikt by nie płacił takim ludziom jak Sonia pieniędzy, których żądają, straciliby motywację, aby kraść dzieci, a potem je sprzedawać?

Wyszła z pokoju.

Usiadłam na podłodze, oszołomiona. Nigdy nawet nie pomyślałam, że Mama i Tato mogliby zrobić coś takiego. Ogarnęła mnie olbrzymia fala przygnębienia. Zakryłam oczy rękami. Dlaczego to wszystko właśnie mnie się przydarzyło? To takie niesprawiedliwe.

Po kilku minutach poczułam, jak mała rączka poklepywała mnie po plecach.

Spojrzałam w górę. To była Madison. Jej czekoladowe oczy były okrągłe od niepokoju.

- Hej, Lauren - powiedziała.

Objęła mnie i uścisnęła. To był pierwszy normalny ludzki odruch, jakiego doświadczyłam w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Uścisnęłam ją mocno.

- Chcę ci coś pokazać - powiedziała, wskazując na cienki album leżący na podłodze obok niej.

Spróbowałam się do niej uśmiechnąć.

- Co to takiego? - zapytałam.

- Mój specjalny album na zdjęcia. Twoje zdjęcia. I kilka moich. Chcesz zobaczyć?

Pokiwałam twierdząco głową, ocierając twarz. Madison usiadła na podłodze tuż obok mnie, przytuliła się do mnie i razem oglądałyśmy zdjęcia.

Na kilku pierwszych stronach były zdjęcia niemowlaka podpisane moim imieniem i datą. Spojrzałam na nie, moje oczy znowu wypełniły się łzami. To było życie, które straciłam. Życie, za którym tak bardzo tęskniłam.

- Chciałam ci to pokazać wcześniej - wyjaśniła Madison. - Mamusia powiedziała, że powinnam poczekać do czasu, kiedy

będziesz gotowa. Tak jak ona czeka na to, żebyś zobaczyła dziadzia i babcię. Myślę, że mogłabyś ich polubić. Spójrz!

Obróciła kilka kartek do kolejnego zestawu zdjęć z niemowlakami.

Oświetlenie i ubrania były inne, ale poza tym wyglądałam podobnie - ta sama pucołowata buzia i brązowe włosy. Zaraz. Przyjrzałam się uważniej.

- Na tych mam brązowe oczy - powiedziałam. Madison zachichotała.

- To ja. Byłyśmy podobne, prawda? - powiedziała dumnie. - Wszyscy mówią, że wyglądamy jak tatuś.

Spojrzałam na nią. Zauważyłam podobieństwa między Madi i Samem. Taki sam zadarty nos i gładka, oliwkowa cera.

Czy ja także jestem do nich podobna?

Przewróciłam kolejną kartkę. Ten zestaw zdjęć przedstawiał Madison - nie, to byłam znowu ja - na plaży. Wyglądałam na jakieś trzy lata. W ręce trzymałam czerwone plastikowe wiaderko.

To odświeżyło mi coś w pamięci. Z mojej hipnoterapii z Carlą.

- Moje wiaderko - powiedziałam, serce zaczęło mi bić gwałtownie. - Na plaży - to było tam, gdzie bawiłam się w chowanego z moją mamą. Z Annie.

Madison pokiwała głową.

- To niedaleko stąd. Long Mile Beach. To właśnie tam zaginęłaś. Mamusia mi powiedziała.

Wskazała na dół strony. Wzięłam głęboki oddech. To była kobieta z moich wspomnień. Jej oczy iskrzyły się, a ramiona przytulały mnie do siebie.

- To mamusia - powiedziała Madison. - Czy nie była piękna?

Wpatrywałam się w zdjęcie. Nie spodziewałam się, że ujrzę tę twarz tu i teraz. Próbowałam porównać tę piękną

kobietę, na którą patrzyłam, z Annie, którą poznałam niedawno. Podobieństwo było wyraźne. Teraz już to widziałam. Tyle że jedenaście lat później Annie była przemęczona, jej twarz pokrywały zmarszczki. Obecna Annie bardziej przypominała ducha kobiety ze zdjęcia.

- Mamusia mówiła, że była bardzo smutna, kiedy odeszłaś - powiedziała Madison, przesuwając paluszką na dół zdjęcia. - Dlaczego nie jest szczęśliwa teraz, kiedy już wróciłaś?

### 30. Z serca

Wypróbowywałam nowe cienie do powiek marki Ultra Babe (Emerald Shimmer, jeżeli chciałbyś wiedzieć) w dużej, rodzinnej łazience, tuż obok mojej sypialni.

Kątem oka obserwowałam, jak Madison przygląda mi się zza drzwi. Udawałam, że jej nie widzę, i czekałam, aż na mnie wyskoczy, chcąc zrobić mi psikusa. Ale nagle, ni z tego, ni z owego, obróciła się, stając twarzą do korytarza.

Dwie sekundy później zorientowałam się dlaczego.

Shelby tam była. Nie zauważyła, że stałam w łazience, przy umywalce, ale ja widziałam tył jej żółtej głowy, kiedy podeszła do Madison stojącej w drzwiach.

- Fuj! Co to tak śmierdzi? - zapytała Shelby. Z chichotu, jaki później dało się słyszeć, domyśliłam się, że są z nią jej przemądrzałe koleżanki z klasy. Po szkole często zapraszała je do domu. Paplają bez końca całymi godzinami o chłopcach, którzy im wpadli w oko, albo o powiększających usta najnowszych zastrzykach, o które błagają swoich rodziców.

- To jest ohydne! - głos Shelby był coraz bardziej przerażający.

I znowu chichot. Przesunęłam się odrobinę, żebym mogła lepiej widzieć.

Shelby była zwrócona bokiem do mnie, nadal mnie nie widziała. Zatykała sobie nos. Madison była przyparta do drzwi. Patrzyła na siostrę tak okropnie obojętnym wzrokiem, jak gdyby udawała, że jej tam w ogóle nie ma. Zamarłam, wciąż ściskając w ręce pędzelek do nakładania cieni.

A potem, zanim zdążyłam cokolwiek zrobić czy powiedzieć, Shelby podciągnęła bluzeczkę Madison tak wysoko, że mogłam zobaczyć cały jej płaski, biały brzusek. Ujrzałam skupisko małych siniaków. Niektóre z nich były ciemnofioletowe, inne bardziej wyblakłe i zielonożółte,

- Zastrane, śmierdzące dziewczynki będą karane - powiedziała Shelby, uśmiechając się szyderczo.

Wstrzymałam oddech, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Jednym ruchem Shelby mocno ścisnęła Madison pod żebrami. Madison próbowała się wyrwać, ale Shelby była silniejsza.

W sekundzie znalazłam się obok nich. Uderzyłam Shelby w klatkę piersiową. Zatoczyła się i wpadła na jedną ze swoich głupich przyjaciółek.

- Trzymaj się od niej z daleka - syknęłam. - Albo to ty będziesz płakać.

Przed oczami mignęła mi jedna z dziewcząt z szeroko otwartymi ustami. I Shelby z oczami jak pociski.

Wciągnęłam Madison do łazienki i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Oddychałam ciężko i trzęsły mi się ręce. Spojrzałam na Madison. Opierała się o ścianę. Jej szyja i policzki płonęły.

Dotknęłam jej ramienia.

- Dobrze się czujesz?

Wzdrygnęła się i cofnęła odrobinę. Korciło mnie, żeby zaprowadzić ją na dół i pokazać Annie i Samowi, co zrobiła Shelby, co z całą pewnością robiła już od jakiegoś czasu. Nikczemna, niegodziwa krowa. Domyśliłam się jednak, że wzbudzanie tego rodzaju zainteresowania było ostatnią rzeczą, jakiej chciała Madison.

- Jeżeli ona jeszcze raz czegoś takiego spróbuje, powiesz mi, prawda?

Madison stała sztywna jak ołówek, a jej twarz płonęła ze wstydu.

Podeszłam z powrotem do umywalki. Pędzelek do nakładania cieni wciąż trzymałam kurczowo w dłoni. Mój

wzrok spoczął na małym płatku do zmywania makijażu. Podniosłam go i podałam Madison.

- Chciałabyś spróbować, jak to będzie wyglądać? Kiwnęła przytakująco głową.

Usiadłam na skraju wanny i nałożyłam odrobinę mieniącego się proszku na pałeczkę kosmetyczną. Uniosłam ją do góry.

- Myślę, że ten kolor idealnie będzie pasował do twoich oczu. Będziesz wyglądać jak gwiazda filmowa.

Madison zrobiła krok w moją stronę. Podążyła wzrokiem za pałeczką, którą przyłożyłam do jej twarzy.

- Zamknij oczy - poprosiłam. Zamknęła je.

Rozprowadziłam cienie na jej powiekach.

- Nie chcę kłaść za dużo - kontynuowałam - bo będziesz wyglądać jak pani Shrek.

Madison zachichotała. Po nałożeniu cieni, musnęłam jej rzęsy tuszem. A na koniec pomalowałam jej usta jasnoróżową szminką.

- Jesteś taka śliczna - zachwyciłam się nią. - Za kilka lat wszyscy chłopcy w twojej klasie będą padać przed tobą na kolana.

Madison zrobiła minę.

- Chłopcy są do kitu - powiedziała.

Uśmiechnęłam się do niej, potem odwróciłam ją, żeby mogła się przejrzeć w lustrze.

Nic nie powiedziała, jedynie mały uśmieszek pojawił się na jej ustach.

- Hej, pozwól mi nakręcić filmik - błyskawicznie wyciągnęłam telefon. - Poza.

Madison zaprezentowała swój repertuar min scenicznych. Szczęśliwa. Smutna. Rozgniewana. Przerażona. Oraz gwóźdź programu - zakochana do szaleństwa. Obie się śmiałyśmy.

Kiedy przeczesując swoje długie włosy, wychodziła z łazienki, doznałam nagłego przyływu ciepłych uczuć do niej. Biedne maleństwo. Jakie miała szanse przy całkowicie porąbanych rodzicach i siostrze takiej jak Shelby?

Mój telefon zabrzączał, kiedy pakowałam cienie, tusz i szminkę do uroczej kosmetyczki, którą kupiłam dzień wcześniej. Myślałam, że to Jam wysłał mi SMS tuż przed położeniem się do łóżka.

Otworzyłam wiadomość, zupełnie nieprzygotowana na to, co miałam za chwilę zobaczyć. Jedna linijka. Cztery słowa.

Tylko spróbuj podkablować suko.

Wstrzymałam oddech.

Shelby. To musiała być ona. Myślałam o wparowaniu do jej pokoju i spoliczkowaniu jej. Serce waliło mi ze strachu. I ze złości.

Potem stwierdziłam, że nie była tego warta.

Skasowałam wiadomość i wsunęłam komórkę z powrotem do kieszeni spodni. Wyszłam z łazienki. Nikt nawet by się nie zorientował, że się czymś przejmowałam.

### 31. Kazanie

Przestałam rozmawiać z Shelby i znalazłam mnóstwo wymówek, żeby unikać Annie. Jeżeli nie dzwoniłam do Jama albo do adwokata Mamy i Taty, przebywałam na „Josephine May” z Samem i Madison.

Pewnego dnia Sam zabrał mnie do swoich rodziców. Byłam przerażona tym spotkaniem. Co prawda kilkoro przyjaciół Sama i Annie wpadało do domu i wypadało z niego, ale oni wszyscy raczyli mnie tym samym pełnym rezerwy uśmiechem, jak gdybym była jakąś bombą, która mogłaby wybuchnąć im prosto w twarz. Nie zależało mi na nich. Ale rodzice Sama to co innego - byli moimi dziadkami. Byli moją rodziną.

Chociaż nie mogłam tego przyznać przed Samem i Annie, to rzeczywiście chciałam ich poznać. Chciałam wiedzieć, jacy są.

- Annie mówi, że nie powinniśmy naciskać - powiedział Sam. - Ale twoja babcia i dziadzio bardzo chcą cię zobaczyć.

Mieszkali w dużym apartamencie przy nadmorskim bulwarze, niedaleko przystani. Wszystko było na jednym poziomie, ponieważ tato Sama poruszał się na wózku inwalidzkim. Miał udar dwa lata temu.

Kiedy o tym usłyszałam, zaczęłam się denerwować jeszcze bardziej. Może nie jest w stanie mówić poprawnie? Może wygląda dziwnie?

Ale wszystko było w porządku. Otworzył nam drzwi i przyciągnął mnie do siebie, żebym pocałowała go w policzek.

- Widzę, że wyrosłaś na piękną panienkę - powiedział z błyskiem w oku. - Jestem twoim dziadkiem.

Uśmiechnęłam się. Wyglądał zupełnie jak Sam, tyle tylko że miał siwe włosy i zmarszczki. I wcale nie wyglądał na chorego. No, może nieco opadało mu prawe oko i prawa strona twarzy.

Tato Sama wycofał odrobinę swój wózek, a następnie ruszył gwałtownie, przejeżdżając przez duży drewniany korytarz. Przeleciał przez drzwi na samym końcu.

- Gloria! - krzyknął. - Już są!

- Myśli, że prowadzi samochód wyścigowy - Sam potrząsnął głową, a następnie ruszył za nim.

Podążyłam za nim powoli, obawiając się trochę spotkania z jego mamą. Pojawiła się w drzwiach, w tym samym momencie, gdy Sam do nich doszedł. Uścisnęła go.

- Sammy, dziękuję, że ją przyprowadziłeś - spojrzała na mnie przez ramię syna. Była wysoka i miała taki sam kształt nosa jak Sam i Madi, a ubrana była w elegancki jasnozielony kostium.

Stałam w ogromnym przedpokoju, kiedy ona uwalniała się z uścisku Sama. Jej obcasy stukały o drewnianą podłogę, kiedy podchodziła. Wpatrywała się we mnie przez kilka sekund.

Poczułam ten sam przyływ wspomnień - jak wtedy, gdy patrzyłam na małego króliczka.

Miała ciemnobrązowe, głębokie i inteligentne oczy.

- Pamiętasz mnie, prawda? - zapytała.

Podeszła bliżej i przyciągnęła mnie do siebie, obejmując. Stało się to tak szybko, że nawet nie miałam czasu, żeby się zdenerwować. Potem wzięłam oddech. Głęboki zapach kwiatowy. I znowu, zupełnie niespodziewanie przeniosłam się do czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. To było wszechogarniające uczucie. Zupełnie jak moje wspomnienia kobiety z plaży.

Ten zapach oznaczał, że jestem przez kogoś kochana.

Serce zaczęło bić mi szybciej, a łzy napłynęły do oczu. Mama Sama przytuliła mnie mocniej.

- Już dobrze, dobrze - wyszeptała, poklepując mnie po plecach. - Nie dziwię się, że mnie pamiętasz. Często zajmowałam się tobą, kiedy byłaś malutka.

Ku mojemu kompletnemu zakłopotaniu, łzy spłynęły mi po policzkach. Mama Sama odsunęła mnie od siebie i uśmiechnęła się.

- I o to chodzi! - powiedziała. - Nie trzeba się wstydzić łez. Pozwól sobie na to - pogłaskała mnie po głowie. - Myślę, że będzie ci trochę nieswojo nazywać mnie babcią tak od razu, więc może będziesz po prostu mówiła do mnie Gloria?

Pociągnęłam nosem i pokiwałam głową, wycierając twarz. To było dziwne. Nie chciałam płakać, ale nie miałam też w ogóle nic przeciwko temu, żeby mnie tak przytulała. To było takie naturalne - jak Madison, kiedy mnie obejmowała.

Dlaczego z Annie tak nie było?

Gloria mrugnęła do mnie porozumiewawczo, potem odwróciła się do Sama. Przyglądał się nam z otwartymi ustami.

- Sammy, zamknij usta i zachowuj się - zażartowała. - Między Lauren i mną zawsze istniała wyjątkowa więź. Mówiłam Annie, że wszystko będzie dobrze.

Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła do ogromnego pokoju dziennego z dużymi oknami. Tato Sama zaparkował swój wózek inwalidzki obok długiego, niskiego stolika. Uśmiechnął się do mnie.

Gloria wysłała Sama, żeby przygotował kawę. Później poprosiła, żebym usiadła przy niej na kanapie.

- To - powiedziała - że jesteśmy z sobą spokrewnione, nie oznacza, że wiemy coś na swój temat. Dlatego chcę, żebyś mi opowiedziała o sobie. Zaczynij od ważnych rzeczy. Czy masz chłopaka w Wielkiej Brytanii?

Zaczerwieniłam się. Tato Sama zachichotał.

- To oznacza, że tak - powiedział.

- Dobrze, kontynuujmy - ciągnęła Gloria. - Czy jest urodziwy? Tak się mówiło o mężczyznach za moich czasów.

Zaczerwieniłam się jeszcze bardziej. Nie mogłam uwierzyć, że ci ludzie byli moimi dziadkami. Mówili o chłopcach i tego typu sprawach, jak gdyby to była najnormalniejsza rzecz w świecie. Przecież muszą być już wiekowi. Co najmniej sześćdziesięcioletni.

Gloria pozwoliła sobie na salwę śmiechu.

- Więc urodziwy młodzieniec. Tęsknisz za nim, dobrze myślę?

Spojrzałam przez okno na morze. Pokiwałam głową. Gloria poklepała mnie po ręce.

- A za swoją mamą i tatą z Anglii? Przełknęłam ślinę, tłumiąc szloch. Kiwnęłam głową ponownie.

- Opowiedz mi o nich - poprosiła.

Spojrzałam na nią. Jej oczy były błyszczące i życzliwe, a nie pazerne jak oczy Annie. Jak gdyby chciała mnie poznać, ale była pewna, że wszystko przyjdzie w swoim czasie.

Polubiłam ją. Opowiedziałam jej o Mamie i Tacie. Słuchała, nie spuszczając ze mnie wzroku, tylko przytakiwała co jakiś czas. Opowiadałam i opowiadałam. O tym, jak bardzo zdenerwowało mnie to, co zrobili, ale także i o tym, jak bardzo teraz za nimi tęsknię.

Opowiedziałam jej o rzeczach, o których nawet nie pisnęłabym Annie albo Samowi. O szybko postępującej sprawie przeciwko Mamie i Tacie. O tym, że pan Sanchez powiedział mi, że Taylor Tarsen poszedł z sądem na pewien układ, co oznaczało, że dostanie lżejszą karę za ujawnienie informacji obciążających innych ludzi zaangażowanych w porwanie.

- I teraz mówi, że Mama i Tato wiedzieli o tym, że Sonia mnie porwała - skarżyłam się, słowa płynęły ciurkiem. - On twierdzi, że rodzice zaoferowali mu pieniądze za podrobienie

czeków i dokumentów adopcyjnych. Ale on kłamie, a ja tak się martw...

Spostrzegłam Sama zmierzającego w naszym kierunku przez korytarz. W rękach trzymał tacę z filiżankami kawy. Spuściłam wzrok.

Gloria zasznurowała usta i też już nic nie powiedziała. Ścisnęła moją rękę, potem z gracją zeszła na temat łódki Sama.

Wypiliśmy kawę, potem wstaliśmy, żeby się pożegnać. Sam wytłumaczył mi, że chociaż jego tato wyglądał dobrze, to jednak łatwo się męczył i potrzebował odpoczynku. Kiedy się z nim żegnałam, zauważyłam, że Gloria pilnie szeptała coś Samowi do ucha.

W drodze powrotnej chciałam go zapytać, czy Gloria powiedziała coś o mnie. Ale Sam był wyjątkowo nieobecny - pogrążony we własnych myślach. Na początku zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zrobiłam czegoś, czym mogłabym go zdenerwować. Ale kiedy wróciliśmy do domu, jego nastrój się zmienił. A pod koniec dnia już o wszystkim zapomniałam.

Kolejnym dniem była sobota - środek listopada, dwa i pół tygodnia, od kiedy przybyłam do rodziny Purditt. Czułam się lepiej niż jeszcze kilka dni wcześniej; nie mogłam się doczekać, żeby opowiedzieć Jamowi o spotkaniu z dziadkami. Dobrze byłoby, żeby chociaż raz usłyszał coś pozytywnego. Od czasu SMS - a od Shelby dzwoniliśmy do siebie po kilka razy dziennie, aż zaczęłam się martwić, czy już mu nie obrzydło to ciągle wysłuchiwanie o tym, jak mi tutaj jest źle.

Nie żeby coś kiedykolwiek powiedział. Zawsze był kapitalny.

- Trzymaj się tam jakoś - mówił. - Zobaczymy się wkrótce.

Nie wyobrażałam sobie, jak by się to miało stać, ale po prostu kochałam ten stanowczy ton, jakim to mówił.

W tę właśnie sobotę w każdej sekundzie spodziewałam się, że zadzwoni. Zazwyczaj pisał do mnie wczesnym popołudniem czasu angielskiego, kiedy wiedział, że właśnie wstawałam. Dzień był śliczny - słońce świeciło mocno na błękitnym niebie, powietrze było rześkie i chłodne. Sam, Madison i ja zeszliśmy na przystań - moje ulubione miejsce w Evanport. Sam bardzo chciał wziąć mnie i Madison po raz ostatni na żagle, zanim wszystko zamarznie.

Zatrzymał się przy sklepie, żeby kupić kilka rzeczy, a Madison i ja poszliśmy w kierunku łódki. W pewnej chwili olbrzymi cień przeciął mi drogę.

- Lauren - powiedział ktoś niskim, szorstkim głosem.

Spojrzałam w górę.

- Glane!

Stał naprzeciwko mnie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, wyglądał na zadowolonego z siebie.

Wiem, że to może się wydawać dziwne, że uważałam go za przyjaciela, choć ledwo się znaleźliśmy. Teraz nie mogłam przestać się do niego uśmiechać. Zarzuciłam mu ręce na szyję.

Uściskał mnie, potem odsunął nieco, przytrzymując mnie za ramiona.

- Pomyślałem, że dobrze byłoby cię odwiedzić - uśmiechnął się promiennie. - No więc jak się sprawy mają?

Madison przypatrywała się nam.

- Madi, powiedz tatusiowi, że poszłam po coś do picia, dobrze?

Pokiwała głową i uciekła.

- Twoja siostra? - zapytał Glane.

Kiwnęłam głową i zaczęłam wolnym krokiem wracać do budki z kawą na molo. Glane szedł obok mnie, stawiając jeden krok przy moich dwóch.

- To co jest nie tak? - zapytał.

Czułam, jak łzy zbierają mi się pod powiekami.

- Wszystko! - wybuchnęłam. - Muszę tu mieszkać z ludźmi, których nie znam. Jam jest tysiące mil stąd. Shelby to straszna świnia. Sam jest w porządku i jego rodzice także są mili, ale Annie jest okropna. Oni nawet nie pozwalają mi zobaczyć się z Mamą i Tatą...

Kiedy doszliśmy do małego stoiska na molo, moje słowa przerodziły się w szloch. Nie było tam prawie nikogo oprócz nas. Jedynie para elegancko ubranych mieszkańców Evanport przy jednym ze stolików kilka metrów od nas.

Wybrałam stolik położony najdalej od nich i czekałam na Glane'a. Podczas gdy on kupował czarną kawę dla siebie i dietetyczną colę dla mnie, przypominałam sobie te wszystkie rzeczy, o których mówił - o tym, jak Jamowi było ciężko bez taty.

Kiedy Glane stawiał szklanki na stole, spojrzałam na niego. Byłam pewna, że zobaczę współczucie w jego oczach.

Ale Glane zmarszczył tylko brwi.

- Nie rozumiem - powiedział. - Dowiedziałaś się, że jesteś zaginionym dzieckiem. To jest to, czego chciałaś, nie?

- Tak - odparłam, czując, jak oczy znowu zaczęły zachodzić mi łzami. - Ale to jest okropne. Nie chciałam, żeby ktoś mnie zabierał od mojej rodziny.

- A jak sobie to wyobrażałaś? Zmarszczyłam brwi. Prawda była taka, że przez cały czas próbowałam tylko dowiedzieć się, czy to ja byłam Martą. Nie wybiegałam aż tak daleko naprzód.

- Chciałam tylko poznać prawdę. Glane podmuchał na swoją kawę.

- No cóż, to teraz już wiesz.

Pochyliłam się, próbując mu to wytłumaczyć.

- Ale Mama i Tato mogą pójść do więzienia.

Glane pokiwał głową.

- Oczywiście, to okropne, że zostali oskarżeni o coś tak strasznego. Widziałem się z nimi - to tacy dobrzy ludzie. Jestem pewien, że zostaną oczyszczeni z zarzutów. To tylko kwestia czasu.

Czułam, jak wpadam w złość.

- A co ze mną? Muszę tu mieszkać z...

- Ze swoją rodziną - przerwał Glane. - Rodziną, która straciła cię na jedenaście lat i którą odszukałaś. Jak myślisz, jak oni się z tym czuli?

Spojrzałam na niego. Dlaczego on tego nie rozumiał?

- Ale oni mnie nie znają. Ani ja ich. Oni nawet myślą, że moi rodzice porwali mnie, jak byłam dzieckiem. Oczekują, że się do nich dopasuję, ale tak się nie stanie. Nie należę do tego miejsca. Chcę wracać do domu.

Glane dopił resztkę swojej kawy. Spojrzał na moją colę, która stała nietknięta na środku stołu.

Przesunął swoim wielkim palcem wskazującym po oszronionej puszcze.

- Nie dostrzegasz tego, co się dzieje w domu.

- Właśnie że dokładnie widzę - odburknęłam. Chcieli z powrotem swoje dziecko, a dostali mnie.

Ludzie z sąsiedniego stolika przyglądali się nam. Podobnie jak pan obsługujący stoisko z kawą. Kątem oka spostrzegłam Madison i Sama zmierzających przez molo w naszym kierunku.

- Lauren - dłoń Glane'a spoczęła na mojej. Była ciepła i szorstka. - Wiem, że jest ci ciężko bez rodziców i takiego chłopaka jak Jam. Ale rodzinie, do której przyszłaś, jest równie trudno. Shelby to ta druga siostra, nie? - pokiwałam głową. - Dla niej to też niełatwa sytuacja. Śliczna starsza siostra pojawia się, kiedy ona właśnie dorasta. Masz sposobność bycia częścią innej rodziny. To jest rzadkie błogosławieństwo.

Spojrzałam na niego, bojąc się otworzyć usta.

- Masz czworo rodziców, którzy cię kochają - kontynuował Glane. - Dlatego możesz należeć do dwóch miejsc jednocześnie.

- Wszystko w porządku, Lauren? - zawołał Sam, który z zaniepokojoną miną zmierzał w kierunku stolika.

Madison przytruchtała do mnie. Przytuliła się do mojego ramienia i wpatrywała się w Glane'a swoimi wielkimi oczami. Uśmiechnął się do niej.

- Właśnie wpadłam na Glane'a - powiedziałam. - Ale już możemy iść.

I bez oglądania się ruszyłam przed siebie.

## 32. Gość

Tak w ogóle to uwielbiałam żeglować. A w szczególności stać na dziobie z Madison i pozwalać, żeby słony wiatr wiał nam prosto w twarz. Ale dzisiaj nic z tego nie wyszło. Czułam się mocno dotknięta po rozmowie z Glanem. Jak śmiał zasugerować, że jestem egoistką? Znalazłam się w beznadziejnej sytuacji, czy on tego nie dostrzegał?

Jakby tego było jeszcze mało, Jam przestał dzwonić. Zupełnie nie mogłam złapać sygnału nad morzem. Po powrocie do domu próbowałam się do niego dodzwonić kilka razy.

Późnym popołudniem byłam już zła na wszystko. Potrzebowałam porozmawiać z Jamem bardziej niż kiedykolwiek. Dlaczego wyłączył swój telefon?

Im było później, tym ja stawałam się coraz bardziej nieszczęśliwa. Może ma nowy numer? A jeżeli tak, to dlaczego mi go nie dał?

Może ma nową dziewczynę?

Aż mnie ukłuło z zazdrości.

Shelby tym bardziej nie pomagała, piorunując mnie wzrokiem cały wieczór.

Dostałam od niej kolejny SMS:

Trzymaj język za zębami albo umrzesz, suko.

W innych okolicznościach bardzo by mnie to zdenerwowało. Ale szczerze mówiąc, nie odczuwałam nic poza pogardą dla niej. Miałam ochotę przepisać Glane'owi SMS - a od Shelby, a później zadzwonić do niego i zapytać, czy teraz już widzi, jaka ona jest.

Ale byłam zbyt dumna, żeby to zrobić. Więc w zamian tego odpisałam Shelby. To była bardzo krótka wiadomość, właściwie to tylko dwa wyrazy. Pierwszy zaczynał się na „o”, a drugim było „się”.

Ale wcale mi to nie poprawiło nastroju.

Nie mogłam spać. Troska o Mamę i Tatę mieszała się z frustracją z powodu zachowania Glane'a i milczenia Jama.

Po dwóch godzinach przewracania się z boku na bok zdecydowałam, że zrobię sobie filiżankę gorącej czekolady. Widziałam, jak Annie ją przygotowywała. Dwie czubate łyżeczki tej pysznej czekolady w proszku z odrobiną wody wymieszane w kubku, a to wszystko zalane gorącym spienionym mlekiem.

Zeszłam cichutko do kuchni. Miałam właśnie spienić mleko małym ręcznym mikserem, kiedy usłyszałam hałas na zewnątrz, przy tylnym wejściu.

Zamarłam.

Kuchnia miała kształt kwadratu, okna znajdowały się na dwóch przeciwnych ścianach, szerokie rozsuwane drzwi wychodziły na ogród za domem. Spojrzałam w kierunku miejsca, z którego, jak mi się wydawało, ów hałas dochodził. Jedyne, co mogłam dostrzec, to sylwetki kołyszących się drzew na tle nocnego nieba.

Wyłączyłam światło i kiedy kuchnia pogrążyła się w ciemnościach, niska, przygarbiona postać przemknęła za tylnymi drzwiami. Serce waliło mi jak młotem. Zdawała się być za niska na człowieka, ale z kolei zbyt zwalista na kota albo lisa. Może to był niedźwiedź? Mały niedźwiedź. Czy niedźwiedzie mogłyby zejść tak daleko w głąb miasta? Nie miałam zielonego pojęcia.

Postać stanęła. To był jednak człowiek. W kapturze. Wstrzymałam oddech, byłam zbyt przerażona, żeby zacząć krzyczeć.

I gdy otworzyłam usta, postać ściągnęła kaptur z głowy i uśmiechnęła się do mnie.

To był Jam.

Kubek spienionego mleka o mało co nie wyslizgnał mi się z dłoni. Postawiłam go na blacie kuchennym, a potem

pośpiesznie ruszyłam w kierunku drzwi. Pokazywał mi na migi, żebym wzięła klucze i otworzyła drzwi.

Rozejrzałam się dookoła. Mama zawsze wieszała klucze na haku w jednej z szafek kuchennych. Nie oczekiwałam, że Annie mogłaby być tak zorganizowana.

Odsuwałam jedną szufladę za drugą, starając się nie narobić zbyt dużo hałasu, grzebiąc wśród listów, rachunków i rozmaitych katalogów, których Annie najwyraźniej nie mogła się pozbyć.

Nic.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Gdzie one mogły być? Tam! Leżały na półce z książkami nieopodal drzwi.

Ręce mi drżały, kiedy dopasowywałam trzy kolejne klucze do pięciu różnych zamków w drzwiach.

Jam odsunął się od drzwi, obserwując mnie. Byłam nieuczesa. Nie miałam na twarzy żadnego makijażu. I nawet nie wyczyściłam zębów przed pójściem do łóżka.

W końcu szarpnięciem otworzyłam drzwi. Poczułam podmuch ostrego, zimnego powietrza. A potem tylko Jama przyciągającego mnie do siebie. Jego zimne ręce na mojej twarzy. Jego gorące usta na moich wargach.

Wszystko odeszło w zapomnienie. On był tutaj. Był ze mną. Był mój.

- Co ty tutaj robisz? - wyszeptałam.

Wszedł do środka i zamknął cichutko drzwi.

- Nie mogłem już tego znieść - powiedział. - Byłaś taka nieszczęśliwa i byliśmy tak daleko od siebie. Musiałem wrócić. Żebyśmy mogli być razem.

Zrobiłam wielkie oczy. Ale... Ale... Myśli przelatywały mi przez głowę. - Jak się tutaj dostałeś? - wyjąkałam.

- Dwa dni temu mama zlikwidowała moją komórkę. Powiedziała, że rachunki stały się zbyt wysokie. I tego było już za wiele! - Jam wzruszył ramionami. - Kupiłem bilet

lotniczy, używając jej konta internetowego. Potem rąbnąłem jej trochę pieniędzy z portmonetki. Ale większość sam zoszczędziłem. Autobus z Boston był naprawdę tani - zaczerwienił się. - Wiem, że źle zrobiłem, ale oddam jej, jak tylko będę mógł.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? - objęłam go.

Ogarnęło mnie takie wspaniałe uczucie. On to wszystko zrobił po to, żeby być ze mną.

Jam uśmiechnął się - wyglądał tak słodko. Serce zabiło mi mocniej.

- Pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę - powiedział. Potem jego uśmiech znikł.

- Czy jesteś pewna, że to jest to, czego chcesz? Spojrzałam na niego.

- Co niby jest tym, czego miałabym chcieć? Usłyszałam kroki na piętrze.

Rzuciłam się do drzwi kuchennych i spojrzałam w kierunku schodów, pokazując Jamowi, żeby był cicho.

Nasłuchiwalismy uważnie przez kilka chwil. Naszych uszu dobiegł szum wody w toalecie i odgłos kroków kierujących się z powrotem do pokoju.

Jam objął mnie.

- Jeżeli teraz wyruszymy, będziemy wiele mil stąd, zanim ktokolwiek się zorientuje - wyszeptał.

Zrobiłam wielkie oczy. Od strachu i podekscytowania zakręciło mi się w głowie.

- Jam - powiedziałam nerwowo - wytłumacz mi dokładnie, co chcesz, żebyśmy zrobili.

Jam zmarszczył brwi.

- Chcę, żebyśmy stąd uciekli! Uciekli razem, oczywiście.

### 33. Na przystani

- Ale dokąd uciekniemy? - zapytałam.

- Wszystko już przemyślałem - Jam zmierzwił palcami włosy. - Będziemy zmierzać w kierunku Zachodniego Wybrzeża. Ameryka jest ogromna. Wtopimy się w nią. Znajdziemy pracę. Wynajmiemy mieszkanie.

- Ale my jesteśmy za młodzi - wyjąkałam. - No i nie mamy pieniędzy.

Jam rozwiął moje wątpliwości ruchem ręki, który przypomniał mi o Carli.

- Ludzie już tak robili. My też tak możemy, Lauren. Jeżeli mamy siebie nawzajem, to możemy.

Obróciłam się i ponownie zaczęłam zamykać już zamknięte drzwi.

Jam podszedł do mnie i objął mnie w pól.

- Nienawidzisz tego miejsca. Na mnie też w domu nic nie czeka. To znaczy, mój tato nie jest... - jego głos załamał się. - A... a mamy w ogóle nie obchodzi. Ona już bardziej troszczy się o te swoje cholerne świece - obrócił mnie twarzą do siebie. - Jeżeli wyruszymy w nocy, będziemy już daleko stąd, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Żołądek podszedł mi do gardła. Chciałam z nim iść. Ale teraz jeszcze było na to za wcześnie.

- Nie dzisiaj - powiedziałam.

- Dlaczego nie? - usłyszałam zdziwienie i podejrzliwość w głosie Jama. - Nie chcesz się stąd wyrwać?

- Oczywiście, że chcę, ale... ale będzie lepiej, jeżeli zaoszczędzimy więcej pieniędzy. Jutro dostanę moje kieszonkowe. Może poproszę o jakieś dodatkowe pieniądze na coś tam.

Jam odwrócił wzrok. Popatrzył na karton mleka, który zostawiłam przy lodówce.

- A co ze mną?

- Chodź do mojego pokoju - powiedziałam. - Możesz się tam ukryć. Zjesz coś. Odpoczniesz.

Pokiwał głową.

Złapałam karton mleka i bochenek chleba z kuchni, a potem poprowadziłam Jama schodami na górę.

Wstrzymałam oddech, kiedy mijałam pokój Shelby, a potem Annie i Sama. Okazało się jednak, że wszyscy pogrążeni byli w głębokim śnie.

Wślizgnęliśmy się do pokoju i zamknęliśmy drzwi. Jam rozejrzał się dookoła, zdejmując kurtkę.

- Swego rodzaju dziecinny, nieprawdaż? - wyszeptał, powstrzymując ziewanie.

- Nic się tu nie zmieniło, od kiedy byłam mała. Pokiwał głową, potem oderwał kawałek chleba i wepchnął go sobie do ust.

Podeszłam do szafy wnękowej i ściągnęłam z półki zapasowy koc.

- Będzie lepiej, jeżeli prześpisz się tutaj. Na wypadek gdyby ktoś przyszedł z samego rana.

Jam przełknął kęs chleba.

- Nie jestem zmęczony - uśmiechnął się. - Hej! A co, jeżeli będę musiał zrobić siusiu?

Rozejrzałam się dookoła. Chwyciłam wazon pełen świeżych kwiatów, który Annie umieściła na półce obok książeczek. Wyciągnęłam kwiaty i podałam mu go.

- Użyj tego.

Uniósł brwi, wziął wazon i zniknął w garderobie. - Zaraz wracam.

Przemierzałam pokój tam i z powrotem, kręciło mi się w głowie.

Chciałam być z Jamem. Niczego w życiu nie pragnęłam bardziej. Ale... byłoby czymś złym opuścić teraz Mamę i Tatę, podczas gdy oni tak bardzo martwią się i są przerażeni tym, co

przyniesie sprawa, która toczy się w sądzie. I czy naprawdę byłoby w porządku, gdyby Annie straciła mnie po raz drugi? A do tego jeszcze Sam. I jego rodzice. No i przede wszystkim Madison.

Po chwili dotarło do mnie, że Jam nie wrócił jeszcze z garderoby. Porzuciłam na moment rozmyślanie.

- Jam? - wyszeptałam. - Jam?

Cisza. Wyjrzałam zza drzwi. Jam siedział wtulony w jedną z poduszek, w ręce nadal trzymał kawałek chleba.

Przykucnęłam obok niego i odsunęłam kosmyk włosów z jego czoła. Kiedy delikatnie pociągnęłam go na podłogę, jego konsola do gier wysunęła się z kieszeni spodni. Podniosłam ją i obróciłam. W dalszym ciągu było na niej sześć nacięć.

Jak to możliwe, że jego tato nie chce go widywać?

Przez sekundę wyobraziłam sobie, jak bardzo musiało go to boleć.

Zasmuciło mnie to. I zdenerwowało.

Pogłaskałam Jama po twarzy. Później podłożyłam mu pod głowę poduszkę, przykryłam kocem i położyłam się spać.

Madison często przychodziła do mnie z samego rana. Czasami przynosiła mi szklankę soku pomarańczowego, innym razem książkę, którą chciała się pochwalić, niekiedy bransoletkę lub kolczyk, który sama zrobiła na zajęciach plastycznych.

Dzisiaj to był narysowany przez nią obrazek. Szeleściła nim, gdy próbowała mnie budzić, potrząsając mną delikatnie.

- Lauren, Lauren - szeptała. - Obudź się.

Otworzyłam oczy.

Jej twarz była zaledwie kilka centymetrów od mojej. Jej oczy wyglądały jak ogromne guziki.

- W twojej garderobie jest chłopiec. Usiadłam na łóżku i spojrzałam w tamtym kierunku. Drzwi były otwarte. Dostrzegłam stopy Jama wystające spod koca.

- Niczego nie dotykałam, tylko patrzyłam na twoje rzeczy  
- Madison powiedziała z niepokojem. - Myślę, że on śpi. Może powinniśmy zawołać mamę i tatę?

- Nie - wyszeptałam. - Wszystko w porządku. Jam jest moim przyjacielem. Przyjechał wczoraj wieczorem. Ja... nie chciałam nikogo budzić, bo było już późno.

- Czy on jest twoim chłopakiem?

Spojrzałam na rysunek, który przyniosła Madison. Był kolorowy i przedstawiał ją i mnie na dziobie „Josephine May”.

- Można tak powiedzieć. Ale on mieszka w Anglii - spojrzałam na nią. - Myślimy, żeby stąd wyjechać. Dlatego ważne jest, żebyś nikomu nie mówiła, że go tutaj widziałas.

- Ale nie wyjedziesz na długo, prawda? - usta Madison zadrżały. - Zaraz po Święcie Dziękczynienia są moje urodziny i mama chce zrobić wielką zabawę, ale ja tylko chcę iść z tobą do kina - nachyliła się niżej i wyszeptała mi do ucha: - Możesz nawet wybrać film, na który pójdziemy, jeśli chcesz.

Poczułam zapach jej słodkiego, truskawkowego oddechu.

Uczucie ogromnej, opiekuńczej miłości szarpnęło moim sercem. Przez jedną krótką chwilę wyobraziłam sobie, jak Jam i ja zabieramy z sobą Madison. Jednak ułamek sekundy później wszystko legło w gruzach, kiedy uświadomiłam sobie, że taka możliwość po prostu nie istnieje.

Wniosek więc nasuwał się tylko jeden.

Nie mogłam jej opuścić.

- Nic się nie martw - pójdziemy tylko na przystań. Ty także możesz z nami iść.

- Co? - nawet nie zauważyłam, kiedy Jam wyłonił się z garderoby. Stał tuż przy moim łóżku. Madison przysunęła się bliżej mnie, gdy Jam zmarszczył brwi i przygładził zmierzwiłone włosy. - O czym ty mówisz?

- Jam, to jest Madi - powiedziałam - moja siostra. Jam uraczył ją swoim słodkim uśmiechem. Cała byłam w skowronkach.

Zawahałam się przez sekundę. Czy ja byłam niespełna rozumu, biorąc pod uwagę możliwość odrzucenia jego propozycji?

- Nie możemy tutaj rozmawiać - wskazałam na zegarek. - Jest dziewiąta rano. Nie będzie teraz wielu ludzi na przystani. Jest zbyt zimno. To dobre miejsce, żeby wszystko przedyskutować.

Jam błędnym wzrokiem po mojej twarzy, ale nic nie powiedział. Pokiwał tylko głową.

- W porządku.

Łatwo było wymknąć się z domu. Madison trzymała straż przy schodach, podczas gdy ja i Jam kierowaliśmy się przez pokój dzienny w stronę frontowych drzwi. Kiedy mijaliśmy kuchnię, usłyszałam głos Annie.

- Cały bochenek chleba, Sam... Nie sądzisz chyba, że jest bulimiczką?

Przystań była pokryta szronem. Trzaskało nam pod stopami, jakbyśmy przechodzili po gigantycznej paczce chipsów.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Madison w podskokach ruszyła przodem. Patrzyłam na włosy falujące jej na plecach. Prawie nikogo tu jeszcze nie było. Elegancko ubrany mieszkaniec Evanport, prowadzący na smyczy małego puszystego teriera szkockiego, i jakaś para spacerująca w oddali, opatulona w czapki i szaliki. Było coś znajomego w sposobie poruszania się tej kobiety, ale byłam zbyt pochłonięta czymś innym, żeby głębiej się nad tym zastanowić.

Stoisko z kawą było zamknięte, ale metalowe stoły i krzesła były rozłożone. Jam i ja usiedliśmy przy tym samym stoliku, przy którym wczoraj rozmawiałam z Glanem.

- No więc o co tutaj chodzi, Lauren? - Jam spojrzał na mnie surowo. - Pojechałem z tobą, kiedy ty mnie o to poprosiłaś. Dlaczego teraz nie chcesz wyjechać ze mną?

- Chcę - odpowiedziałam. - Chcę być z tobą. Chcę tego bardziej niż cegokolwiek innego. Tylko że...

Mój telefon zabrzączał. Zignorowałam go.

- Tylko że?

- To nie jest takie proste. Mama i Tato mogą zostać skazani za coś, czego nie zrobili. Muszę być przy nich.

- Dlaczego? - Jam zmarszczył brwi. - Z tego, co pamiętam, w Londynie nigdy nie przestawałaś na nich narzekać. Doprowadzali cię do szału.

- Wiem, ale teraz to się zmieniło - jak miałam mu to wytłumaczyć? Nie wiedziałam, że będę się tak czuła, kiedy ktoś mnie siłą od nich zabierze. - Ale to nie tylko o to chodzi. Jest jeszcze Annie i Sam. Oni stracili mnie na jedenaście lat. Nie mogę tak po prostu teraz od nich odejść.

Co ja wyprawiałam?

Ścisnęło mnie w żołądku.

- Pozwól mi się nad tym zastanowić - wzięłam go za rękę. Była zimna. - Może Annie i Sam pozwolą ci tutaj zostać, kiedy powiemy im, co do siebie czujemy.

Jam wyrwał rękę z mojego uścisku.

- Och! Dorośnij, Lauren! Nie będę wchodził z butami w czyjeś szczęśliwe życie rodzinne - wstał dokładnie wtedy, gdy mój telefon ponownie zabrzączał.

Zerknęłam na niego.

- Kto to? Twój nowy chłopak? - odburknął Jam. Nic nie odpowiedziałam. Nawet do mnie nie dotarło, że odwrócił się i odszedł.

Wpatrywałam się w wiadomość na wyświetlaczu komórki.  
Łódka. Teraz. Albo twoja siostra umrze.

### 34. Poszukiwania Madison

Czy to była Shelby? Czy to jej pomysł, żeby mi zrobić taki głupi żart? Zerknęłam na przystań. Tak daleko, jak mogłam dostrzec, była zupełnie wyludniona. To w takim razie gdzie była Madison?

Jam w dalszym ciągu szedł w drugą stronę. Prawie doszedł do miejsca, gdzie przystań się kończyła, a zaczynał rząd sklepów. Kilku kupujących już przechadzało się po deptaku.

- Jam! - wrzasnęłam za nim. Ktoś spojrział na mnie ze zdziwieniem, ale Jam się nie odwrócił. - Jam, proszę!

Stałam tak przez chwilę, rozdarta wewnątrz. Jam zniknął za sklepem z napisem: „Sprzęt wędkarski”.

- Jam! - wrzasnęłam ponownie. - Proszę! Straciłam zapach. Nie mogłam biec za nim. Musiałam znaleźć Madison.

Obróciłam się i pognałam wzdłuż moła w kierunku łodzi. Byłam pewna, że to Shelby wysłała tę wiadomość.

- Głupia, głupia krowa - mruczałam pod nosem. Przysięgałam sobie, że gdy wrócę do domu, osobiście wejdę do jej głupiej garderoby i podepczę wszystkie jej głupie ubrania.

Gdy zatrzymałam się przy łodzi, było niesamowicie cicho.

- Madi? - zawołałam. - Jesteś tutaj?

Cisza.

Weszłam na pokład. Oczywiście nikogo nie było na rufie. Dziadostwo. Miałam na sobie brązowe buty z kolczastymi obcasami. Sam chyba by mnie zabił, gdyby wiedział, że chodzę w nich po pokładzie. Przeszłam na paluszkach przez pokład. Nie mogłam niczego dostrzec przez okna. Serce waliło mi jak młotem. Czy Sam zazwyczaj zostawiał zasłonięte zasłony?

Nikogo nie było na dziobie, więc wróciłam z powrotem na rufę. Drewno przy haku, na którym Sam zazwyczaj zakładał

kłódkę, było rozłupane. Ktoś się włamał do środka. Czy Shelby mogłaby to zrobić?

Zawahałam się. Może powinnam pójść po pomoc? Chwilę potem wyobraziłam sobie szyderczy uśmiezek na tryumfującej twarzy Shelby, kiedy okazałoby się, że wszystko to było potwornym żartem.

Zaciskając zęby, otworzyłam drzwi i spojrzałam w dół na schody znajdujące się naprzeciwko mnie. Bezpośrednio pod nimi znajdowało się miejsce, gdzie Sam trzymał wszystkie mapy i wyposażenie nawigacyjne. Po lewej stronie było niewielkie pomieszczenie z kuchenką, minilodówką i szafką. Za pomieszczeniem kuchennym znajdował się salon, a w nim kanapa i telewizor.

Nie mogłam dostrzec, co było w ciemnych kątach. Chcąc się jednak przekonać, zeszłam po schodkach.

- Shelby? Madi? - mój głos odbił się tylko chrapliwym echem. Nie słyszałam nic oprócz odgłosu wody chlapiącej delikatnie o kadłub kołyszącej się łódki.

Zaschło mi w ustach. Przeszłam przez pomieszczenie kuchenne i wyciągnęłam rękę w kierunku włącznika światła. Ale żarówka się nie zapalała.

- Jeśli to jakiś kawał, Shelby, to cię zabiję! Weszłam do salonu. Przynajmniej mogłam tam odsunąć zasłony. Zrobiłoby się jaśniej.

Usłyszałam hałas dochodzący z kąta. Obróciłam się gwałtownie. Czy to był czubek buta? Wpatrywałam się w ciemność, z której nagle wyłonił się jakiś mężczyzna. Na jego twarzy był wyraz determinacji.

Otworzyłam usta, żeby krzyknąć, ale jego ręka w skórzanej rękawicy objęła moje usta i nos. Obrócił mnie tyłem do siebie, krzyżując moje ręce na plecach.

- Cicho bądź! - rozkazał.

Przeciagnął mnie przez pomieszczenie kuchenne na tyły łodzi, gdzie znajdowały się sypialnie. Szamotałam się, ale on trzymał mnie mocno, wyginając moją rękę. To bolało. Wydałam stłumiony okrzyk. Mężczyzna kopnięciem otworzył drzwi do większej sypialni. Wepchnął mnie do środka. Potknęłam się i upadłam.

Podniosłam wzrok.

Na łóżku leżała Madison z buzią oklejoną taśmą. Obok niej siedziała Sonia Holtwood.

### 35. Powiązania z przestępstwem

Usta Sonii wykrzywiły się w chłodnym, szyderczym uśmiechu. Ponownie zmieniła swój wygląd - ogromne rude loki opadały ciężko wzdłuż jej twarzy, która teraz wyglądała na bardziej pociągłą i szczuplejszą niż poprzednio.

- Cześć, Lauren! - powiedziała.

Zerknęłam na Madison. Próbowwała usiąść, ale Sonia Holtwood przez cały czas przyciskała ją do łóżka.

Czułam, jak wzmaga we mnie wściekłość zupełnie zagłuszająca strach. Próbowiałam podejść do Madi, ale mężczyzna, który cały czas trzymał moje ręce skrzyżowane na plecach, po raz kolejny szarpnął je i znów poczułam ból. Odrzuciłam nogę gwałtownie w tył i dźgnęłam go moim spiczastym obcasem w krocze.

- Aaa! - ryknął. Poluzował uścisk na tyle, że mogłam się wyrwać. Dostoczyłam do Madison i postawiłam ją na nogi. Potem obróciłam się i zastygłam w bezruchu, szukając wzrokiem wyjścia z pokoju.

I wtedy uświadomiłam sobie, w jak beznadziejnej byliśmy sytuacji. Znajdowałyśmy się w najgłębiej położonej części łodzi. Małe okienko wysoko na ścianie, po lewej stronie łóżka, wychodziło na otwartą wodę. Nad łóżkiem był luk zamykany na kłódkę. Jedyne wyjście na zewnątrz prowadziło przez drzwi, przed którymi właśnie stał mężczyzna. Był skulony, wyraźnie cierpiał z powodu dźgnięcia obcasem.

Poczucie satysfakcji zniknęło, kiedy mężczyzna się wyprostował; na jego twarzy malowała się wściekłość. Podszedł do mnie z uniesioną do góry pięścią.

Zasłoniłam Madison i zamknęłam oczy, oczekując na cios. Nic się jednak nie wydarzyło.

Odważyłam się otworzyć oczy. Sonia Holtwood stała naprzeciwko mnie i trzymała się pod boki.

- Powiedziałam ci, Frank. Musimy to tak zrobić, żeby wyglądało na wypadek. Żadnych śladów po sznurze. Żadnych siniaków.

Nozdrza Franka rozszerzyły się i opuścił rękę.

- Świetnie - powiedział z grymasem niezadowolenia. - Włączę silnik.

Wyszedł zamaszystym krokiem. Poczułam, jak dłoń Madison wciska się w moją. Ścisnęłam ją, nie spuszczając nawet na moment wzroku z Sonii Holtwood.

Skinęła na mnie głową.

- Siadaj.

- Co z nami zrobisz? - przyciągnęłam Madison bliżej siebie i delikatnie usunęłam taśmę z jej twarzy.

- No cóż - Sonia powiedziała bez troski - to kwestia priorytetów. A dla mnie najważniejszą sprawą jest to, żeby nie trafić do więzienia.

Madison przytuliła się do mnie jeszcze bardziej. Wtedy poczułam swoją komórkę w kieszonce dzinsów. Spojrzałam na Sonię.

- Co masz na myśli?

- Nie zostanę wysłana do więzienia, jeżeli nikt mnie nie zidentyfikuje - kontynuowała. - A są tylko dwie osoby, które tak naprawdę mogą to zrobić.

- Ja i Jam? - przesunęłam się odrobinę, tak by Madison zupełnie zasłoniła Sonii widok na kieszeń moich spodni. Wsunęłam palce do kieszonki i wyczułam płaską krawędź telefonu.

Z zewnątrz dochodził odgłos kroków Franka i liny uderzającej o pokład.

- Tak - powiedziała Sonia. - Ty i ten chłopiec. Widzisz, szukają mnie w związku z uprowadzeniem ciebie po raz drugi, ale nic nie łączy mnie z pierwszym porwaniem za wyjątkiem

drugiego, i nic nie łączy mnie z drugim za wyjątkiem was dwojga.

Chwyciłam komórkę i zaczęłam delikatnie wyjmować ją z kieszeni.

- Zauważyłam, że moje SMS - y ci nie przeszkadzały - kontynuowała. - No więc pomyślałam, że następnym krokiem będzie małe zastraszenie świadka.

Więc SMS z „suką” był od Sonii, a nie od Shelby.

Zdołałam już prawie wyjąć komórkę, musiałam tylko sprawić, żeby Sonia mówiła dalej i nie zwracała uwagi na to, co robię.

- Skąd wzięłaś mój numer? Sonia uśmiechnęła się.

- Kiedy zajmujesz się handlem tożsamościami, włamanie się do bazy danych operatora to bułka z masłem.

Spoconą dłonią dotykałam komórki.

- Handel tożsamościami? Sonia pokiwała głową.

- Daję ludziom nowe życia. Sobie również. Mogę być, kimkolwiek zechcę. Nikt mnie nie wytropi.

- A co z Taylorem Tarsenem? I wszystkimi papierami dotyczącymi Sonii Holtwood?

- Taylor nic na mnie nie ma - Sonia uśmiechnęła się szyderczo. - Rozmawialiśmy, prowadziliśmy interesy, jak najbardziej. Ale spotkaliśmy się tylko jeden raz, jedenaście lat temu. Po tamtym spotkaniu miałam operację plastyczną i zmieniłam wszystko w swoim wyglądzie. Bardzo wątpię, czy teraz wskazałby mnie, gdybym stanęła z innymi w jednym rzędzie. Nie używałam imienia i nazwiska Sonia Holtwood przez lata. Jak już powiedziałam, tylko dwoje ludzi może mnie powiązać z całą tą sprawą.

Kiedy silnik zaczął dudnić, udało mi się wreszcie wyciągnąć telefon z kieszeni.

Nie pozostało zbyt wiele czasu.

- No cóż, Jama tutaj nie ma - obróciłam telefon w dłoni i próbowałam wyczuć wypukły guziczek, który wskazywał klawisz z cyfrą pięć. - On w dalszym ciągu będzie mógł cię zidentyfikować.

- Dogonimy go bez problemu - prychnęła Sonia. - Dlaczego odszedł tak nagle?

Zamarłam. Ona nas już wcześniej widziała? I nagle wszystko stało się jasne. Ta para, którą widziałam na przystani... To była Sonia i Frank.

- Bez powodu - powiedziałam szorstko.

Łódka cała się teraz chybotwała w rytm miarowego pyr, pyr, pyr.

Sonia spojrzała w okienko.

Zerknęłam na wyświetlacz. Jasna cholera! Nie ma sygnału! Musiałabym wyjść na pokład.

- Jest mi niedobrze - powiedziałam, ukrywając komórkę w dłoni. - Potrzebuję powietrza.

Sonia odwróciła się w moją stronę. Wskazała na umywalkę w samym kącie sypialni.

Kurczowo trzymając telefon przy brzuchu, podeszłam do umywalki. Nachyliłam się nad nią i ponownie spojrzałam na wyświetlacz telefonu. Wciąż nie było sygnału.

Próbowałam udawać odruch wymiotny.

Teraz łódka poruszała się już szybciej. Czułam, jak podłoga pod moimi stopami się kołysała. Wpadałam w panikę. Im dalej oddalaliśmy się od brzegu, tym szansa na to, że złapię sygnał, malała, nawet na pokładzie.

- Dalej mi niedobrze - skarżyłam się. - Proszę, pozwól mi pooddychać świeżym powietrzem.

- Przestań jęczeć.

Wpatrywałam się w przycisk uruchamiający kamerę. Może i nie mogłam wykręcić numeru alarmowego, ale gdyby udałooby mi się zmusić Sonię, żeby powiedziała, dokąd nas

zabiera... A potem jakoś przekazać komuś telefon, gdy już zejdziemy z łódki...

To było bardzo ryzykowne, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Nachyliłam się raz jeszcze nad umywalką i nacisnęłam przycisk nagrywania.

- Dokąd nas zabierasz? - jęknęłam, w dalszym ciągu trzymając się za brzuch.

- Zamknij się! - Sonia zamaszystym krokiem obeszła łóżko i zbliżyła się do okienka. Otworzyła je. - Proszę bardzo! To teraz już masz trochę powietrza.

Silne podmuchy wiatru oznaczały, że płynęliśmy naprawdę szybko. Tylko w jakim kierunku?

- Mnie też boli brzusek - stęknęła Madison, zwijając się na łóżku. - Naprawdę mnie boli.

- Na litość boską! - Sonia otworzyła drzwi i wrzasnęła w głąb korytarza prowadzącego do salonu.

- Pośpiesz się, Frank! Te dzieciaki doprowadzą mnie do szału!

Spojrzałam na Madison. Ciężko było poznać, czy udawała. Siedziała na łóżku, trzymała się za brzusek i kołysała się do przodu i do tyłu.

Chciałam do niej podejść, ale nie odważyłam się ani zabrać telefonu z sobą, ani zostawić go w umywalce.

Sonia odsunęła się od drzwi i wróciła do Madison.

- Przestań! - ryknęła.

Madison podciągnęła kolana do brzuszka i zaczęła jęczeć jeszcze głośniej i głośniej, przeszywając powietrze swoim krzykiem.

- Zamknij się! - twarz Sonii zrobiła się purpurowa ze złości.

Stojąc plecami do umywalki, przycisnęłam telefon do ciała. Ktokolwiek go znajdzie - jeżeli komukolwiek się to uda

- będzie potrzebował zdjęcia Sonii. Bo tak jak sama powiedziała, nikt oprócz mnie i Jama, a teraz także Madison, nie wie, jak ona wygląda.

Serce waliło mi tak mocno, że myślałam, że eksploduje.

Teraz to już Madison naprawdę płakała. Sonia uniosła ją do góry i trzymając za ramiona, potrząsała nią gwałtownie. Wybuchnęła stekiem przekleństw.

Wierząc, że mam wystarczającą ilość materiału filmowego, położyłam delikatnie telefon w umywalce, a następnie zrobiłam krok w kierunku łóżka.

Płacz Madison osiągnął histeryczny poziom. Potem nagle coś pękło w Sonii. Jej twarz stężała i przybrała kamienny wyraz. Podniosła rękę.

Wtedy zaczęłam wszystko widzieć jakby w zwolnionym tempie.

Pamiętam, że Sonia miała na dłoniach cienkie lateksowe rękawiczki. Widziałam czerwone koniuszki jej długich tipsów.

Cofnęła rękę, a później z wielką siłą uderzyła nią w policzek Madison.

Madison zwała się na podłogę i uderzyła głową o wystającą krawędź półki. Leżała z zamkniętymi oczami.

Nastąpiła cisza.

### 36. Wypadek

Przez sekundę, która trwała całą wieczność, wpatrywałam się w bezwładne ciało Madison. Potem czas ponownie przyspieszył. Rzuciłam się w kierunku łóżka. Odgarnęłam włosy z jej twarzy.

- Madi? Madi?

Jej powieki zadrgały, ale nie otworzyły się.

Czułam za swoimi plecami ciężko oddychającą Sonię. Obróciłam się z wyciągniętymi w jej kierunku rękami, z nastroszonymi niczym pazury palcami, pełna wściekłości, która wydostawała się z głębi mojego jestestwa.

Wrzeszcząc, rzuciłam się na nią. Złapała mnie za nadgarstki i odepchnęła, ale znów do niej doskoczyłam, krzycząc zachrypniętym głosem.

- Ty tchórze! Ty zakało! Ty niegodziwa krowo! Sonia była dużo silniejsza ode mnie. Ale w tamtym momencie ja byłam wściekła bardziej niż lwica.

- Ona nigdy nikogo nie skrzywdziła! Ona z tym wszystkim nie ma nic wspólnego!

Sonia w końcu puściła mnie. Zatoczyłam się i spiorunowałam ją wzrokiem, ciężko dysząc.

Sonia poprawiła sobie bluzkę i przygładziła włosy.

- Twoja siostra ma się świetnie. Spójrz! Usłyszałam jęk z łóżka. Madison otworzyła oczy. Szybkim krokiem podeszłam do niej i pogłaskałam ją po twarzy. Była upiornie szarobiała.

- Tylko leż nieruchomo, kochanie - powiedziałam.

- Wszystko będzie dobrze.

Odwróciłam się do Sonii, która uważnie obserwowała Madison.

- Świetnie? Moi rodzice też będą mieć się świetnie, gdy trafią do więzienia za coś, czego nie zrobili? - zapytałam.

Sonia wzruszyła ramionami i obejrzała dokładnie swoje paznokcie pod lateksowymi rękawiczkami.

- To nie moja wina. Nie mój problem. Prawie w ogóle nie rozmawiałam z twoimi rodzicami. Nic nie poradzę na to, że Tarsen to kłamca.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Frank. Spojrzał na Madison, która próbowała usiąść na łóżku, po czym odwrócił się do Sonii.

- Co tu do diabła się dzieje?! - krzyknął, rzucając jej gniewne spojrzenie. - Uderzyłaś dzieciaka?

- To był wypadek - Sonia poczerwieniała nieco.

- Płacę ci za to, co robisz, i nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień.

- Jezu! - Frank przewrócił oczami. - Ty mnie normalnie zabijasz! Planujesz nie wiadomo co, a nawet się nie możesz kontrolować przy dzieciaku!

- Nie podniecaj się! Będzie wyglądało tak, jak gdyby rozbiła głowę podczas wypadku. Nikt się nie zorientuje.

- Jakiego wypadku? - zapytałam. Frank zignorował mnie.

- Potrzebuję cię przy tej końcówce - powiedział do Sonii.

- Musisz je tutaj zamknąć, póki nie skończymy

- polecił i wyszedł na zewnątrz.

Sonia podążyła za nim bez oglądania się.

Usłyszałam, jak zamykała drzwi na klucz. Podbiegłam do umywalki. Na szczęście Sonia i Frank byli zbyt zajęci kłótnią, żeby zauważyć telefon.

Podeszłam do okienka, które otworzyła Sonia. Ujrzałam kawałek barierki wokół pokładu i otwarte morze. Ale nawet trzymając komórkę wysoko w górze, nie mogłam złapać sygnału. Dokąd my do licha płynęliśmy?

Przy okienku wisiał zwój liny. Wepchnęłam za nią telefon. Tutaj będzie bezpieczniejszy niż u mnie w kieszeni. Wyciągnę go później.

Podbiegłam do Madison i przytuliłam ją.

- Wszystko OK, dziecinko?

Przyjrzałam się badawczo jej dużym brązowym oczom.  
Madison lekko kiwnęła głową i skrzywiła się.

- Głowa mnie boli.

Wyglądała w porządku, ale jej oczy były lekko szkliste, a twarz nadal trupio blada. Ostrożnie, trzęsącymi się palcami pomacałam miejsce na jej głowie, w które się uderzyła. Jęknęła cichutko, gdy dotknęłam czegoś ciepłego i lepkiego. Cofnęłam rękę. Koniuszki palców były poplamione krwią. Otarłam szybko palce o swoje dzinsy i uśmiechnęłam się do niej.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam.

- Czy dobrze udawałam? - zapytała. Zrobiłam wielkie oczy.

- Masz na myśli ból brzuszka? Madison uśmiechnęła się delikatnie. Przytuliłam ją jeszcze raz.

- Wystarczająco dobrze, żeby otrzymać Oscara dla najlepszej aktorki. Dla najmłodszej zwyciężczyni.

Nastąpiło mocne uderzenie. Coś zaskrzypiało i zazgrzytało na dziobie. Objęłam Madison jeszcze mocniej. Gwałtowne szarpnięcie rzuciło nami na kraniec łóżka. Potem spadłyśmy na podłogę. Wszystko wskazywało na to, że łódź wbiła się w coś twardego.

### 37. W potrzasku

Upadłam na plecy, Madison sturlała się na mnie. Leżałam tak przez kilka sekund i nie mogłam złapać oddechu. Łodzią w dalszym ciągu trzęsło, chociaż silnik już zgasł.

Madison trzymając się mnie kurczowo, jęknęła.

- Co to było, Lauren? Co się dzieje?

- Myślę, że się rozbiliśmy - podłoga pod moimi plecami była zimna i twarda.

Zdjęłam ostrożnie Madison z siebie i zerwałam się na nogi. Łódź przechylała się nierówno, z jednej strony na drugą. Rozstawiłam szeroko nogi, żeby zachować równowagę.

Usłyszałam odgłos kroków dochodzących z korytarza. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Frank.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek znalazł cię tutaj zamkniętą - warknął. Obrócił się i pośpiesznym krokiem wrócił na górę. Po drodze zakładał strój piankowy na bawełnianą koszulkę.

Ruszyliśmy z Madison za nim. Łódź kołysała się i szarpała. Opierałam się o ściany, bo trudno mi było utrzymać równowagę w tych butach ze spiczastymi obcasami.

Frank wspinał się na górę, w kierunku drzwi wychodzących na pokład. Chwilę później usłyszałam głos Sonii dochodzący z pokładu.

- Daj mi jej komórkę! - krzyknęła. - Nie chcę, żeby ktokolwiek je tu znalazł.

- Nie mam jej - odburknął Frank.

Sonia rzuciła przekleństwem w jego kierunku.

- Powinieneś zabrać jej telefon, jak tylko weszła na pokład.

Łodzią szarpnęło gwałtownie. Poślizgnęłam się i upadłam. Podłoga była wilgotna. O Boże! Woda sączyła się do środka przez deski podłogowe.

- Lauren! - Madison próbowała pomóc mi wstać. Wtedy Frank ponownie pojawił się na schodach.

- Gdzie masz telefon?! - zawył.

- Nie wiem - koncentrowałam się maksymalnie, żeby nie spojrzeć w kierunku sypialni. - Chyba upuściłam ją na przystani, kiedy wchodziłam na łódź. Wpadła do wody.

Frank podszedł do mnie. Wsadził ręce do moich kieszeni, potem obmacał z grubsza moje ręce i nogi. To samo zrobił z Madison.

- One jej nie mają! - ryknął do Sonii.

Teraz łódź poruszała się już mniej gwałtownie. Popatrzyłam pod nogi. Wody wciąż przybywało. Czubki moich butów były już mokre.

- Dobra już, daj spokój - warknęła Sonia. - Chodźmy stąd.

Frank podszedł do schodów prowadzących na pokład. Madison przytuliła się do mnie.

- Nie możesz nas tu zostawić! - krzyknęłam. Frank wyszedł bez słowa. Drzwi zamknęły się, pogrążając salon w gęstniejącym mroku.

Słyszałam ich głosy, ciągnęli coś ciężkiego po pokładzie. Poziom wody podniósł się już do wysokości kostek. Ciągnąc Madison za sobą, rzuciłam się w kierunku schodów.

Nagle coś uderzyło mocno w drzwi, wydając głuchy odgłos.

Domyśliłam się, że zaklinowali drzwi. Chcą, żebyśmy tutaj utonęły. Żeby to wyglądało na wypadek.

Próbowałam otworzyć drzwi, ale nawet nie drgnęły.

- Pomocy! - wrzasnęłam. - Niech nas ktoś wypuści! - waliłam w drewniane drzwi, ale to nie miało sensu.

Obróciłam się i spojrzałam na Madison. Sięgała do jednego z okien salonu, odsuwając zasłonkę.

Przez maleńkie okienko dostrzegłam, że łódka za chwilę zderzy się z płaską skałą. W oddali dostrzegłam rozciągającą się piaszczystą plażę.

- Co się dzieje? - cichy i przerażony głos Madison zadał mi cios w samo serce.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam. - Oni nas tylko przewożą na inną wyspę.

Serce mi łomotało. Rozejrzałam się po salonie. Było tam dużo okienek, ale wszystkie zbyt małe, żeby się przez nie przecisnąć.

Łódź idzie na dno. Utoniemy.

Łodzią mocno szarpnęło. Chwyciłam się poręczy przy schodach, żeby nie upaść.

Madison wpadła do wody.

- Madi?! - krzyknęłam.

Podniosła się, przemoczona do suchej nitki, jej twarz była przygnębiona ze strachu i bólu. Wyciągnęłam rękę.

- Chodź, Madi - zachęcałam ją.

- Może jeżeli obie popchniemy, to uda nam się przesunąć to, co blokuje drzwi.

Podłoga salonu była teraz nachylona w stosunku do rufy. Madison brnęła w moim kierunku.

Łódź obsunęła się znowu, zatapiając się jeszcze głębiej.

Ile zostało nam czasu?

### 38. Skała

Pchnęłam drzwi wychodzące na pokład. Były zupełnie zablokowane. Madison stała na dole przy schodach, patrząc na mnie. Dzwoniła zębami.

- Tatuś będzie wściekły z powodu łodzi - powiedziała. - Lauren, głowa mnie bardzo boli.

- Wiem, dziecinko. Pomocy! - walnęłam w drzwi. - krzyczałam, wiedząc, że to nie miało najmniejszego sensu. - Pomocy!

Przerwałam. Bez odzewu. Tylko plusk fal, skrzypienie statku i mój własny szybki oddech.

Walnęłam raz jeszcze.

Proszę, proszę.

I wtedy usłyszałam głuchy odgłos dochodzący z zewnątrz.

- Lauren?

Serce zabiło mi mocniej. Uderzyłam w drzwi.

- Jam? Czy to ty? Jam?

- Oni zaklinowali czymś drzwi! - krzyknął. - Zaraz to wyciągnę.

Zza drzwi doszedł zgrzyt przesuwanego po drewnie metalu. Spojrzałam na Madi.

- Już wszystko w porządku - uspokajałam ją. Łzy ulgi popłynęły mi z oczu. - Jam jest tutaj. On nas stąd wyciągnie.

Odwróciłam się z powrotem do drzwi i przycisnęłam do nich dłoń.

- Wróciłeś.

- Oczywiście, że wróciłem - powiedział Jam zdyszonym głosem. - Ukrywałem się na tyłach łodzi od samego Evanport.

- Gdzie jest Sonia i ten mężczyzna?

- Oboje w sprzęcie do nurkowania popłynęli do brzegu - odpowiedział ponuro.

Usłyszałam, jak coś ciężkiego upadło na pokład. Drzwi do salonu otworzyły się; Twarz Jama mignęła mi przed oczami, potem łódź zaskrzypiała straszliwie i znowu nią szarpnęło.

Zrzuciło mnie ze schodów i wpadłam do lodowatej wody.

Przez chwilę byłam zupełnie zdezorientowana. Pęcherzyki powietrza wirowały wokół mnie. Obróciło mną do góry nogami. Pulpit sterowniczy był u moich stóp. Przebierałam rękami w wodzie. Szybciej. Jeszcze szybciej. Głową przebiłam taflę wody. Łapczywie wciągając powietrze, rozejrzałam się dookoła. Pod wodą, tuż obok mnie, był stół z jadalni i ławki. Drzwiczki szafki kuchennej były otwarte. W wodzie pływały talerze i filizanki, które z niej wypadły.

- Lauren.

Spojrzałam w górę. Głowa i ramiona Jama zwisały z otworu drzwi prowadzących na pokład, mniej więcej metr ponad wodą.

Jam wyciągnął do mnie rękę.

- Chodź! Rozejrzałam się dookoła.

- Madison. Gdzie jest Madison? - w moim głosie było słycać rosnącą panikę. Skoczyłam raz jeszcze do lodowatej wody. Ubrania przywarły do mojego ciała, co jeszcze bardziej utrudniało poruszanie się w wodzie.

Rozejrzałam się dookoła. I wtedy ją zobaczyłam. Tylko kilka metrów ode mnie. Unosiła się tuż pod powierzchnią, jej długie włosy dryfowały za nią.

Serce biło mi teraz dziesięć razy szybciej. Madi, trzymaj się.

Zanurkowałam. Wydawało się, że to trwało całe wieki. Ale zaraz potem byłam już przy niej i wyciągałam ją do góry.

Znajdowałam się tuż pod otwartymi drzwiami, trzymając w ramionach bezwładne ciało Madison. Jam nachylił się nade mną, gotowy do jej wyciągnięcia.

- Będziesz musiała ją podsadzić - powiedział. Wyciągnęłam ją z lodowatej wody i uniosłam w jego kierunku. Czułam, jak Jam ją chwytą, przejmując trochę jej ciężaru na siebie.

- Podsadź ją jeszcze trochę! - wydyszał. - Nie mogę jej utrzymać i zachować równowagi jednocześnie.

Wyteżyłam wszystkie siły i mocno wypchnęłam w kierunku Jama bezwładną i całkowicie przemoczoną Madison. I udało się. Unosiłam się w wodzie, starając się wykonywać tak małe ruchy, jak to tylko było możliwe. Uświadomiłam sobie, że tak naprawdę to już nie czułam własnych nóg.

- Lauren! Lauren! - Jam wykrzykiwał moje imię. Spojrzałam w górę. Nie był teraz wcale daleko ode mnie. Mógł nawet dosięgnąć rękami wody. Było tak bardzo zimno. O czym on mówił?

- Chwyć mnie za rękę, Lauren! Chwyć mnie za rękę!

Bezsensownie wpatrywałam się w swoje ręce. Unosiły się bezwładnie na wodzie. Musiałabym włożyć wiele wysiłku, żeby nimi poruszyć. Nawet najmniejszy ruch nogami wymagał zbyt wiele trudu. Byłoby prościej dać sobie spokój. Pozwolić, żeby woda mnie wciągnęła.

- Lauren! - krzyk Jama roznosił się po wypełnionym wodą pomieszczeniu.

- Złap moją rękę! Złap ją! Teraz!

Z ogromnym wysiłkiem podniosłam rękę do góry, pozwalając Jamowi chwycić mój nadgarstek.

- Teraz złap się drzwi i spróbuj się podciągnąć! - wrzasnął.

Próbowałam to zrobić, ale zupełnie nie miałam siły. Wyjście znajdowało się już tylko pół metra nad moją głową, ale równie dobrze mogło być pół mili ode mnie.

- Nie zostawię cię tutaj! - ryknął Jam. - Chcesz, żebym tutaj umarł? Chcesz, żeby Madison umarła?

Nie. Nie. NIE!

Sięgnęłam raz jeszcze i jakoś udało mi się złapać drzwi od pokładu. Zacisnęłam zęby, rozkazując mięśniom podciągnięcie się. Jam chwycił mnie pod pachami i wyciągnął na zewnątrz.

Poczułam uderzenie zimnego powietrza, ale i tak było to lepsze niż lodowata woda. Uklęknęłam, kuląc się. Cała drżałam.

- Wstań! - krzyknął Jam. Stał na bosaka tuż obok mnie, z przewieszoną przez ramię jęczącą Madison.

Z trudem utrzymywałam równowagę na kołyszącej się łodzi, która coraz szybciej szła na dno. Nie pozostała nam chyba nawet minuta.

Wzięłam drugą rękę Madison i przełożyłam przez swoje ramię. Jam wskazał na płaską skałę, którą wcześniej widziałam przez okno salonu.

- Musimy tam dopłynąć - wydyszał. Pokiwałam twierdząco głową.

Skała nie była aż tak daleko, jakby się mogło wydawać, ale morze było lekko wzburzone. I wiedziałam doskonale, jak jest zimne.

Razem wskoczyliśmy do wody. Moje nogi i ręce od razu stały się sztywne. Fale rozbijały się na naszych twarzach. Utrzymywanie Madison nad powierzchnią wody stanowiło ogromny wysiłek. Jam płynął szybciej, jego ręce i nogi były wypoczęte i dużo silniejsze. Trudno mi było nadążyć za nim, ale to, że walczyłam z własną słabością, powodowało, że przynajmniej czułam coś w moich kończynach.

Teraz wydawało się, że skała jest dużo dalej niż wcześniej, kiedy patrzyliśmy na nią z łodzi. Płynęłam przed siebie. Jeden ruch za drugim. Jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

Woda rozchłapywała się na mojej twarzy. Moje ręce i nogi znowu zaczynały drętwieć. W dodatku uderzały o podwodne skały, te, o które rozbił się kadłub „Josephine May”.

W tym samym momencie, w którym pomyślałam, że już dłużej nie dam rady płynąć, okazało się, że jesteśmy na miejscu. Jam wdrapał się na skałę i wciągnął za sobą Madison.

Twarz miał wykrzywioną z bólu i siną z zimna. Spojrzałam na jego nogę. Krew przesiąkała przez spodnie, tuż nad kostką, i spływała po jego bosej stopie.

- Skaleczyłem się - powiedział zdyszczanym głosem. - O jedną ze skał - utykając, podszedł do adidasów, które leżały na środku płaskiej skały.

- Jak one się tutaj znalazły?

- One są moje - Jam pochylił się i wyciągnął skarpetkę z jednego z adidasów. Obwiązał nią zakrwawioną nogę, a potem sięgnął w głąb buta.

Szczęka mi opadła, kiedy wyjął z niego moją komórkę. Zupełnie o niej zapomniałam.

- Widziałem, jak ją ukrywałaś. Mogłem zabrać ją dużo wcześniej, ale bałem się, że mnie zobaczą.

Dygocząc, spojrzałam na wyświetlacz. Był sygnał. Słaby, ale jednak. Ręka mi drżała, kiedy wybierałam numer alarmowy.

Jam przez cały czas mówił.

- Chciałem zadzwonić po pomoc, ale łódź szła pod wodę zbyt szybko. Schowałem twój telefon w swoim adidasie, dlatego się nie zamoczyła.

Usłyszałam głos kobiety w telefonie.

- Pomoc w nagłych wypadkach. Z kim łączyć?

- Jesteśmy na skale - wyjąkałam. - W wodzie.

- Gdzie w wodzie? Gdzie jesteście? - głos telefonistki był energiczny i stanowczy.

- Nie wiem gdzie - powiedziałam, usilnie starając się skupić.

- To się nazywa Long Mile - podpowiedział Jam.

- Słyszałem, jak o tym mówili.

Powtórzyłam to telefonistce. Long Mile. Nazwa brzmiała znajomo, ale byłam zbyt przemarznięta i zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się, gdzie mogłam ją usłyszeć. - Ilu was tam jest?

- Troje.

- Czy któreś z was wymaga natychmiastowej pomocy medycznej?

Madison.

Oddałam komórkę Jamowi, a sama rzuciłam się do miejsca, gdzie twarzą do twardej skały leżała Madison. Dotknęłam jej policzka. Był zimny jak lód.

Obróciłam ją, nasłuchując oddechu.

Nic. Nie! Ona nie może...

Potrzęsęłam nią mocno.

- Madison! - chłód zimniejszy od samej lodowatej wody zmroził krew w moich żyłach. - Madison! - ryknęłam. - Obudź się!

### 39. Oczekiwanie

Przez szparę w zasłonach obserwowałam uwijających się lekarzy i pielęgniarki. Na oddziale panowało zamieszanie, ale tutaj, na łóżku szpitalnym, byłam z dala od tego wszystkiego.

Po prostu czekałam.

Czekałam na wieści o Madison.

Annie i Sam przyjechali jakąś godzinę temu - bladzi i zdenerwowani. Widziałam się z nimi przez chwilę i opowiedziałam im o wszystkim, co się wydarzyło. Czułam się winna z powodu Madison. Chciałam, żeby byli na mnie źli. Chciałam, żeby wykrzyczeli, że nie powinnam była zabierać jej na przystań tego ranka. I że gdyby umarła, byłaby to moja wina.

Ale oni tylko tak tam stali, przerażeni. Potem przyszła pielęgniarka i zabrała ich do sali pourazowej, gdzie zajmowano się Madi. Też chciałam iść, ale pielęgniarka powiedziała, że muszę jeszcze raz widzieć się z lekarzem.

Przyszła też MJ. Siedziała obok mnie. Próbowałam się skupić na tym, co mówiła.

- Sonia Holtwood chciała, żeby to wyglądało na wypadek. Ty i Madison miałyście wziąć łódkę bez pozwolenia, potem stracić nad nią kontrolę i osiąść na mieliźnie. Wybór Long Mile Beach był sprytny. To przecież tam zaginęłaś jedenaście lat temu.

Spojrzałam na nią, przypominając sobie plażę, którą widziałam w oddali, kiedy byliśmy na skale.

I zdjęcia, które pokazywała mi Madison.

- Long Mile?

MJ pokiwała twierdząco głową.

- Sonia miała nadzieję, że wszyscy pomyślą, że popłynęłaś tam, bo byłaś ciekawa tego miejsca. Przekazałam dalej film wideo, który nagrałaś na swojej komórce. Teraz

przynajmniej mamy jej porządne zdjęcie. I wiemy, że jest w okolicy. Tym razem ją dorwiemy.

Kiwnęłam głową nieprzytomnie. Czy to ma jakieś znaczenie? Złapanie Sonii Holtwood nie pomoże Madison.

MJ wyszła. Siedziałam tam tak, gapiąc się w ścianę i powracając we wspomnieniach do tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku godzin.

Ściągnęli nas ze skały helikopterem. Może to brzmi dość ekscytująco, ale wcale takie nie było. Było za to zimno i przerażająco.

Madison nie obudziła się przez cały czas, kiedy lecieliśmy. Personel medyczny założył srebrzyste peleryny na mnie i Jama, żebyśmy się ogrzali. Ktoś opatrzył także nogę Jamowi.

Lekarze spoglądali to na Madison, to na siebie. W naszej obecności dużo nie mówili. Widziałam jednak w ich oczach, że nie dawali jej większych szans.

- Lauren, czy ty mnie słyszysz? Annie stała tuż obok mnie. Chwyciłam ją za rękę.

- Czy z nią wszystko dobrze? Annie potrząsnęła głową.

- Nie, w dalszym ciągu jest nieprzytomna - oczy Annie wypełniły się łzami. - To hipotermia spowodowana niebezpiecznym wychłodzeniem organizmu, kiedy przebywała w wodzie.

Powinnam ją bardziej chronić. To była moja wina, że znalazła się na tej łodzi. Po co ja ją zabierałam na tę przystań?

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć Annie, że jest mi tak strasznie przykro, że sprawiłam tyle kłopotu. Ale ona tylko wpatrywała się w kołdrę na moim łóżku, a łzy spływały jej po policzkach.

- Dobrze, że tobie się nic nie stało, Lauren - zaszlochała. - Gdyby obu wam się coś przydarzyło...

Stała tak, przygarbiona i nieszczęśliwa. Chciałam powiedzieć coś pocieszającego, ale nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Potem Annie wyszła, a przyszła pani doktor, żeby mnie zbadać. Powiedziała, że ogólnie wszystko jest w porządku, ale powinnam zostać na noc na obserwację. Nie miałam nic przeciwko temu. Jeżeli Madison była tutaj, to nie chciałam się stąd ruszać.

Minęły dwie kolejne okropne godziny. Lekarze wreszcie pozwolili mi wstać, więc teraz mogłam już czekać z innymi w poczekalni. W dalszym ciągu nie mieliśmy żadnych nowych wieści o stanie zdrowia Madison.

Skuliłam się w rogu kanapy i opatuliłam jednym ze swetrów Annie.

Shelby siedziała zwinięta w kłębek na krześle naprzeciwko. Sam, znecierpliwiony czekaniem, wszedł do sali pourazowej. Annie czekała na jego powrót, wyglądając przez okno.

Drzwi w korytarzu otworzyły się i wszedł Jam ubrany w spodnie i sweter Sama, które były na niego za duże, więc musiał pozawijać rękawy i nogawki. Podszedł, utykając, i usiadł obok mnie. Siedzieliśmy w ciszy. Nie było potrzeby rozmawiać.

Oparłam się o jego ramię i zamknęłam oczy. Nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek mogłabym kochać kogoś jeszcze bardziej.

Może za wyjątkiem mojej maleńkiej siostrzyczki.

Za każdym razem, kiedy przypominałam sobie ją leżącą na tej skale z zamkniętymi oczami, czułam ten przygniatający ciężar na piersiach, przez który nie mogłam oddychać. Jej głos odbijał się echem w mojej głowie - cichy i poważny. Widziałam jej uśmiech, kiedy po raz pierwszy nakładałam jej makijaż na twarz.

Dlaczego lekarzom zabiera to tak dużo czasu? Albo jest z nią wszystko w porządku, albo... Nie, nie, wszystko jest z nią w porządku. Musi być. Zabieram ją przecież do kina w jej urodziny.

Zorientowałam się, że Sam wyszedł z sali, w której leżała Madison, kiedy Annie podbiegła do drzwi.

- Sam? - próbowała złapać oddech, ale wciąż szlochała. - Sam?

Sam pokręcił głową. W dalszym ciągu miał przerażającą pustkę w oczach.

- Nadal bez zmian - powiedział. Jego twarz zmarszczyła się, kiedy Annie przyciągnęła go do siebie. Oparł swoje czoło o jej, a z oczu popłynęły mu łzy.

Odwróciłam się, chowając twarz w ramię Jama. Proszę, nie pozwól jej umrzeć. Proszę, nie pozwól jej umrzeć.

Poczucie winy dusiło mnie. I strach.

Gdyby Madison umarła, część mnie także umarłaby na zawsze.

Czy takie uczucie właśnie ogarnia matkę troszczącą się o swoje dziecko?

Sam przestał płakać i usiadł na jednym z krzeseł. Zmierzwił ręką włosy.

- Lekarz powiedział, że Madi ma na brzuszku dużo małych siniaków, powstałych dawniej, nie teraz. Pytali, czy my coś o tym wiemy

Annie pokręciła głową.

- Może z zajęć sportowych? - zastanowiła się i zmarszczyła brwi. - To może dlatego przez kilka ostatnich miesięcy upierała się, że będzie się sama kąpać i ubierać. Myślałam, że próbowała się usamodzielnąć.

Shelby ściągnęła mnie wzrokiem. Była przerażona. Jej oczy wprost błagały mnie, żebym nic nie mówiła. Spuściłam

wzrok. Jeżeli Shelby czuła się chociaż w połowie tak jak ja, to już wystarczająco cierpiała.

Ktoś mocno zastukał w drzwi. Annie aż podskoczyła.

Ale to była tylko MJ. Skinęła na mnie.

- Czy mogłabym zamienić z tobą słówko, Lauren?

Wyszłam z poczekalni do hałaśliwego i pełnego zabieganych ludzi oddziału intensywnej opieki medycznej. MJ się uśmiechała. Zmarszczyłam tępo brwi, nie wiedząc z początku, dlaczego MJ wygląda na tak bardzo zadowoloną. Potem zerknęła na bok. Podążyłam za jej wzrokiem i wtedy ich zobaczyłam. Mama i Tato. Stali tam i obserwowali mnie.

Ścisnęło mnie w gardle, kiedy podchodzili.

- Czy wy... czy już po wszystkim? - zapytałam.

Mama kiwnęła głową. Twarz miała wychudłą, kości policzkowe napierały tak mocno na skórę, że jej głowa bardziej przypominała czaszkę pokrytą ciałem niż głowę człowieka.

- Jesteśmy wolni - powiedział Tato. Jego usta drżały, ale próbował się uśmiechać. - Wszystkie zarzuty wycofano. Nie będą nawet wnosić oskarżenia przeciwko nielegalnym wpłatom na konto Sonii Holtwood - zawiesił głos. - Przyszliśmy tutaj od razu. Wiem, że państwo Purditt nie chcą, żebyśmy się z tobą widywali, ale będziemy o ciebie walczyć. Wypełniliśmy dokumenty zgodne z konwencją haską... mniejsza o szczegóły. W każdym razie ważne jest to, że teraz, bez sprawy karnej obciążającej nas, będzie prościej.

- To za sprawą filmu w twojej komórce - uśmiechnęła się MJ. - Ale nie tylko. Tarsen przez cały czas zmieniał swoje zeznania i przestał być wiarygodny. Ale nagranie wideo, można powiedzieć, dopełniło miary. Sąd wycofał wszystkie zarzuty przeciwko twojej mamie i ta...

- Wiem, że lekarz powiedział, że jesteś zdrowa, ale czy dobrze się czujesz? - Mama przerwała z niepokojem.

- Dobrze się czuję, Mamo.

- Chcemy cię zabrać do domu - powiedziała drżącym głosem - ale wiemy, że to nie będzie takie proste.

- Załatwię to - powiedziałam. - Obiecuję.

Kiedy ścisnęłam wątle ciało Mamy, nagle ogarnęła mnie ta nieprzeparta ochota powrotu do mojego starego życia w Londynie.

Chciałam tam wrócić. Chciałam być w domu, razem z Mamą, Tatą i Rorym. Pragnęłam tego tak bardzo, że prawie nie mogłam oddychać.

A potem przypomniałam sobie o Madison.

Obróciłam się i spojrzałam w kierunku pokoju, gdzie Annie, Sam i Shelby oczekiwali wiadomości o zdrowiu Madi.

Annie stała w oknie i patrzyła na mnie. Jej oczy były pełne łez.

Mama i Tato pojechali do hotelu, żeby coś zjeść i trochę odpocząć.

Jam powiedział mi, że kiedy zobaczył Annie i Sama tak bardzo zdenerwowanych o Madison, sam poczuł wyrzuty sumienia.

- Myślę, że powinienem przynajmniej zawiadomić mamę, że u mnie wszystko w porządku - powiedział i zadzwonił do Carli.

Jak się można było spodziewać, Carla była na niego wściekła, dało się ją słyszeć na drugim końcu korytarza. Potem Sam wziął od Jama słuchawkę. Musiał czuć się dziwnie, gdy słuchał wymyślającej mu Carli i próbował ją uspokajać, tłumacząc, w jaki sposób Jam uratował nam życie.

Po mniej więcej godzinie lekarze pozwolili nam zobaczyć Madison. W dalszym ciągu nie odzyskała świadomości. Miała zabandażowaną głowę i cała była podłączona do jakichś aparatur przez rurki i kabelki. Myślałam, że mi serce pęknie, kiedy patrzyłam na nią - taką małą i bezbronną.

Postanowiliśmy czuwać przy niej na zmianę.

Jam z Samem i Shelby poszli kupić coś do jedzenia, podczas gdy Annie i ja siedziałyśmy po obu stronach łóżka Madison, trzymając ją za ręce.

Za oknem szpitala było już ciemno, a stojak, na którym zawieszono kroplówkę, rzucał długi cień na podłogę.

Siedziałyśmy tak przez długi czas bez słowa. Jedynymi dźwiękami były ściszone głosy pielęgniarek zajętych innymi pacjentami leżącymi na tej samej sali i sporadyczne piknięcia maszyny.

- Wtedy było tak jak teraz - powiedziała Annie. Zerknęłam na nią.

- Co masz na myśli?

- Tego dnia na plaży. Tylko ty i ja. Byłyśmy takie szczęśliwe. Bawiłyśmy się w chowanego. A potem... potem pobiegłaś za te skały, za którymi ja się chowałam wcześniej. A kiedy podeszłam tam, ciebie już nie było.

- Pamiętam.

Annie spojrzała na mnie z uwagą.

- Masz na myśli porwanie przez Sonię Holtwood?

- Nie - spotkałam się z jej spojrzeniem. - Pamiętam, jak byłam z tobą na plaży. Pamiętam, jak bawiłyśmy się w chowanego. Pamiętam, że byłam szczęśliwa.

Spojrzałam na rękę Madison.

- Nie skrywaj swoich uczuć. Pozwól sobie na to - wyszeptała Annie. - To najcięższa rzecz.

Kiedy tak mówiła, jeden z paluszków Madison drgnął nieznacznie.

Zrobiłam gwałtowny wdech.

- Annie, spójrz!

Wstrzymałam oddech i ścisnęłam paluszki Madi, mając nadzieję, że poruszą się raz jeszcze.

I tak się też stało. Najmniejszy, najdelikatniejszy nacisk.

- Madison? - wyszeptałam.
- Mmm - wyjęczała cicho. Powieki jej zadrgały.
- Mamuuusiu?

Spojrzałam na Annie. Jej oczy błyszczały. Po raz pierwszy ujrzałam ją jak należy. Kobieta na plaży. Moja matka.

#### 40. Postanowienia

Złapali Sonię Holtwood, kiedy w Święto Dziękczynienia próbowała przekroczyć granicę z Kanadą. MJ zadzwoniła i powiedziała mi, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że Sonia spędzi długi czas w więzieniu.

W rzeczywistości Sonia Holtwood (prawdziwe nazwisko: Marcia Burns) była zaangażowana w serię porwań nieletnich, zanim zaczęła dopuszczać się produkcji i sprzedaży nielegalnych dowodów tożsamości.

Gromadziła informacje, a później przekazywała je Taylorowi Tarsenowi.

Jam i ja będziemy świadczyć przeciwko nim w sądzie. Ale poza tym staraliśmy się, by cała sprawa jak najmniej nas zajmowała.

Jam mieszkał u Annie i Sama od dnia rozbicia się łodzi. Naprawdę świetnie się z sobą dogadywali. Nawet kiedy Madison była jeszcze w szpitalu, Annie i Sam próbowali obsypywać Jama prezentami.

- Ocaliłeś nasze córki - mówił Sam. - Cokolwiek chcesz, będziesz to miał.

Myślę, że oczekiwał, że Jam poprosi o komputer lub może nawet o samochód. Tutaj można prowadzić już w wieku szesnastu lat. Ale Jam spojrzał mu tylko prosto w oczy i powiedział:

- Chcę zostać z Lauren.

Myślę, że Annie i Sam byli nieco zszokowani, ale trzeba uczciwie przyznać, że od razu porozmawiali z Carlą i przekonali ją, żeby pozwoliła Jamowi tutaj zostać do końca listopada. Nalegała, żeby codziennie się uczył, ale poza tym nie robiła wokół tego dużego zamieszania.

Ku mojemu zaskoczeniu także Mama i Tato nie mieli nic przeciwko, żeby Jam zamieszkał u państwa Purditt. Myślę, że

byli tak szczęśliwi z faktu, że nie musieli iść do więzienia, że nic innego nie mogło ich już zaniepokoić.

Mieszkali w hotelu Evanport przez kilka dni, potem wrócili do domu na tydzień, żeby zobaczyć się z Rorym. Kupiłam mu koszulkę z nadrukiem z „Legend zaginionego cesarstwa” i poprosiłam rodziców, żeby mu ją przekazali. Uważałam, że przynajmniej to jestem mu winna za zrujnowanie ferii zimowych.

Rozprawa sądowa, która miała rozstrzygnąć, gdzie będę teraz mieszkać, miała rozpocząć się tuż po ich powrocie. Bałam się tego. To znaczy, chciałam być z Mamą i Tata, oczywiście. Ale chciałam być także z Annie, Samem i Madison.

Powiedziałam Glorii, jak się z tym czuję. Następnego dnia Sam i Annie zaprosili mnie do kuchni na poważną rozmowę.

- Co się dzieje? - zapytałam. Annie zakasłała nerwowo.

- Chcieliśmy tylko omówić tę sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

Wpatrywałam się w nią.

- Sam i ja zdaliśmy sobie sprawę z tego, że myliliśmy się co do twoich... przybranych rodziców. To znaczy, wiemy, że to porządni ludzie, którzy chcieli dobrze, płacąc Sonii za ciebie - Annie wzięła głęboki wdech. - Jeśli w przyszłym tygodniu na rozprawie sądowej zostanie ustalone, że twoja adopcja była niezgodna z prawem, będą mogli starać się o odzyskanie ciebie. Nasi adwokaci twierdzą, że mają wiele mocnych argumentów przeciwko nim. Ale my... my rozumiemy, jak wiele dla ciebie znaczy to, żeby ich widywać, dlatego chcemy spróbować rozwiązać tę sprawę bez walki w sądzie i... poszukać jakiegoś sposobu, żebyś także i z nimi mogła spędzać czas.

Rzuciłam się na nią i uścisnęłam ją mocno, tuląc twarz w jej szyję.

- Och! Annie, dziękuję, dziękuję - uścisnęłam ją jeszcze raz.

- No cóż, to również zasługa Sama. Zerknęłam na Sama.

- Tak naprawdę to zasługa mamy. Mojej mamy, Glorii - uśmiechnął się. - Tego dnia, kiedy byłaś u niej, zwróciła mi uwagę, że nie ma znaczenia, czy ludzie, których nazywasz Mamą i Tata, popełnili przestępstwo, czy nie, bo zawsze będą dla ciebie najważniejsi. A Annie i ja jakoś musimy się z tym pogodzić.

Przypomniałam sobie moje pierwsze spotkanie z Glorią i to, jak bardzo Sam był pochłonięty myślami w drodze powrotnej.

Uśmiechnęłam się promiennie do niego, a potem do Annie. Jej usta zadrżały, a ja poczułam się winna, że tak często byłam dla niej podła. Chciałam zapewnić ich, że wiedziałam, jak ciężko im było pogodzić się z tym, że nazywam Mamą i Tata kogoś innego. Opowiedzieć o tym, jak bardzo byłam zdezorientowana co do tego, gdzie i z kim chciałam mieszkać.

Ale nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. Po prostu wstałam i wyszłam, aby poszukać Jama. Przynajmniej z nim to było proste. Przynajmniej przy nim mogłam na chwilę zapomnieć, jak bardzo czułam się rozdarta.

Madison wyszła ze szpitala dokładnie w swoje urodziny - pod koniec listopada. Annie nie pozwoliłaby jej wyjść do kina, więc kupiłam film o ET na płycie DVD i oglądałyśmy go w jej pokoju, płacząc na fragmencie, kiedy ET umierało, żeby Elliot mógł żyć.

Gdy przyszedł Jam i zobaczył, że płakałyśmy, zaczął jęczeć.

- Same problemy z tymi wyciskaczami łez - westchnął. - Zbyt ckliwe.

Upierałam się, że ten film nie był wyciskaczem łez, podczas gdy Madison molestowała Jama, żeby został z nami i oglądał. A tak nawiasem mówiąc, myślę, że ona się w nim skrycie kocha.

Kiedy film o ET się skończył, Annie położyła Madi na małą drzemkę.

Jam i ja poszliśmy na przystań. Teraz była opustoszała; wszystkie łodzie były przykryte brezentem na zimę.

Trzymaliśmy się za ręce i przytulaliśmy do siebie. Ale kończył się listopad i zdawaliśmy sobie sprawę, że Jam będzie musiał wracać do domu za dwa dni. Nagle uświadomiłam sobie, że propozycja Annie i Sama dotycząca dzielenia mojego między nich a Mamę i Tatę była niejednoznaczna i niewiele z niej wynikało.

Chciałam być z Jamem przez cały czas. Nie tylko wtedy, gdy Annie i Sam pozwolą mi pojechać do domu.

Dlaczego to musiało być takie skomplikowane?

- Wiesz, zawsze możemy uciec - uśmiechnęłam się, obejmując go mocniej.

- Nieee. Miałaś rację. Myślę, że ty już teraz należysz do tego miejsca.

Przytuliłam się do jego piersi. Czy ja należałam do tego miejsca? Nie sądzę, że kiedykolwiek będę uważać Annie i Sama za moją mamę i mojego tatę, ale już zaczęłam myśleć o nich jako o rodzinie. A od zeszłego tygodnia Shelby ani razu nie była dla mnie niegrzeczna. Ku mojemu kompletnemu zdumieniu nawet przyznała się do terroryzowania Madison.

Annie upatrywała przyczyny tego zachowania w traumie spowodowanej zaginięciem siostry. Ja bym to inaczej określiła. Moim zdaniem Shelby ma poważne trudności w kontaktach z innymi.

Ale mam wrażenie, że zaczyna się powoli zmieniać.

Poryw lodowatego wiatru zmroził moją szyję. Zawiązałam mocniej szalik.

To do którego miejsca należę?

Nieszczególnie chciałam wracać do szkoły w Londynie, ale tęskniłam za Mamą i Tata. Wiedziałam, że oni chcieliby mieć mnie przy sobie nie tylko od czasu do czasu. I jak niby mogłabym powiedzieć: „Zegnaj” swojemu niezwykle chłopakowi?

Wspięłam się na palce i pocałowałam go w nos.

- Chcę być z tobą.

Uśmiechnął się do mnie tak słodko, jak to tylko on potrafił. A przez następne kilka minut to już tak nie do końca tylko rozmawialiśmy.

Cała rodzina przyszła później na przyjęcie urodzinowe Madison. Pomogłam w przygotowaniu wielkiego tortu z siedmioma świeczkami. Madison zdmuchiwała je tak, jak robił to każdy z siedmiu krasnoludków z „Królowy Śnieżki”. Tylko Jam i ja zdawaliśmy sobie z tego sprawę i naśmiewaliśmy się z wyrazu twarzy Annie, kiedy Madison jako Apsik wyprodukowała potężne kichnięcie, żeby zdmuchnąć ostatnią świeczkę.

Gdy wszyscy się rozeszli, Sam zaprowadził Madi na górę do łóżka, podczas gdy Annie sprzątała.

Wydawała się wyjątkowo spięta i stłukła talerz i dwie szklanki podczas wkładania naczyń do zmywarki.

Zachodziłam w głowę, co mogło być nie tak. W ciągu ostatnich kilku dni Annie była spokojniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet przestała biegać wokół mnie. Ale tego wieczoru była stremowana jak diabli.

O godzinie siódmej ktoś zadzwonił do drzwi. Annie podskoczyła, jakby ją ktoś postrzelił.

- Lauren, czy mogłabyś otworzyć? Potruchtalam do drzwi frontowych i otworzyłam. Za progiem, na wycieraczce stali Mama i Tato. Szczeka opadła mi z wrażenia.

- Cześć, kochanie! - Mama przyciągnęła mnie do siebie i przytuliła z całych sił.

- Co się tutaj dzieje? Myślałam, że wracacie dopiero jutro.

- Annie i Sam nas zaprosili - Tato uniósł brwi, jak gdyby chciał powiedzieć: „Tak jak i ty, my również jesteśmy bardzo zaskoczeni”.

Przeszliśmy do salonu. Sam i Annie wyglądali superpoważnie. Mama i Tato wpatrywali się w nich z zakłopotaniem. Przyciągnęłam spojrzenie Sama. To była zdecydowanie najdziwaczniejsza sytuacja, w jakiej kiedykolwiek się znalazłam.

Nikt nie powiedział ani słowa.

Odkasznęłam.

- Hm, Mamo, Tato, to jest... - odwróciłam się do Sama i Annie. - To jest... hm... moja mama i tato.

Sam zaśmiał się. Wszyscy pozostali wyglądali na skrępowanych.

Sam wyciągnął rękę.

- Dziękuję, że państwo przyszli - powiedział.

Mama i Tato usiedli na sofie naprzeciwko Annie i Sama.

- Za chwileczkę przygotuję kawę - powiedziała Annie. - Ale myślę, że jeżeli nie powiem tego teraz, wybuchnę, zacznę płakać lub zrobię coś równie głupiego.

Wpatrywałam się w nią. Sam zaśmiał się.

- Po pierwsze, chcieliśmy przeprosić za to, że w ogóle śmieliśmy pomyśleć, że państwo mogliby być w jakikolwiek sposób zaangażowani w porwanie Lauren. Doceniamy to, co państwo zrobili... hm... co państwo zrobili, myśląc, że ją ratujecie - Annie kiwnęła głową. - I chcemy, żeby państwo

wiedzieli, że myślimy z uznaniem o tym, jak wspaniale państwo wychowali Lauren. Ona jest uroczą dziewczyną.

Na twarzy Mamy pojawił się półuśmiech.

- Dziękuję - powiedziała. - I dziękuję za to, co państwo powiedzieli Lauren i naszym adwokatom, czyli ogólnie rzecz biorąc, że nie będą państwo walczyć z nami o prawo do widywania się z Lauren. Mam nadzieję, że państwo to rozumieją... - mówiła łamiącym się głosem. - Czy to właśnie o tej sprawie chcieli państwo z nami rozmawiać?

- Niezupełnie - odparł Sam. - Wiemy, że bardzo ją państwo kochają, i rozmawialiśmy z Lauren. To oczywiste, że ona czuje, że należy do państwa... - mówił chrapliwym głosem. Zatrzymał się i spuścił wzrok.

Annie ścisnęła go za rękę. Spojrzała na mnie.

- Kiedy zobaczyłam twoją twarz... sposób, w jaki rozjaśniała się, kiedy usłyszałaś, że nie będziemy ograniczać ci możliwości widywania się z twoimi... twoimi rodzicami, uświadomiłam sobie... - wzięła głęboki wdech i spojrzała na Mamę i Tatę. - Chcieliśmy, żeby państwo tutaj byli, kiedy będziemy mówić Lauren, że... że jeżeli to jest to, czego ona rzeczywiście chce, to kiedy już na podstawie rozprawy sądowej zostanie ustalone, że wcześniejsza adopcja jest nieważna, nie będziemy składać wniosku o opiekę nad Lauren przeciwko waszemu, tym razem zgodnemu z prawem, ale będziemy chcieli, żeby wróciła do domu, do Anglii.

Przełknęłam ślinę. Zerknęłam na Mamę i Tatę. Oboje wpatrywali się w Annie i w Sama. Oczy Mamy wypełniły się łzami.

Nastąpiła zupełna cisza. Serce waliło mi jak oszalałe.

- Dziękuję - głos Mamy zamienił się teraz w szept. Tata tylko pokiwał głową. - Teraz wszystko zależy od ciebie, Lauren. Zdajemy sobie sprawę, jak ważne było dla ciebie

odnalezienie swoich biologicznych rodziców. Jakkolwiek zadecydujesz, my zawsze będziemy cię wspierać.

Co?

Wszyscy spojrzeli na mnie. Zamrugałam szybko. Mogłam wybrać?

Jam położył mi rękę na ramieniu.

Wyjazd do Anglii oznaczał powrót do domu. I bycie z Jamem.

Ale jak mogłabym zostawić Annie i Sama? Jeszcze nie spędziłam z nimi wystarczającej ilości czasu. Chciałam poznać lepiej Annie oraz dziadków. Marzyłam, by jeszcze pożeglować z Samem, kiedy kupi nową łódź. No a przede wszystkim chciałam być tutaj dla Madison.

Spojrzałam na twarze moich zaniepokojonych i zapłakanych rodziców.

Przeleciały mi przez głowę słowa Glane'a: „Masz czworo rodziców, którzy cię kochają. Dlatego możesz należeć do dwóch miejsc jednocześnie”. Uśmiech powoli rozpromieniował moją twarz.

- Nie chcę wybierać - powiedziałam. Wszyscy wpatrywali się we mnie.

Tato odchrząknął.

- Nie chcemy, żebyś... - wydusił z siebie - ale musimy...

- Nie chcę wybierać między wami - spojrzałam na nich z uśmiechem.

Mama i Sam zmarszczyli brwi. Annie pociągnęła nosem.

- Ale jak to...?

- Nie rozumiecie? Wybieram was wszystkich!

I właśnie w ten sposób to załatwiliśmy. Najprawdopodobniej jestem pierwszą osobą w historii świata, która ma czworo uznanych przez prawo rodziców na dwóch różnych kontynentach. Przez cały rok chodzę do szkoły w Londynie i spędzam co najmniej połowę wakacji w Evanport.

Annie i Sam wraz z moimi siostrami również od czasu do czasu przylatują na wakacje do Anglii.

Jam i ja jesteśmy nierozłączni. Widuję go codziennie, kiedy jestem w Londynie, często też lata razem ze mną do Evanport. Za przeloty płaci Sam. Jam w dalszym ciągu nie widuje się z tatą i, no cóż, chyba już nigdy nie będzie się dogadywał z Carla. Szczerze mówiąc, to Annie i Sam są teraz jego rodziną zastępczą. Czasami Glane wpada z Bostonu i zabiera nas na miasto.

I tak to właśnie wygląda. Nigdy nie spędziłam więcej niż kilka tygodni z dala od którejś z rodzin. Rozmawiamy z sobą i piszemy SMS - y non stop. Nie zostaje już wiele czasu na inne rzeczy i czasami wcale nie jest łatwo, szczególnie wtedy, gdy właśnie gdzieś przyjeżdżamy. Myślę jednak, że jestem ze wszystkimi w lepszych stosunkach, niż gdybym wybrała jeden dom i mieszkała w nim przez cały czas.

Pewnego dnia przyszła do naszej klasy nowa nauczycielka. Ona też poprosiła nas, żebyśmy napisali kolejny esej z serii „Kim jestem”. Tym razem to nie było trudne. Po prostu napisałam o swoim życiu.

O mnie samej. Odnalezionej.

## Podziękowania autorskie

Niniejsze opowiadanie pojawiło się po raz pierwszy w internecie na stronach: [www.baaf.org.uk](http://www.baaf.org.uk) (British Association for Adoption and Fostering - Brytyjskie stowarzyszenie do spraw adopcji i rodzicielstwa zastępczego.), [www.missingkids.com](http://www.missingkids.com), [www.ukadoption.com](http://www.ukadoption.com) oraz na stronie internetowej opisującej prawo stanu Vermont [www.leg.state.vt.us/statutes](http://www.leg.state.vt.us/statutes).

Szczególne podziękowania dla pani Julii Alanen, prokurator nadzorującej międzynarodowy oddział amerykańskiego centrum ds. zaginionych i wykorzystywanych dzieci, za poświęcony czas i okazane zainteresowanie.

Pozostałe podziękowania dla Elizabeth Hawkins, Moiry Young, Gaby Halberstam, Julie McKenzie, Sharon Flockhart, Melanie Edge, Jane Novak, Alastair McKenzie, Pam McKenzie i Ciary Gartshore.